

Hunter S. Thompson

Dziennik
rumowy

Kolejna wybitna powieść autora
„Lęku i odrazy w Las Vegas”.

Hunter S. Thompson

U
I
O
Y
A
M
D
Z
I
E
N
N
I
K
R
U
M
O
W
Y

Dziennik rumowy



niebieska
studnia

przełożył Krzysztof Skonieczny



Mój jeźdźcu o jasnych oczach,
Co wydarzyło się wczoraj?
Myślałam w sercu głęboko,
Przynosząc Tve piękne szaty
Że świat nie zdoła Cię pokonać.

Dark Eileen O'Connell, 1773

Dla Heidi Opheim, Marysue Rucci i Dany Kennedy

We wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy San Juan zaczęło stawać się miastem turystycznym, były dżokej Al Arbonito wybudował bar na patio za swoim domem na Calle O'Leary. Nazywał go Podwórkiem Ala. Nad drzwiami wychodzącymi na ulicę powiesił szyld ze strzałką wskazującą drogę na patio pomiędzy dwiema ruderami. Na początku sprzedawał tylko piwo, po dwadzieścia centów za butelkę, oraz rum, dziesięć centów za kieliszek, z lodem piętnaście. Po kilku miesiącach zaczął też podawać własnej roboty hamburgery.

Było to miejsce, w którym przyjemnie się piło, szczególnie rano, kiedy słońce nie grzało jeszcze tak mocno, a znad oceanu napływała słonawa mgiełka. Przez kilka wczesnych godzin powietrze pachniało rześko i zdrowo, dopiero koło południa wilgotny, duszący upał dławił San Juan i ustępował długo po zmroku.

Wiezorami też było dobrze, choć nie tak chłodno. Jeśli pojawiała się bryza, dało się ją wyczuć u Ala ze względu na doskonałe położenie baru – na samym szczycie wzgórza Calle O'Leary, tak wysoko, że gdyby patio miało okna, można by podziwiać panoramę miasta. Tyle tylko, że patio otoczone było grubą ścianą, więc widok ograniczał się do nieba i kilku bananowców.

Z biegiem czasu Al kupił nową kasę, potem kilka drewnianych stolików z parasolami, a w końcu wyprowadził się z rodziną

z domu przy Calle O'Leary na przedmieścia, do nowej urbanizacji niedaleko lotniska. Zatrudnił dużego Murzyna imieniem Sweep, który mył naczynia i roznosił hamburgery, a po pewnym czasie nauczył się też gotować.

Bar powiększył się o były salon Ala, w którym stanął fortepian. Zasiadł przy nim pochodzący z Miami chuderlawy człowieczek o smutnej twarzy, zwany Nelsonem Otto. Instrument stał w połowie drogi między patio a ladą. Był to stary, jasnoszary salonowy fortepian, pokryty specjalnym lakierem, mającym chronić go przed zgubnym wpływem słonego powietrza. Nelson Otto spędzał przy klawiaturze siedem dni w tygodniu, przez dwanaście miesięcy niekończącego się karaibskiego lata, mieszając krople potu ze znużonymi dźwiękami muzyki.

W biurach podróży opowiadają o chłodnych pasatach pieszczących każdego dnia i każdej nocy wybrzeża Puerto Rico – ale Nelson Otto był człowiekiem nieczułym na pasaty. Mijała kolejna parna godzina za godziną, a on przebijał się przez swój repertuar wymiętych bluesów i sentymentalnych ballad. Pot kapał mu z brody, zostawiając mokre ślady na bawełnianych koszulach w kwiaty. Przeklinał „ten cholerny, gówniany upał” z taką siłą i taką nienawiścią, że niekiedy burzyło to atmosferę baru – goście wychodzili i udawali się do Flamboyan Lounge, gdzie butelka piwa kosztowała sześćdziesiąt centów, a za stek z polędwicy płacono się trzy pięćdziesiąt.

Kiedy do San Juan przybył z Florydy były komunista Lotterman, aby założyć „San Juan Daily News”, Podwórko Ala stało się miejscem spotkań angielskojęzycznych dziennikarzy, bo żadnego z włóczęgów i marzycieli zatrudnionych w gazecie Lottermana nie stać było na picie w wykwinnych, „nowojorskich” barach, które w zastraszającym tempie obsypały miasto niczym muchomor. Reporterzy pracujący w dzień schodzili się około siódmej, a ci z nocnej zmiany – dziennikarze sportowi, korektorzy, ludzie od składu i łamania – najczęściej pojawiali się en masse około północy. Czasem ktoś umawiał się tam na randkę, jednak dziewczyna u Ala stanowiła niecodzienny widok, budzący natychmiast ero-

tyczne skojarzenia. W San Juan białe dziewczyny spotykało się rzadko – jeśli w ogóle się pojawiały, były albo turystkami, albo dziwkami, albo stewardesami. Nic dziwnego, że wolały spędzać czas w kasynach lub w barze na tarasie Hiltona.

Wielu ludzi próbowało swych sił w „Daily News” – od młodych gniewnych narwańców, którzy chcieli rozsądzić świat i zacząć wszystko od nowa, po zmęczonych staruszków o piwnych brzuchach, życzących sobie tylko tego, by dożyć swoich dni w spokoju, zanim ta zgraja szaleńców rozerwie świat na pół.

Była ich cała plejada – od rzeczywiście utalentowanych i uczciwych ludzi po degeneratów i nieudaczników, którzy z ledwością potrafili napisać tekst na pocztówce. Dziwacy, zbiedzy i niebezpieczne moczymordy, kubański złodziejaszek noszący pistolet pod pachą, meksykański półgłówek molestujący małe dzieci, alfonsi i pederasci oraz wrzody ludzkości najprzeróżniejszych rodzajów – w większości pracowali tylko tyle, by zarobić na kilka drinków i bilet lotniczy.

Z drugiej strony, byli też ludzie tacy jak Tom Vanderwitz, który później pisał dla „Washington Post” i zdobył nagrodę Pulitzerza, czy Tyrrell, obecnie redaktor londyńskiego „Timesa”, który pracował piętnaście godzin dziennie tylko po to, by gazeta nie zbankrutowała.

Kiedy przyjechałem, „Daily News” istniały już od trzech lat, a Ed Lotterman był na skraju załamania nerwowego. Słuchając go, odnosiłem wrażenie, jakby siedział na samym szczycie świata, uważając się za skrzyżowanie Boga, Pulitzerza i Armii Zbawienia. Często zapewniał, że gdyby wszyscy ludzie, którzy pracowali dla jego gazety przez te wszystkie lata, stanęli jednocześnie przed obliczem Wszechmogącego – gdyby każdy z nich opowiedział historię swoich szwindli, przekrętów i zbrodni – wtedy bez najmniejszej wątpliwości sam Bóg osunąłby się z tronu i zaczął rwać sobie włosy z głowy.

Lotterman, rzecz jasna, przesadzał – w swoich tyradach zapominał o uczciwych dziennikarzach i mówił tylko o tych, których nazywał „zapit ymi łbami”. Tych ostatnich było wielu, i w najlep-

szym wypadku można było o nich powiedzieć, że stanowili bandę dziwną i niesforną. W dobre dni byli niesolidni, w złe pijani, brudni i zupełnie niegodni zaufania, a mimo to byli w stanie wydawać gazetę. Kiedy nie pracowali, wielu z nich spędzało czas na piciu u Ala.

Jęczeli i narzekali, gdy – jak mówili niektórzy – w „napadzie chciwości” Al podwyższył cenę piwa do dwudziestu pięciu centów, i nie przestali narzekać, dopóki nie zawiesił cennika piwa i drinków w Caribé Hiltonie. Informacja była nabazgrana czarną kredką i wisiała na widoku tuż za barem.

Gazeta funkcjonowała jako biuro rozrachunkowe dla każdego pisarza, fotografa i oszusta, który właśnie nauczył się pisać i akurat znalazł się w Puerto Rico, dlatego również Al odnosił wątpliwe korzyści z handlu. Szuflada pod kasą pełna była niezapłaconych rachunków i listów z różnych części świata, zapewniających o „spłaceniu długów w najbliższej przyszłości”. Dziennikarze-włóczędzy to notoryczni dłużnicy, a niezapłacony dług może być obciążeniem nawet szykownym dla podróżujących po tym świecie bez korzeni.

W tamtych czasach nie brakowało ludzi do picia. Nigdy nie zabawiali długo, ale na miejsce starych zawsze przychodzili nowi. Nazywam ich dziennikarzami-włóczęgami, bo żadne inne określenie nie oddaje ich natury tak dobrze. Nie było dwóch takich samych. Ich sposób wykonywania zawodu odbiegał od wszelkich norm, jednak mieli kilka cech wspólnych. Niejako z przyzwyczajenia byli uzależnieni od współpracy z gazetami i czasopismami, ich życie składało się z ryzykownych, nagłych posunięć, nie słubowali wierności żadnemu sztandarowi, a jedyną monetą, którą cenili, było szczęście i znajomości.

Niektórzy byli bardziej dziennikarzami niż włóczęgami, inni bardziej włóczęgami niż dziennikarzami – ale, jeśli nie liczyć kilku wyjątków, tworzyli grupę wolnych strzelców, pracujących na pół etatu korespondentów zagranicznych, którzy z tego czy innego powodu żyli w znacznej odległości od dziennikarskiego establishmentu. To nie układni pracusie i bezmyślni potakiwacze,

zatrudnieni w omszałych gazetkach i agencjach prasowych imperium Luce'a. To zupełnie inny gatunek.

Puerto Rico było zaściankiem, więc dla „Daily News” pracował głównie niepokorny, tułaczy motłoch. Dziennikarze poruszali się chaotycznie, na skrzydłach płotek i okazji, przez całą Europę, Amerykę Łacińską i Daleki Wschód – wszędzie, gdzie znaleźć mogli anglojęzyczne gazety, skacząc z jednej na drugą, zawsze szukając przełomu, rozstrzygającego zlecenia, bogatej dziedziczki lub dużej roboty na drugim końcu trasy kolejnego biletu lotniczego.

W pewnym sensie byłem jednym z nich – bardziej kompetentnym niż jedni, odporniejszym niż drudzy – i przez lata noszenia tego zeszmaczonego sztandaru rzadko byłem bezrobotny. Zdarzało mi się pracować dla trzech gazet naraz. Pisałem reklamówki dla nowych kasyn i kręgielni. Byłem konsultantem syndykatu kogucich walk, głęboko zepsutym recenzentem ekskluzywnych restauracji, fotografem jachtów i zwyczajową ofiarą brutalności policji. Życie pełne zachłanności – byłem w nim dobry. Zdobyłem kilku interesujących przyjaciół, miałem dość pieniędzy, by bywać w towarzystwie, i dowiedziałem się o świecie wielu rzeczy, których nigdy nie byłbym świadomy, żyjąc inaczej.

Jak większość pozostałych, poszukiwałem, podróżowałem, narzekałem, a co pewien czas lubiłem zupełnie niepotrzebnie namieszać. Nigdy nie siedziałem na jednym miejscu tak długo, by porządnie pomyśleć, ale miałem wrażenie, że instykt mnie nie zawodził. Dzieliłem z innymi pewien włóczęgowski optymizm i dlatego wierzyłem, że niektórzy z nas rzeczywiście robią jakieś postępy, że wybraliśmy uczciwą ścieżkę i że najlepsi z nas niewątpliwie do czegoś dojdą.

Mieliśmy jednak smutne przeczucie, że życie, które prowadziliśmy, było grą niewartą świeczki, że podczas tej bezsensownej odysei byliśmy po prostu oszukującymi się aktorami. I tylko napięcie między stanem nerwowego idealizmu z jednej strony a poczuciem nadchodzącej zagłady z drugiej sprawiało, że wciąż mogłem trzymać się swego kursu.

Moje mieszkanie w Nowym Jorku znajdowało się przy Perry Street, pięć minut piechotą od tawerny White Horse. Choć często tam piłem, nigdy nie zostałem zaakceptowany, ponieważ nosiłem krawat. Prawdziwi ludzie nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego.

Byłem w tej tawernie również w dniu wyjazdu do San Juan. Phil Rollins, kolega z pracy, stawiał piwo, a ja korzystałem, mając nadzieję upić się wystarczająco, by spać w samolocie. Siadział z nami Art Millick, najbardziej narowisty taksówkarz w Nowym Jorku, i Duke Peterson, który właśnie wrócił z Wysp Dziewiczych. Pamiętam, że Peterson dał mi listę ludzi, których miałem odnaleźć, gdy dotrę do St. Thomas, ale zgubiłem ją i nigdy nie poznałem żadnego z nich.

Był środek stycznia, a ja, mimo wstrętnej pogody, miałem na sobie tylko lekki, sztruksowy płaszcz. Wszyscy inni nosili grube kurtki i flanelowe marynarki. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, było pożegnanie z Rollinsem na zabłoconym bruku Hudson Street i przeklinanie mroźnego wiatru wiejącego nad rzeką. Potem wsiadłem do taksówki Millicka i spałem przez całą drogę na lotnisko.

Dotarłem tam za późno, a przed punktem odbioru rezerwacji była kolejka. Ustawiłem się za piętnastką Portorykańczyków i jedną drobną blondynką, stojącą kilka osób przede mną.

Wziąłem ją za turystkę, młodą sekretarkę, lecącą na dwutygodniowe szaleństwo na Karaibach. Miała zgrabne ciało i okazywała niecierpliwość, wskazującą na ogrom zmagazynowanej energii. Przyglądałem się jej uważnie, z uśmiechem, czując piwo płynące w żyłach i czekając, aż się odwróci, żeby złapać choć przelotny kontakt wzrokowy.

Odebrała bilet i ruszyła w stronę samolotu. Przedemną stało trzech Portorykańczyków. Dwaj pierwsi załatwili swoje sprawy i przeszli dalej, jednak trzeci został zatrzymany przez pracownika obsługi, który nie pozwolił mu wnieść na pokład ogromnego kartonowego pudła. Czekałem na wynik ich kłótni z zaciśniętymi zębami.

W końcu się wtrąciłem.

– Hej! – krzyknąłem. – Co to ma znaczyć?! Muszę się dostać do tego samolotu!

Pracownik lotniska spojrzał na mnie, nie zwracając uwagi na krzyki małego człowieczka z pudłem.

– Pańskie nazwisko?

Podąłem je, wziąłem bilet i popędziłem w kierunku bramki. Gdy już dotarłem do samolotu, musiałem się przepchnąć przez pięć czy sześć osób czekających na wejście. Stewardesa burknęła coś z niezadowoleniem, ale szybko pokazałem jej bilet i wszedłem na pokład, przeszukując wzrokiem fotele po obu stronach.

Ani jednej jasnowłosej głowy. Przebiegłem na przód samolotu, myśląc, że może jest zbyt mała, żeby jej głowa wystawała znad oparcia. Okazało się jednak, że jeszcze nie wsiadła, a zostały już tylko dwa podwójne fotele. Zająłem jeden z nich, siadając od strony przejścia, przy oknie zaś położyłem maszynę do pisania. Silniki były już w ruchu, gdy zobaczyłem ją na pasie startowym, jak macha w kierunku zamykającej drzwi stewardesy.

– Moment! – krzyknąłem. – Jeszcze jeden pasażer!

Nie spuszczałem z niej wzroku, a gdy doszła do schodów, odwróciłem głowę w stronę drzwi, chcąc przywitać ją uśmiechem.

Sięgnąłem po maszynę do pisania, by postawić ją na podłodze, kiedy jakiś staruszek pojawił się przede mną i wepchnął na miejsce, które trzymałem dla dziewczyny.

– To miejsce jest zajęte – powiedziałem szybko, łapiąc go za ramię.

Wyrwał mi się i warknął coś po hiszpańsku, obracając się w kierunku okna.

Złapałem go ponownie.

– Wstawaj! – powiedziałem ze złością.

Zaczął się drzeć dokładnie w momencie, kiedy dziewczyna przystanęła w pobliżu, szukając wolnego siedzenia.

– To jest wolne – powiedziałem, niemiłosiernie szarpiąc staruszką. Zanim dziewczyna zdążyła się odwrócić, przybiegła stewardesa i pociągnęła mnie za ramię.

– Usiadł na mojej maszynie do pisania – tłumaczyłem, bezradnie patrząc, jak dziewczyna sadowi się gdzieś daleko, z przodu samolotu.

Stewardesa poklepała staruszką po ramieniu i pomogła mu zająć miejsce.

– Co z pana za brutal?! – zapytała. – Powinnam pana wyrzucić z samolotu!

Mamrocząc coś pod nosem, opadłem na fotel. Staruszek patrzył przed siebie, dopóki nie oderwaliśmy się od ziemi.

– Ty podły, stary sukinsynu – mruknąłem do niego.

Nawet nie mrugnął, więc w końcu zamknąłem oczy i próbowałem zasnąć. Co pewien czas spoglądałem na głowę dziewczyny z przodu samolotu. Potem zgaszono światła i nie widziałem już nic.

Świtało, gdy się obudziłem. Staruszek nadal spał, więc pochyliłem się, by wyjrzeć przez okno. Kilka tysięcy stóp pod nami ocean był ciemnoniebieski i spokojny jak tafla jeziora. Nieco dalej zobaczyłem wyspę, jasnozieloną w promieniach porannego słońca. Na brzegach rozciągały się piaszczyste plaże, w głębi łądu - brunatne bagna. Samolot zaczął podchodzić do lądowania, stewardesa nakazała nam zapiąć pasy.

Chwilę później prześliznęliśmy się nad połaciami palm i wyładowaliśmy przed wielkim terminalem. Postanowiłem, że poczekam na siedzeniu, dopóki nie nadejdzie dziewczyna, a potem wstanę i pójde z nią przez pas startowy. Jako że byliśmy jedynymi białymi na pokładzie, wydawałoby się to całkiem naturalne.

Inni pasażerowie już stali, śmiejąc się i trajkocząc w oczekiwaniu na otwarcie drzwi. Nagle mój staruszek podskoczył i próbował wgramolić się na mnie jak pies. Niewiele myśląc, popchnąłem go w stronę okna, co wywołało głuchy odgłos, który uciszył pasażerów. Staruszkowi najwyraźniej było niedobrze – ponowił więc próbę, krzycząc histerycznie po hiszpańsku.

– Ty pomyłony stary sukinsynu! – wrzasnąłem, odpychając go jedną ręką, drugą zaś sięgając po maszynę do pisania. Drzwi były już otwarte i ludzie zaczęli wysiadać. Gdy minęła mnie dziewczyna, próbowałem się uśmiechać, jednocześnie przypierając staruszka do okna, dopóki nie zdołałem wycofać się do przejścia. Robił tyle zamieszania, krzycząc i machając rękami, że miałem ochotę zapiąć mu pas na szyi, żeby się wreszcie uciszył.

Potem nadeszła stewardesa, a za nią drugi pilot, który domagał się wyjaśnień, co właściwie sobie wyobrażam.

– Bił tego staruszka od momentu, kiedy wystartowaliśmy – powiedziała stewardesa. – To pewnie jakiś sadysta.

Przetrzymali mnie z dziesięć minut i początkowo myślałem, że chcą mnie aresztować. Próbowałem coś wyjaśnić, ale byłem tak zmęczony i zdezorientowany, że sam nie wiedziałem, co mówię. Kiedy wreszcie mnie puścili, wymknąłem się z samolotu jak złoczyńca, a chwilę później, pocąc się i mrużąc oczy, przemierzałem skąpany w słońcu pas startowy po odbiór bagażu.

Pomieszczenie roilo się od Portorykańczyków, a dziewczyny nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Nadzieje na jej odnalezienie opuściły mnie już prawie zupełnie, a i tak nie wróżyłem sobie nic dobrego, gdyby jednak się udało. Niewiele dziewcząt spojrzałoby z aprobatą na kogoś mojego pokroju – brutalnie traktującego starszych ludzi. Pamiętałem wyraz jej twarzy, kiedy zobaczyła mnie ze staruszką przygwożdżonym do okna.

Trudno byłoby zmienić jej nastawienie. Postanowiłem zjeść jakieś śniadanie, a bagaż odebrać później.

Lotnisko San Juan było nowoczesne, pełne jaskrawych kolorów, opalonych ludzi i latynoskich rytmów ryczących z głośników zawieszonych na nagich dźwigarach nad holem. Wszedłem po długiej rampie, niosąc płaszcz i maszynę do pisania w jednej ręce, a w drugiej trzymając małą, skórzaną walizkę. Znaki poprowadziły mnie najpierw ku kolejnej rampie, w końcu zaś do kawiarni. Wchodząc, zobaczyłem siebie w lustrze – byłem brudny i zmizerniały, blade włoczęga o czerwonych oczach.

Nie dość, że wyglądałem niechlujnie, śmierdziałem piwem, które zalegało mi w żołądku jak kozuch z kwaśnego mleka. Usiadłem przy barze i zamówiłem pokrojonego ananasa, starając się na nikogo nie chuchać.

Na zewnątrz, w porannym słońcu lśnił pas startowy. Rozciągająca się za nim gęsta palmowa dżungla oddzielała mnie od oceanu. Gdzieś w oddali, na horyzoncie przesuwała się powoli zagłówka. Patrzyłem na to wszystko przez jakiś czas, aż wpadłem w trans. Wyglądało, że wokół jest spokojnie, spokojnie i gorąco. Miałem ochotę wejść między palmy i zasnąć, wziąć kilka kawałków ananasa i włączyć się po dżungli, by w końcu opaść z sił i zemdleć.

Zamiast tego zamówiłem kolejną kawę i spojrzałem ponownie na telegram, który przyszedł razem z moim biletem lotniczym. Napisano w nim, że mam rezerwację w hotelu Condado Beach.

Mimo że nie wybiła jeszcze siódma, kawiarnia była prawie pełna. Mężczyźni gromadzili się przy długim oknie, sączyli kawę z mlekiem i rozmawiali, gestykulując żywiołowo. Kilku nosiło garnitury, jednak większość miała na sobie uniform, jak się zdaje, obowiązujący tego dnia: okulary przeciwsłoneczne w grubej oprawie, błyszczące ciemne spodnie, białe koszule z krótkim rękawem i krawaty.

Udało mi się pochwycić strzępki ich rozmów: „...skończyły się czasy tanich domków przy plaży... jasne, panowie, ale to i tak nie jest Montego... nie martw się, ma jej pełno, a nam trze-

ba tylko... gotowe, ale musimy się pospieszyć, zanim Castro i jego hołota zaczną się wtrącać ze...”

Po dziesięciu minutach przysłuchiwania się zacząłem podejrzewać, że znalazłem się w jaskini naciągaczy. Większość z nich pewnie czekała, aż o siódmej trzydzieści przyleci samolot z Miami, który – z tego, co zrozumiałem z rozmów – miał być wypełniony po brzegi architektami, maklerami, konsultantami i Sycylijszymi zwiewającymi z Kuby.

Ich gadanie działało mi na nerwy. Nie mam nic szczególnego przeciwko naciągaczom, żadnych racjonalnych zarzutów, jednak sam akt sprzedaży jest dla mnie odrażający. Żywię ukryte pragnienie, by przywalić sprzedawcy w twarz, wybić mu zęby i nabić czerwone sińce dookoła oczu.

Odkąd uświadomiłem sobie, o czym rozmawiają, nie mogłem skupić się na niczym innym. Wyrwali mnie ze stanu rozleniwienia, ostatecznie irytując do tego stopnia, że w pośpiechu dokończyłem kawę i opuściłem lokal.

Przechowalnia bagażu była pusta. Znalazłem swoje dwa worki marynarskie i poleciłem zanieść je do taksówki portierowi, który przez całą drogę szczerzył się do mnie, jednostajnie powtarzając:

– *Sí, Puerto Rico está bueno... ah, sí, muy bueno... mucho ha-ha, sí...*

W taksówce rozsiadłem się wygodnie i zapaliłem niewielkie cygaro kupione wcześniej w kawiarni. Czułem się teraz znacznie lepiej, ogarnęło mnie usypiające ciepło i wrażenie całkowitej wolności. Patrząc na przemykające za oknem palmy i wielkie słońce palące drogę przede mną, miałem przebłysk czegoś, co czułem podczas pierwszych miesięcy w Europie – mieszanki ignorancji i swego rodzaju swobodnej pewności siebie, czegoś w rodzaju „co mi tam”, które nachodzi człowieka, gdy wzmaga się wiatr, a on zaczyna poruszać się prosto i pewnie w kierunku nieznanego horyzontu.

Pędziliśmy czteropasmową autostradą. Po obu stronach ciągnęły się niezliczone żółte blokowiska, otoczone wysokimi

płatami zakończonymi drutem kolczastym. Parę chwil później minęliśmy coś, co wyglądało na nowe osiedle, pełne identycznych różowo-niebieskich budynków. Billboard przy bramie wjazdowej oznajmiał podróżującym, że mijają El Jippo Urbanizacji. Kilka jardów od billboardu wzniesiono małą chatkę z palmowych liści i kawałków blachy, obok której znajdował się ręcznie malowany szyld z napisem „Coco Frío”. W środku, oparty o ladę, stał – na oko – trzynastoletni chłopiec i spoglądał na przejeżdżające samochody.

Przyjechać półpijany do obcego miejsca to ciężkie przeżycie. Masz wrażenie, że coś jest nie tak, że nie zdołasz się pozbierać. Ja właśnie tak się czułem, więc gdy dojechałem do hotelu, od razu położyłem się spać.

Obudziłem się o wpół do piątej, głodny, brudny i zupełnie niepewny, gdzie właściwie jestem. Wszedłem na balkon i spojrzałem na plażę. Przy brzegu masa kobiet, dzieci i brzuchatych mężczyzn taplała się w płytkiej wodzie. Po prawej stał kolejny hotel, za nim następne – każdy z własną, zatłoczoną plażą.

Wziąłem prysznic i zszedłem na dół na taras. Restauracja była zamknięta, więc pozostał mi bar. Wszystko wskazywało na to, że przeniesiono go w stanie nietkniętym z kurortu w górach Catskill. Przesiedziałem tam dwie godziny, pijąc, jedząc orzeszki i wpatrując się w ocean. W barze było około tuzina osób. Mężczyźni wyglądali na chorowitych Meksykanów, mieli rzadkie wąsiki i jedwabne marynarki, połyskujące jak plastikowe. Kobiety, w większości wątłe, niemłode już Amerykanki, nosiły sukienki koktajlowe bez rękawów, które leżały na nich jak gumowe worki.

Czułem się niczym przedmiot, który morze wyrzuciło na brzeg. Mój wymięty sztruksowy płaszcz miał już pięć lat i postrzępiony kołnierzyk, spodnie były pozbawione kantów i mimo że nigdy by mi nie przyszło do głowy, by założyć krawat, najwyraźniej nie pasowałem tu bez niego. Nie chcąc sprawiać wrażenia, że staram się być kimś, kim nie jestem, dałem

sobie spokój z rumem i zamówiłem piwo. Barman przyjrzał mi się ponuro i wiedziałem; że to dlatego, że nie miałem na sobie nic połyskującego. Bez wątpienia był to dla niego sygnał, że jestem zakałą społeczeństwa. Mógłbym tu odnieść sukces, tylko gdybym zdobył jakieś olśniewające ubranie.

O wpół do siódmej opuściłem bar i wybrałem się na spacer. Zapadał zmrok i wielka Avenida wyglądała chłodno i wdzięcznie. Po drugiej stronie dostrzegłem domy, których okna niegdyś wychodziły bezpośrednio na plażę. Teraz sąsiadowały z hotelami i większość z nich wycofała się za wysokie żywopłoty i mury, które odcięły je od ulicy. Tu i ówdzie widziałem patio albo osłoniętą parawanem werandę, na której ludzie siedzieli pod wentylatorami i pili rum. Gdzieś z końca ulicy zabrzmiały dzwonki – senne dźwięki *Kołysanki* Brahmsa.

Przeszedłem ze dwie przecznice, próbując wczuć się w atmosferę miasta, a dzwonki wciąż się do mnie zbliżały. Wkrótce, powoli tocząc się środkiem ulicy, pojawiła się furgonetka z lodami. Jej dach ozdobiły wielkie lody na patyku, błyskające co chwila czerwonymi, neonowymi lampkami, które rozświetlały całą okolicę. Z głębi samochodu dochodziły dźwięki utworu pana Brahmsa. Mijając mnie, kierowca uśmiechnął się wesoło i zatrąbił.

Natychmiast przywołałem taksówkę i kazałem kierowcy zawieźć się do centrum miasta. Stara część San Juan znajduje się na wyspie, połączonej z lądem kilkoma drogami na groblach. Wjechaliśmy od strony Condado. Tuziny Portorykańczyków stały wzdłuż torów, łowiąc ryby w płytkiej lagunie, a po prawej stronie zauważyłem wielki biały kształt pod neonowym napisem „Caribé Hilton”. Wiedziałem, że to kamień węgielny Boomu. Conrad przyszedł pierwszy, niczym Jezus, a płatki przybyły za nim. Przed Hiltonem nie było nic, teraz możliwości były nieograniczone. Minęliśmy opuszczony stadion i wjechaliśmy na bulwar ciągnący się wzdłuż klifu. Po jednej stronie był ciemny Atlantyk, a po drugiej, za wąskim pasem budynków, skrzyły się tysiącem kolorowych światel statki przycumowane

do nabrzeża. Zjechaliśmy z bulwaru i zatrzymaliśmy w miejscu, które taksówkarz określił jako Plaza Colón. Zażądał dolara i trzydziestu centów, a ja podałem mu dwa banknoty.

Spojrzał na pieniądze i pokręcił głową.

– Coś nie tak? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma wydać, *señor*.

Włożyłem rękę do kieszeni – tylko pięciocentówka. Wiedziałem, że kłamię, ale nie miałem ochoty trudzić się rozmianianiem dolara.

– Cholerny złodzieju – powiedziałem, ciskając pieniądze na jego udo. Jeszcze raz wzruszył ramionami i odjechał.

Z Plaza Colón odchodziło kilka wąskich ulic. Ciasno upchnięte budynki miały po dwa, trzy piętra, a ich balkony zwisały nad ulicą. Powietrze było gorące, a lekka bryza niosła ze sobą zapach potu i śmieci. Z otwartych okien dochodziły dźwięki muzyki i rozmów. Chodniki były tak wąskie, że trudno było nie wpaść do rynsztoka, a ulice blokowały drewniane wózki sprzedawców owoców, oferujących obrane pomarańcze po pięć centów za sztukę.

Spacerowałem przez pół godziny, patrząc na wystawy sklepów, w których sprzedawano ubrania z naszywkami „Ivy Liga”, zaglądając do podłych barów pełnych dziwek i marynarzy, próbując nie zderzyć się z nikim na chodniku i myśląc, że jeśli szybko nie znajdę jakiejś restauracji, z pewnością padnę z głodu.

W końcu się poddałem. Najwyraźniej na Starym Mieście nie było restauracji. Jedyną, którą widziałem, nazywała się New York Diner i była zamknięta. W desperacji zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieźć do „Daily News”.

Kierowca spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Gazeta! – krzyknąłem, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

– *Ah, sí* – wymamrotał. – „El Diario”, *sí*.

– Nie, do cholery – odpowiedziałem. – „San Juan Daily News”. Amerykańska gazeta. *El „News”*.

Nigdy o niej nie słyszał, więc wróciliśmy na Plaza Colón, gdzie wychyliłem się z okna i zapytałem gliniarza. On również nie wiedział, ale w końcu podszedł jakiś człowiek stojący na przystanku i wytłumaczył nam, dokąd jechać.

Jechaliśmy w dół wybrukowanym wzgórzem, w kierunku portu. Nie było tam ani śladu gazety, więc przypuszczałem, że jedzie tu, by się mnie pozbyć. Za którymś z kolejnych zakrętów nagle się zatrzymał. Tuż przed nami miało miejsce coś w rodzaju potyczki między gangami – jakaś krzykliwa zgraja chciała się dostać do zielonkawego budynku wyglądającego na magazyn.

– Dalej – powiedziałem do kierowcy. – Możemy ich minąć.

Pokręcił głową, mamrocząc coś pod nosem.

Walnąłem pięścią w oparcie jego siedzenia.

– Rusz się! Nie jedziesz – nie płacę.

Znow zaczął coś mamrotać, ale wrzucił jedynekę i przejechał na drugą stronę ulicy, próbując objechać bójkę jak najszerszym łukiem. Gdy znaleźliśmy się na wysokości budynku, zatrzymał się i mogłem zobaczyć, że walka toczy się między grupką około dwudziestu Portorykańczyków a opędzającym się od nich wysokim Amerykaninem w jasnobrązowym garniturze. Stał na schodach i wymachiwał dużym drewnianym znakiem drogowym jak kijem baseballowym.

– Pieprzeni gnoje! – wrzasnął, po czym nastąpiło krótkie poruszenie i usłyszałem kilka uderzeń oraz krzyki. Jeden z napastników upadł na ulicę z zakrwawioną twarzą. Wysoki gość cofnął się do drzwi, machając znakiem przed sobą. Dwóch mężczyzn próbowało go złapać, jednak jeden z nich dostał w klatkę piersiową i spadł ze schodów. Pozostali odsunęli się, pokrzykując i wygrażając pięściami. Amerykanin warknął w ich kierunku:

– Chcecie, gnoje? To po niego przyjdźcie!

Nikt się nie ruszył. Wysoki poczekał chwilę, zamachnął się i rzucił znak w środek grupki. Trafił jednego z mężczyzn w brzuch na tyle celnie, że ten upadł na pozostałych. Usłysza-

łem wybuch śmiechu i po chwili człowiek w garniturze zniknął za drzwiami.

– Dobra – powiedziałem, odwróciwszy się do kierowcy. – Skończyło się, jedziemy.

Pokręcił głową i wskazał na budynek, potem na mnie.

– *Sí, está* „News”. – Pokiwał głową i ponownie pokazał budynek. – *Sí* – powtórzył z powagą.

Dotarło do mnie, że znajduję się przed „Daily News” – moim nowym domem. Spojrzawszy jednak na brudną zgrają oddzielającą mnie od wejścia, postanowiłem wrócić do hotelu. Właśnie wtedy znów zrobiło się zamieszanie. Za nami zaparkował volkswagen, z którego wysiadło trzech gliniarzy, wymachujących długimi pałkami i krzyczących po hiszpańsku. Część bandy uciekła, ale reszta została, by pokłócić się z policjantami. Popatrzyłem przez chwilę, po czym dałem taksówkarzowi dolara i wbiegłem do budynku.

Redakcja „Daily News” znajdowała się na pierwszym piętrze. Wsiadłem do windy, trochę obawiając się, że zawiezie mnie w środek kolejnej bójkii, ale za drzwiami był tylko ciemny korytarz. Z lewej strony dotarły do mnie odgłosy newsroomu.

Wszedłem tam i od razu poczułem się lepiej. W środku panował przyjazny bałagan, słychać było równy stukot maszyn do pisania i telegrafów, nawet zapach był znajomy. Wielkie pomieszczenie wyglądało na puste, choć zauważyłem tam przynajmniej dziesięć osób. Nie pracował tylko mały, czarnowłosy mężczyzna przy biurku obok drzwi. Siedział odchylony na krześle, wpatrując się w sufit.

Podszedłem do niego i gdy tylko się odezwałem, gwałtownie się poruszył.

– Dobra! – warknął. – Czego tu, kurwa, szukasz?!

Rzuciłem mu gniewne spojrzenie.

– Będę tu pracował. Zaczynam od jutra – powiedziałem. – Nazywam się Kemp. Paul Kemp.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Przepraszam. Myślałem, że masz chrapkę na mój film.

– Co? – spytałem.

Wyrzęził coś o „rozboju w biały dzień” i „pilnowaniu go jak oka w głowie”.

Rozejrzałem się po pokoju.

– Wszyscy tu wyglądają normalnie.

Prychnął.

– Złodzieje... kleptomani. – Wstał i podał mi rękę.

– Bob Sala, fotograf – powiedział. – Co więc sprowadza cię już dziś?

– Szukam czegoś do zjedzenia.

Uśmiechnął się.

– Słukany?

– Nie, bogaty. Po prostu nie mogę znaleźć restauracji.

Opadł z powrotem na krzesło.

– Masz szczęście. Pierwsza lekcja, jaką się tu dostaje – unikać restauracji.

– Dlaczego? – spytałem. – Czerwonka?

Zaśmiał się.

– Czerwonka, wszy, podagra, choroba Hutchinsona... możesz tu złapać wszystko, absolutnie wszystko. – Spojrzał na zegarek. – Poczekaj z dziesięć minut, zabiorę cię do Ala.

Zrobiłem sobie miejsce, przesuwając jeden z aparatów, i usiadłem na jego biurku. Odchylił się i zapatrzył w sufit, drapiąc się co pewien czas po szorstkiej głowie – najwyraźniej odpłynął do jakiejś szczęśliwszej krainy, gdzie były same dobre restauracje i żadnych złodziei. Nie pasował do tego miejsca – wyglądał raczej na biletera z wesołego miasteczka w Indianie. Miał zepsute zęby, przydałoby mu się golenie; jego koszula była paskudnie zabrudzona, a buty wyglądały, jakby je dostał z pomocy społecznej.

Siedzieliśmy w ciszy do momentu, kiedy z biura po drugiej stronie wyszło dwóch ludzi. Jednym z nich był wysoki Amerykanin walczący niedawno na ulicy. Drugi – niski i łysy – mówił z rozdrażnieniem i gestykulował obiema rękami.

– Kto to? – spytałem Salę, wskazując na wysokiego.

Spojrzał na nich.

– Ten obok Lottermana?

Przytaknąłem, domyślając się, że niski to właśnie Lotterman.

– Nazywa się Yeamon – rzekł Sala, odwracając się w kierunku biurka. – Nowy. Pracuje tu od kilku tygodni.

– Widziałem go walczącego na zewnątrz – powiedziałem. – Grupka Portorykańczyków napadła go przed samym wejściem do budynku.

Sala potrząsnął głową.

– Zgadzałoby się. To świr. – Pokiwał głową. – Pewnie się odszczeknął tym związkowym ciołkom. Robią jakiś dziki strajk... nikt nie wie, o co im chodzi.

Dokładnie w tym momencie Lotterman zawołał z drugiej strony pomieszczenia:

– Co robisz, Sala?

Sala nawet na niego nie spojrzał.

– Nic, kończę za trzy minuty.

– A z kim rozmawiasz? – zapytał Lotterman, przyglądając mi się podejrzliwie.

– To sędzia Crater – odpowiedział Sala. – Szykuje się niezły artykuł.

– Jaki sędzia? – spytał Lotterman, podchodząc do biurka.

– Nieważne – rzekł Sala. – Nazywa się Kemp i twierdzi, że go zatrudniłeś.

Lotterman wyglądał na zdezorientowanego.

– Sędzia Kemp? – wymamrotał. Potem uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do mnie obie ręce. – Ach, tak! Kemp! Świetnie cię widzieć, chłopcze. Kiedy przyleciałeś?

– Dziś rano – odpowiedziałem, schodząc z biurka, żeby uścisnąć mu dłoń. – Spałem przez większość dnia.

– Świetnie! Bardzo mądrze! – Skinął stanowczo głową. – No, mam nadzieję, że jesteś gotów do działania.

– Nie w tej chwili – odparłem. – Muszę coś zjeść.

Roześmiał się.

– O, nie – jutro. Przecież nie kazałbym ci dziś pracować. – Zaśmiał się ponownie. – Jasne, chcę przecież, żebyście jedli, chłopcy. – Skierował swój uśmiech na Salę. – Jak rozumiem, Bob pokaże ci miasto, tak?

– Oczywiście, że pokażę – rzekł Sala. – Oczywiście wszystko na koszt redakcji, tak?

Lotterman zaśmiał się nerwowo.

– Wiesz, co mam na myśli, Bob. Próbujemy chociaż być uprzejmi. – Odwrócił się i pomachał do Yeamona, który stał na środku pomieszczenia i z zaciekawieniem badał rozdarcie pod pachą swojego płaszcza.

Yeamon pokonał dzielącą nas przestrzeń długimi krokami swoich krzywych nóg, uśmiechając się uprzejmie, gdy Lotterman mnie przedstawił. Był wysoki, a jego twarz wyrażała arogancję lub coś innego, czego nie potrafiłem dokładnie określić.

Lotterman zatarł ręce.

– Jasne – powiedział z szerokim uśmiechem. – Zbieramy tu niezłą drużynę, nie? – Trzepnął Yeamona w plecy. – Staruszek Yeamon właśnie poprzytykał się trochę z tymi komunistycznymi draniami na zewnątrz – dodał. – To kompletne dzikusy, trzeba by ich pozamykać.

Sala przytaknął.

– Niedługo zabiją któregoś z nas.

– Nie mów tak, Bob – odrzekł Lotterman. – Nikt nikogo nie zabije.

Sala wzruszył ramionami.

– Dzwoniłem dziś w tej sprawie do komisarza Rogana – wyjaśnił Lotterman. – Nie można tolerować czegoś takiego. Oni są naprawdę groźni.

– Pewnie, że są – zgodził się Sala. – Do diabła z komisarzem Roganem, przydałoby się kilka lugerów. – Wstał i zdjął płaszcz z krzesła. – No, czas ruszać. – Spojrzał na Yeamona. – Jedziemy do Ala. Jesteś głodny?

– Dołączę do was później – odpowiedział Yeamon. –

Chciałem jeszcze wpaść do domu i sprawdzić, czy Chenault nadal śpi.

– Dobrze – powiedział Sala. Wskazał mi drzwi. – Chodź, wyjdziemy tylnymi drzwiami. Nie mam ochoty się bić.

– Uważajcie na siebie, chłopczy! – zawołał za nami Lotterman.

Kiwnąłem do niego i wyszedłem za Salą na korytarz. Zeszliśmy schodami w tylnej części budynku i znaleźliśmy się przy metalowych drzwiach. Sala pogrzebał w nich chwilę scyzorykiem i otworzyły się.

– Z zewnątrz się nie da – wyjaśnił, gdy wyszedłem za nim na ulicę.

Jedździł małym fiatem kabrioletem, na wół przeżartym przez rdzę. Samochód nie chciał zapalić, więc musiałem wsiąść i popchnąć. W końcu zaskoczył i wsiadłem do środka. Silnik wył boleśnie, gdy jechaliśmy pod górę. Nie sądziłem, że nam się uda, ale samochodzik mężnie przetoczył się przez szczyt i zaczął się wspinać na kolejne strome wzniesienie. Sala najwyraźniej nie przejmował się stanem swojego pojazdu i wciskał sprzęgło za każdym razem, gdy silnik groził zgaśnięciem.

Zaparkowaliśmy naprzeciwko baru Ala i poszliśmy na patio.

– Biorę trzy hamburgery – oznajmił Sala. – To wszystko, co tu mają.

Skinąłem.

– Cokolwiek... byle dużo.

Zawołał kucharza i zamówił sześć hamburgerów.

– I dwa piwa – dodał. – Tylko szybko.

– Dla mnie rum – powiedziałem.

– Dwa piwa i dwa kieliszki rumu! – krzyknął Sala, po czym wyciągnął się na krześle i zapalił papierosa. – Jesteś dziennikarzem?

– Tak.

– Czemu tu przyjechałeś?

– Czemu nie? – odpowiedziałem pytaniem. – Człowiek może trafić gorzej niż na Karaiby.

Chrząknął.

– To nie są Karaiby. Trzeba było jechać dalej na południe.

Kucharz, powłócząc nogami, przeszedł przez patio z naszymi drinkami.

– Gdzie byłeś przedtem? – zapytał Sala, zabierając piwa z tacy.

– W Nowym Jorku – odparłem. – A wcześniej w Europie.

– Gdzie w Europie?

– Wszędzie... głównie w Rzymie i Londynie.

– „Daily American”? – spytał.

– Tak, byłem na zastępstwie przez pół roku.

– Znasz Freda Ballingera?

Skinąłem głową.

– Jest tutaj – oznajmił Sala. – Bogaci się.

Stęknąłem.

– Mój Boże, co za dupek.

– Zobaczysz go niedługo – powiedział, szczerząc się. – Bywa czasem w biurze.

– A po jaką cholere?! – warknąłem.

– Włazi w dupę Donovanowi – roześmiał się. – Twierdzi, że był redaktorem działu sportowego w „Daily American”.

– Był nikim! – stwierdziłem.

Sala roześmiał się.

– Donovan zrzucił go pewnej nocy ze schodów. Od tego czasu się nie pojawia.

– I dobrze – powiedziałem. – Kim jest Donovan? Redaktorem działu sportowego?

Przytaknął.

– Pijakiem. Zamierza niedługo odejść.

– Dlaczego?

Sala parsknął śmiechem.

– Każdy stąd odchodzi... ty też w końcu zrezygnujesz. Nikt, kto ma choć odrobinę talentu, nie może tu pracować. – Potrząsnął głową. – Ludzie odlatują stąd jak muchy. Pracuję tu dłużej niż ktokolwiek inny... z wyjątkiem Tyrrella, redaktora działu lokalnego, ale on niedługo też rezygnuje. Lotterman jeszcze

o tym nie wie... to będzie dopiero coś. Tyrrell jest ostatnim myślącym z naszej ekipy – zaśmiał się. – Poczekaj, aż poznasz redaktora naczelnego. Nie potrafi nawet samodzielnie napisać nagłówka.

– Kto to? – zapytałem.

– Segarra – Śliski Nick. Pisze biografię Gubernatora. O każdej porze dnia, nic, tylko pisze tę swoją biografię Gubernatora. Nie można mu przeszkadzać.

Wypiłem łyk rumu.

– Jak długo tu jesteś? – zaciekałem się.

– Za długo, już ponad rok.

– Nie mogło być aż tak źle – powiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Cholera, nie pozwól mi cię zniechęcać. Może ci się spodoba. Jest pewien typ ludzi, którym się tu podoba.

– Jaki typ?

– Naciągacze – odpowiedział. – Manipulatorzy i oszuści... takim powodzi się tutaj najlepiej.

– Tak. Miałem takie wrażenie już na lotnisku. – Spojrzałem na niego. – To co w takim razie ciebie tu trzyma? Wystarczy przecież tylko czterdzieści pięć dolarów, żeby czmychnąć do Nowego Jorku.

Prychnął.

– Zarabiam tyle w godzinę... za samo przyciskanie guzika.

– Brzmi to, jakby przemawiała przez ciebie chciwość – powiedziałem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Bo przemawia. Nie ma na tej wyspie nikogo bardziej chciwego ode mnie. Czasami mam ochotę sam kopnąć się w jaja.

Sweep przyniósł nasze hamburgery. Sala zgarnął swoje z tacy, po czym rozłożył je na stole i wyrzucił sałatę i plastry pomidora do popielniczki.

– Ty bezmózgi potworze – powiedział ze znużeniem. – Ile razy ci mówiłem, żebyś nie wpychał tych śmieci do mojego jedzenia?

Kelner spojrział na śmieci.

– Tysiąc razy! – Sala krzyknął. – Powtarzam ci to każdego pieprzonego dnia!

– Człowieku – powiedziałem z uśmiechem. – Rzeczywiście powinienes wyjechać. To miejsce ci nie służy.

Zaczął łapczywie jeść hamburgera.

– Zobaczycie – wymamrotał. – Ty i Yeamon. Ten facet to świr. Nie wytrzyma. Żaden z nas nie wytrzyma! – Uderzył pięścią w stół. – Sweep! Więcej piwa!

Kelner wyszedł z kuchni i spojrział na nas.

– Dwa piwa! – wrzasnął Sala. – Pospiesz się!

Uśmiechnąłem się i oparłem wygodniej na krześle.

– Co jest nie tak z Yeamonem?

Spojrział na mnie tak, jakby wydało mu się niewiarygodne, że muszę o to pytać.

– Nie widziałeś go? – spytał. – To sukinsyn z szaleństwem w oczach! Lotterman robi w spodnie ze strachu przed nim. Nie zauważyłeś?

Potrząsnąłem głową.

– Dla mnie wyglądał w porządku.

– W porządku?! – krzyknął. – Trzeba było tu być kilka dni temu! Przewrócił nasz stół bez żadnego powodu. Właśnie ten stół. – Trzepnął dłonią w stół. – Bez żadnego cholernego powodu – powtórzył. – Wywalił wszystkie drinki na ziemię i przewrócił stół na jakiegoś biednego sukinsyna, który sam nie wiedział, co mówi. A potem zagroził, że mu dołoży! – Sala potrząsną głową. – Nie wiem, gdzie Lotterman znalazł tego gościa. Boi się go tak bardzo, że pożyczył mu sto dolarów, a Yeamon wziął i przepuścił je na skuter. – Roześmiał się gorzko. – Teraz sprowadził jakąś dziewczynę, która ma z nim tu zamieszkać.

Pojawił się kelner z naszym piwem i Sala zabrał je z tacki.

– Żadna dziewczyna ze wszystkimi klepkami by tu nie przyjechała – powiedział. – Tylko dziewice. Rozhisteryzowane dziewczęta. – Pogroził mi palcem. – Spedalisz się w tym mieście,

Kemp. Zapamiętaj moje słowa. W takim mieście każdy facet spedali się i oszaleje.

– Nie wiem – powiedziałem. – Niezła młoda sztuka przyleciała ze mną samolotem – uśmiechnąłem się. – Myślę, że poszukam jej jutro. Może będzie gdzieś na plaży.

– Pewnie jest lesbijką – odpowiedział. – To miejsce aż się od nich roi. – Potrząsnął głową. – Oto tropikalna zgnilizna... Bezustanne chłanie i żadnego seksu. – Osunął się na krzesło. – Doprowadza mnie to do szaleństwa... Zeświruję tu!

Sweep przybiegł, niosąc kolejne dwa piwa, które Sala zgarnął z tacy. Właśnie wtedy w drzwiach pojawił się Yeamon. Zauważył nas i podszedł do stolika.

Sala zawył żałośnie.

– Mój Boże, przyszedł – wymamrotał. – Nie bij mnie, Yeamon, nie chciałem.

Yeamon uśmiechnął się i usiadł.

– Nadal się wkurzasz z powodu Moberga? – roześmiał się i odwrócił do mnie. – Robert myśli, że źle potraktowałem Moberga.

Sala zamruczał coś o „świrowaniu”.

Yeamon roześmiał się ponownie.

– Sala jest najstarszym człowiekiem w San Juan. Ile masz lat, Robert? Koło dziewięćdziesiątki?

– Przestań już wreszcie pieprzyć! – krzyknął Sala, podrywając się z krzesła.

Yeamon skinął głową.

– Robertowi potrzeba kobiety – powiedział łagodnie. – Penis uciska mu mózg, więc nie może myśleć.

Sala jęknął i zamknął oczy.

Yeamon klepnął ręką w stół.

– Robert, ulice są pełne dziwek. Powinieneś się czasem rozejrzeć. Jadąc tutaj, widziałem tyle, że miałem ochotę złapać z sześć, położyć się nago i pozwolić, by pełzały po mnie jak szczenięta. – Roześmiał się i wezwał kelnera.

– Ty sukinsynu! – burknął Sala. – Ta dziewczyna jest tu ledwo jeden dzień, a ty już masz ochotę, żeby pełzały po tobie kur-

wy. – Pokiwał głową w zadumie. – Dostaniesz syfã. Dalej, bij się z kim popadnie, pieprz sobie dziwki, tylko uważaj, żeby nie wpieprzyć się w jakieś gównno.

Yeamon uśmiechnął się szeroko.

– W porządku, Robert. Ostrzegłeś mnie.

Sala spojrział na niego:

– A ona nadal śpi? Kiedy będę mógł wrócić do swojego mieszkania?

– Jak tylko stąd wyjdziemy – odpowiedział Yeamon. – Zawiozę ją do domu. – Pokiwał głową. – Oczywiście będę musiał pożyczyć twój samochód... Za dużo bagaży jak na skuter.

– Jezu – wymamrotał Sala. – Jesteś jak zaraza, wysiesz mnie do szpiku.

Yeamon roześmiał się.

– Jesteś dobrym chrześcijaninem, Robert. Nagroda cię nie ominie. – Zignorował prychnięcie Sali i zwrócił się do mnie. – Przyleciałeś porannym samolotem?

– Tak – odrzekłem.

Uśmiechnął się.

– Chenault mówiła, że leciał z nią jakiś młody facet, który pobił w samolocie staruszka. To ty?

Jęknąłem, czując, jak pajęczyna grzechu i okoliczności zasnuwa nasz stół. Sala zaczął podejrzliwie mi się przyglądać.

Usiłowałem wyjaśnić, że siedziałem obok podstarzałego szaleńca, który ciągle próbował na mnie włożyć.

Yeamon zaczął się śmiać.

– Chenault mówiła, że to ty byłeś szaleńcem. Twierdzi, że gapiłeś się na nią cały czas, potem wpadłeś w szal i zacząłeś bić staruszka... Nadal go biłeś, kiedy wychodziła z samolotu.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął Sala, spoglądając na mnie z obrzydzeniem.

Potrząsnąłem głową i próbowałem obrócić wszystko w żart. Konsekwencje były paskudne – opinia rozszalałego kobieciarza atakującego staruszków z pewnością nie robi dobrego wrażenia w nowej pracy.

Yeamona to najwyraźniej bawiło, jednak Sala stał się bez wątpienia podejrzliwy. Zamówiłem kilka drinków i szybko zmieniłem temat.

Siedzieliśmy tam jeszcze parę godzin, rozmawiając, popijając leniwie, zabijając czas przy płynącej ze środka, smutnej muzyce fortepianu. Dźwięki rozbrzmiewające na patio dodawały nocy nutę prawie przyjemnej, beznadziejnej melancholii.

Sala był przekonany, że gazeta splajtuje.

– Dotrwam do końca – zapewniał nas. – Daję jej miesiąc.
– Miał jeszcze dwa duże zlecenia fotograficzne, potem wyjeżdżał, pewnie do Mexico City. – Tak – powiedział. – Jeszcze tylko miesiąc, potem możemy się pakować.

Yeamon potrząsnął głową.

– Robert chce, żeby gazeta splajtowała, bo wtedy będzie miał pretekst, żeby odejść. – Uśmiechnął się. – Ale to jeszcze trochę potrwa. Mnie wystarczą jakieś trzy miesiące, zarobię tyle, żeby wybrać się na wyspy.

– Dokąd? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Dokądkolwiek. Znaleźć dobrą wyspę, coś taniego.

Sala syknął.

– Mówisz jak jaskiniowiec, Yeamon. Potrzeba ci po prostu dobrej pracy w Chicago.

Yeamon roześmiał się.

– Poczujesz się lepiej, jak sobie pobzykasz, Robercie.

Sala burknął coś i zajął się swoim piwem. Polubiłem go, mimo że ciągle narzekał. Miał pewnie kilka lat więcej niż ja, trzydzieści dwa albo trzy, ale było w nim coś, co sprawiało, że czułem jakbym go znał od dawna.

Yeamon też wydawał się znajomy, ale nie aż tak bliski – był jak wspomnienie o kimś, kogo kiedyś znałem, a potem straciłem z oczu. Miał pewnie dwadzieścia cztery albo pięć lat i przypominał mi niewyraźnie mnie samego w tym wieku – nie dokładnie takiego, jakim byłem, a raczej jakim bym się sobie wydawał, gdybym się nad tym zastanowił. Słuchając go, zda-

łem sobie sprawę, jak dawno już nie miałem wrażenia, że trzymam świat za jaja, i ile moich błyskawicznych urodzin minęło od pierwszego roku w Europie, kiedy byłem tak pewnym siebie ignorantem, że każdy okruczeństwo wywoływał we mnie poczucie zwycięstwa.

Dawno już tak się nie czułem. Możliwe, że w pułapce tych lat porzuciłem ideę wielkiej wygranej. Ale przypomniałem ją sobie teraz i poczułem się odrobinę staro i nieswojo na myśl, że zrobiłem tak mało w ciągu tak długiego czasu.

Odchyliłem się na krzesło i wypłem kolejny rum. Kucharz hałasował w kuchni, a fortepian z nieznanego powodu przestał grać. Ze środka dobiegał szmer hiszpańskich rozmów, chaotyczne tło dla moich rozbieganych myśli. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie obcość tego miejsca, prawdziwą odległość między mną a stałym lądem. Nie było powodu, żebym czuł się osaczony, ale i tak się czułem – pod presją gorącego powietrza i mijającego czasu, leniwego napięcia, które narasta w miejscach, gdzie ludzie pocą się dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Następnego ranka wstałem wcześniej i poszedłem popływać. Słońce prażyło niemiłosiernie, a ja przesiedziałem kilka godzin w kucki na plaży, mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na moją chorośliwą, nowojorską błądź.

O wpół do dwunastej wsiałem do autobusu przed hotelem. Był przepełniony, więc musiałem stać. Powietrze w autobusie przypominało parę, ale najwyraźniej nikomu poza mną to nie przeszkadzało. Wszystkie okna były zamknięte, śmierdziało nieznośnie i zanim dotarliśmy do Plaza Colón, kręciło mi się w głowie i spływałem potem.

Gdy schodziłem ze wzgórza przy budynku „Daily News”, zobaczyłem tłum protestujących. Niektórzy nieśli wielkie transparenty, inni siedzieli na krawężniku lub opierali się o zaparkowane samochody, krzycząc od czasu do czasu na tych, którzy wchodzili i wychodzili z budynku. Usiłowałem nie zwracać na nich uwagi, ale jeden z mężczyzn zaczął mnie gonić, krzycząc po hiszpańsku i wygrażając mi pięścią, gdy pospiesznie wchodziłem do windy. Próbowałem złapać go w drzwiach, ale odskoczył, gdy się zamykały.

Kiedy przechodziłem przez hall do newsroomu, usłyszałem dobiegające stamtąd krzyki. Po otwarciu drzwi moim oczom ukazał się Lotterman stojący w środku pokoju i wymachujący egzemplarzem „El Diario”. Wskazywał na małego blondyna:

– Moberg! Ty zapijaczony sukinsynu! Twoje dni są policzone! Jeżeli cokolwiek stanie się temu telegrafowi, naprawię go z twojej odprawy!

Moberg nie odpowiedział. Jego wygląd kwalifikował go do szpitala. Potem dowiedziałem się, że wtargnął do redakcji o północy, kompletnie pijany, i naszczał na telegraf. Poza tym nie napisaliśmy o zabójstwie w porcie, a to właśnie Moberg opowiadał za kontakty z policją. Lotterman rzucił mu jeszcze kilka przekleństw, po czym zwrócił się do Sali, który właśnie wszedł.

– Gdzie byłeś wczoraj w nocy, Sala? Dlaczego nie mamy żadnych zdjęć z tego morderstwa?

Sala wyglądał na zdziwionego.

– Co, do cholery?! Skończyłem przecież o ósmej! Spodziewasz się, że będę pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Lotterman wymamrotał coś i odwrócił się. Potem zauważył mnie i zaprosił do gabinetu.

– Jezu! – wykrzyknął, siadając. – Co się dzieje z tymi próżniakami! Wymykają się z biura, szczią na drogi sprzęt, oczywiście cały czas pijani... Cud, że jeszcze nie oszalałem.

Uśmiechnąłem się i zapaliłem papierosa.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Mam nadzieję, na Boga, że jesteś normalny! Kolejnego zboczeńca już nie przetrzymam.

– Zboczeńca? – spytałem.

– Ach, wiesz, co mam na myśli – powiedział, machając ręką. – Ogólnie zboczeńcy: pijacy, próżniacy, złodzieje... Bóg jeden wie, skąd się wzięli. Niewarci funta szczyń! – wykrzyknął. – Te gnidy wchodzi tutaj chyłkiem, częstują mnie wielkim uśmiechem, a potem znikają, nie mówiąc nikomu ani słowa. – Ze smutkiem potrząsnął głową. – Jak mam wydawać gazetę z samymi zapitymi łbami?

– Źle to brzmi – powiedziałem.

– Bo jest źle – mruknął. – Wierz mi, jest źle. – Potem spojrział na mnie. – Masz się ze wszystkim zapoznać jak najszybciej.

ciej. Kiedy skończymy rozmawiać, idź do biblioteki i przepokop się przez stare numery... Zrób notatki, dowiedz się, co tu się dzieje. – Kiwnął głową. – Potem możesz pogadać z Segarrą, naszym redaktorem naczelnym. Powiedziałem mu, żeby ci zrobił krótką odprawę.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę. Wspomniałem, że chodzą słuchy, że gazeta ma splajtować.

Wyglądał na zaniepokojonego.

– Dowiedziałeś się od Sali, prawda? Nie zwracaj na niego uwagi, to szaleniec.

Uśmiechnąłem się.

– Dobra. Po prostu pomyślałem, że zapytam.

– Za dużo tu szaleńców – rzucił. – Potrzeba trochę normalności.

Po drodze do biblioteki zastanawiałem się, jak długo wytrzymam w San Juan – jak długo, zanim zostanę uznany za gnidę czy zboczeńca, zanim zacznę się kopać we własne jaja albo zostanę zmasakrowany przez nacjonalistycznych bandytów. Pamiętałem dziwnie rozedrgany głos Lottermanna, kiedy zadzwonił do mnie do Nowego Jorku, i nieskładne zdania, jakie wypowiadał. Już wtedy to wyczuwałem, ale teraz byłem pewien. Wyobrażałem go sobie, jak kurczowo ścisnął telefon obiema rękami, starając się zachować spokojny ton, podczas gdy pod drzwiami gromadziły się gangi, a pijani reporterzy szczali po całym biurze.

– Jasne, Kemp – mówił nerwowo. – Brzmisz wystarczająco normalnie, po prostu tu przyleć i...

I przyleciałem. Nowa twarz w jaskini lwa, zboczeniec czekający na zaklasyfikowanie, obnoszący się ze swoim krawatem w tureckie wzory i koszulą z kołnierzykiem spiętym guzikami, nie najmłodszy, ale nadal przed półmetkiem – człowiek niejako na krawędzi, truchtający do biblioteki, by dowiedzieć się, o co tu właściwie chodzi.

Siedziałem tam ze dwadzieścia minut, kiedy przystojny, szczupły Portorykańczyk podszedł i klepnął mnie w ramię.

– Kemp? – zapytał. – Jestem Nick Segarra. Masz chwilę?

Wstałem i uściśliśmy sobie dłonie. Miał małe oczy, a jego włosy były tak doskonale uczesane, że zastanawiałem się, czy aby nie nosi tupeciku. Wyglądał na człowieka, który mógł pisać biografię Gubernatora... I na takiego, który bywał na jego przyjęciach.

Kiedy przechodziliśmy przez newsroom, kierując się w stronę jego biurka w rogu, do środka wkroczył człowiek wyglądający, jakby właśnie wyskoczył z reklamy rumu. Pomachał do Segarry i podszedł do nas – dystyngowany, uśmiechnięty, o buźdącej zaufanie twarzy Amerykanina, mocno opalony, w szarym lnianym garniturze, słowem: typ pracownika ambasady.

Ciepło powitał Segarrę i uściślił sobie dłonie.

– Uroczą gromadkę macie tam na ulicy – powiedział. – Jeden z nich mnie opluł, kiedy wchodziłem.

Segarra potrząsnął głową.

– To straszne, straszne... Ed wciąż ich tylko prowokuje...

– Potem spojrział na mnie – Paul Kemp, Hal Sanderson.

Przywitaliśmy się. Uścisk Sandersona był mocny, wyćwiczony. Wyczułem, że w młodości nauczono go, że mężczyznę ocenia się po tym, w jaki sposób podaje rękę. Uśmiechnął się, potem spojrział na Segarrę.

– Masz czas na drinka? Wpadłem na coś, co mogłoby cię zainteresować.

Segarra spojrział na zegarek.

– Nie ma sprawy. I tak właśnie miałem skończyć. – Popatrzył na mnie. – Porozmawiamy jutro, dobrze?

Odwrociłem się i chciałem odejść, ale Sanderson zawołał za mną:

– Dobrze, że jesteś tu z nami, Paul. Musimy zjeść kiedyś razem lunch.

– Jasne – odpowiedziałem.

Resztę dnia spędziłem w bibliotece. Kiedy o ósmej wychodziłem z budynku, spotkałem Salę, który właśnie tam wchodził.

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytał.

– Nic – odpowiedziałem.

Wyglądał na zadowolonego.

– Świetnie. Muszę zrobić kilka zdjęć w kasynach. Poszedłbyś ze mną?

– Chyba tak. Powinienem się przebrać?

– Jasne, że nie – powiedział z szerokim uśmiechem. – Wystarczy, jak będziesz miał krawat.

– Dobrze, w takim razie będę u Ala. Wpadnij po mnie, jak skończysz.

Skinął głową.

– Potrzebuję jeszcze z pół godziny. Muszę wywołać ten film.

Noc była gorąca, więc na nabrzeżu roiło się od szcurków. Parę przecznic ode mnie cumował wielki statek pasażerski. Pokład mienił się tysiącem świateł, a z wnętrza płynęła muzyka. Przy trapie stała grupka ludzi wyglądających na amerykańskich biznesmenów i ich żony. Przechodziłem drugą stroną ulicy, ale powietrze było tak nieruchome, że mogłem wyraźnie ich słyszeć – szczęśliwe, podekscytowane głosy, przeniesione żywcem z jakiegoś zapyziałego miasteczka w samym środku Ameryki, w którym spędzali pięćdziesiąt tygodni w roku. Przystanąłem, by ich posłuchać, chowając się w cieniu starego magazynu i czując się jak człowiek, który nie ma żadnej ojczyzny. Nie mogli mnie widzieć, a ja obserwowałem ich przez kilka minut, przysłuchując się tym głosom z Illinois, Missouri czy Kansas i czując, że znam ich aż za dobrze. Potem ruszyłem dalej i pozostając w cieniu, wdrapywałem się na wzgórze na drodze do Calle O'Leary.

Okolica baru Ala była pełna ludzi: staruszków siedzących na schodach, kobiet wchodzących i wychodzących z budynków, dzieci goniących się po wąskich chodnikach. Z otwartych okien dobiegała muzyka i szmer hiszpańskich rozmów, daleko na ulicy słychać było *Kołysankę* Brahmsa z furgonetki z lodami. Nad drzwiami baru lśniło słabe światło.

Wszedłem na patio, zamawiając po drodze hamburgery i piwo. Zauważyłem Yeamona, który siedział sam przy stoliku w tyle, z wytężoną uwagą wpatrując się w notatnik.

– Co to? – zapytałem, siadając naprzeciwko.

Spojrzał na mnie i odłożył notatnik na bok.

– To ten cholerny artykuł o emigrantach – powiedział ze znużeniem. – Ma być gotowy na poniedziałek, a ja nawet nie zacząłem.

– Coś dużego? – zapytałem.

Popatrzył na notatnik.

– Cóż... Może to zbyt duże jak na gazetę. – Utkwił we mnie wzrok. – Wiesz, dlaczego Portorykańczycy opuszczają Puerto Rico? – Potrząsnął głową. – Odkładałem to przez cały tydzień, a teraz, od kiedy przyjechała Chenault, nie jestem w stanie nic zrobić w domu... Trochę mnie to wszystko przygniała.

– A gdzie mieszkasz? – zapytałem.

Uśmiechnął się szeroko.

– Człowieku, powinienes to zobaczyć. Przy samej plaży, jakieś dwadzieścia mil od miasta. Po prostu cudowne miejsce, naprawdę musisz to zobaczyć.

– Brzmi nieźle – powiedziałem. – Chętnie sam bym coś takiego namierzył.

– Musiałbyś mieć samochód. Albo skuter, jak ja.

Przytaknąłem.

– W poniedziałek rozejrzę się za czymś.

W tym momencie weszli jednocześnie Sala oraz Sweep z moimi hamburgerami.

– Jeszcze trzy dla mnie – rzucił Sala. – Tylko szybko, spiesz się.

– Nadal pracujesz? – zapytał Yeamon.

Sala kiwnął głową.

– Ale nie dla Lottermana... To coś dla starego Boba. – Zapalił papierosa. – Mój agent potrzebuje kilku zdjęć z kasyn. Niełatwo je zdobyć.

– Dlaczego? – spytałem.

– Nielegalne – odpowiedział. – Zaraz jak tu przyjechałem, złapali mnie na fotografowaniu w Caribé... I musiałem zobaczyć się z komisarzem Roganem. – Roześmiał się. – Zapytał mnie, jak bym się czuł, gdyby zdjęcie, które zrobiłem jakiemuś biednemu sukinsynowi grającemu w ruletkę, ukazało się w gazecie w jego rodzinnym mieście właśnie wtedy, kiedy stara się o pożyczkę. – Znów się roześmiał. – Powiedziałem mu, że nic mnie to nie obchodzi. Jestem fotografem, a nie pracownikiem opieki społecznej.

– Niezłe z ciebie ziółko – stwierdził z uśmiechem Yeamon.

– Racja – zgodził się Sala. – Ale teraz już mnie znają, więc muszę robić zdjęcia tym. – Pokazał nam malutki aparat, nie większy od zapalniczki. – Ja i Dick Tracy. – Wyszczrzył się. – Załatwię ich wszystkich.

Potem zwrócił się do mnie.

– No, to pierwszy dzień za tobą. Dostałeś jakieś propozycje?

– Propozycje?

– Twój pierwszy dzień w pracy. Wiesz, ktoś musiał zaproponować ci jakiś interes.

– Nie – powiedziałem. – Poznałem tylko Segarrę... i jakiegoś Sandersona. Co to za facet?

– Spec od PR'u. Pracuje dla Adelante.

– Dla rządu?

– W pewnym sensie – odrzekł Sala. – Ludzie z Puerto Rico płacą Sandersonowi, żeby poprawiał ich wizerunek w Stanach. Adelante to specje od public relations.

– Ale wcześniej pracował dla Lottermana? – spytałem. To nazwisko przewinęło się kilka razy przez stare numery „Daily News”, które przeglądałem w bibliotece.

– Był tutaj od początku. Popracował trochę, a po roku skumał się z Adelante. Lotterman twierdzi, że go ukradli, ale to żadna strata. To oszust, naprawdę kawał kutasa.

– Kumpel Segarry? – zapytał Yeamon.

– Tak – odpowiedział Sala, w zamyśleniu wyrzucając sałatę i pomidory z hamburgerów. Zjadł w pośpiechu i wstał. – Idzie-

my – powiedział, patrząc na Yeamona. – Chodź z nami, zabawimy się.

Yeamon potrząsnął głową.

– Muszę dokończyć ten cholerny artykuł, a potem wracam do domu. – Uśmiechnął się. – Teraz jestem dobrym mężem.

Zapłaciliśmy rachunek i poszliśmy do samochodu Sali. Dach był opuszczony, więc podróż bulwarem do Condado sprawiła nam wiele przyjemności. Wiał chłodny wiatr, a warkot małego silnika odbijał się echem od drzew ponad naszymi głowami, gdy przebijaliśmy się przez korki.

Mieszczące się na pierwszym piętrze kasyno Caribé było wielkie i zadymione. Na ścianach wisiały czarne kotary. Sala chciał pracować sam, więc rozdzieliliśmy się przy drzwiach.

Zatrzymałem się przy blackjacku, ale wszyscy wydawali się znudzeni, więc przenieśliśmy się do stolika, przy którym grano w kości. Tam było więcej hałasu. Grupa marynarzy wrzeszczała, patrząc na turlające się po zielonym suknie kostki, a krupierzy grabili sztony w tę i w tę jak szaleni ogrodnicy. Pomiędzy marynarzami stali mężczyźni w smokingach lub jedwabnych marynarkach. Większość z nich paliła cygara, a kiedy się odzywali, to zawsze z nowojorskim akcentem. Gdzieś w chmurze dymu za sobą usłyszałem kogoś przedstawianego jako „największy złodziej w New Jersey”. Odwróciłem się lekko zaciekawiony i zobaczyłem, jak „złodziej” uśmiecha się skromnie, podczas gdy towarzysząca mu kobieta wybucha niepomowanym śmiechem.

Koło ruletki otaczali ludzie grający za niższe stawki, w większości nieudolnie kryjący swój wiek. Starzejące się kobiety powinny unikać światła w kasynach, światła, które podkreśla każdą zmarszczkę na twarzy i brodawkę na szyi, oświetla krople potu między obwisłymi piersiami, nie pozwoli skryć się zbędnym włoskom, zwiotczałym ramionom czy workom pod oczami. Patrzyłem na ich twarze, w większości czerwone od świeżych oparzeń słonecznych, gdy wgapiali się w podskakującą kuleczkę i nerwowo obracali w palcach ostatnie sztony.

Potem podszedłem do stolika, przy którym młody Portorykańczyk w białej marynarce rozdawał darmowe kanapki.

- Nie da się tego zatrzymać – powiedziałem do niego.
- *Śi* – odpowiedział poważnie.

Chciałem wrócić do ruletki, ale poczułem na ramieniu dłoń Sali.

- Gotowy? – spytał. – Jedziemy dalej.

Podjechaliśmy do pobliskiego hotelu Condado Beach, ale kasyno było prawie puste.

- Nic tu nie ma – rzekł Sala. – Sprawdźmy obok.

Obok znajdowało się La Concha. W kasynie przebywało nieco więcej ludzi, ale atmosfera była podobna – swego rodzaju otępiła wrzawa, trochę jakbyś wziął pobudzającą pigułkę wtedy, kiedy masz ochotę po prostu zasnąć.

Z niejasnego powodu wdałem się w rozmowę z kobietą, która twierdziła, że pochodzi z Trynidadu. Miała duże piersi, brytyjski akcent i była ubrana w obcisłą, zieloną sukienkę. W jednej chwili stałem z nią przy ruletce, a zanim się obejrzałem, znaleźliśmy się na parkingu, czekając na Salę, który – co było równie dziwne – po chwili przyszedł tam z inną dziewczyną, która okazała się przyjaciółką mojej nowej znajomej.

Z trudem udało się nam zmieścić w samochodzie. Sala wydawał się podekscytowany.

- Do diabła z resztą zdjęć – powiedział. – Załatwię to jutro. Więc... co teraz?

Jedynym miejscem, które znałem, był bar Ala, więc zaproponowałem, żebyśmy tam pojechali.

Sala zaprotestował.

- Będą tam te dupki z gazety. O tej porze wszyscy tam lądują.

Zapanowało krępujące milczenie, ale po chwili Lorraine przechyliła się przez siedzenie i zasugerowała, żeby pojechać na plażę.

- Noc jest taka piękna – powiedziała. – Przejedźmy się po prostu wzdłuż wydm.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

– O tak! Kupmy trochę rumu i pojedźmy na wydmy.

Sala wymamrotał coś i ruszyliśmy. Kilka przecznic od hotelu zatrzymaliśmy się obok jakiegoś sklepu i Sala wysiadł.

– Wezmę butelkę – powiedział. – Ale pewnie nie będą tu mieli lodu.

– Nie przejmuj się – odparłem. – Kup tylko papierowe kubki.

Zamiast pojechać na plażę niedaleko lotniska, które według Sali miały być opuszczone, skręciliśmy przy krańcu Condado i zatrzymaliśmy się na plaży naprzeciwko mieszkalnej części miejscowości.

– Dalej nie pojedziemy – rzekł Sala. – Ale możemy pójść popływać.

Lorraine zgodziła się, ale druga dziewczyna nie miała ochoty.

– Co z tobą, do cholery! – wrzasnął Sala.

Odpowiedziała mu tylko lodowatym spojrzeniem. Lorraine i ja wysiedliśmy z samochodu, zostawiając Salę z jego problemem. Przespacerowaliśmy się kilkaset jardów po plaży i w końcu zapytałem z niedowierzaniem:

– Naprawdę chcesz popływać?

– Oczywiście – odpowiedziała, zdejmując sukienkę przez głowę. – Cały tydzień miałam na to ochotę. Straszliwie nudne to miejsce, cały czas tylko siedziałyśmy i siedziałyśmy.

Rozebrałem się i patrzyłem na nią, jak zastanawiała się, czy nie zdjąć też bielizny.

– Źle byłoby ją zamoczyć – powiedziałem.

Uśmiechnęła się, pochwalając mój rozsądek, po czym rozpięła biustonosz i zdjęła majtki. Zeszliśmy w kierunku wody i próbowaliśmy pływać. Morze było ciepłe i słone, ale przybrzeżne fale były tak wielkie, że żadnemu z nas nie udało się utrzymać na nogach. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wypłynąć dalej, ale spojrzenie na ciemny ocean wystarczyło, żebym zmienił zdanie. Pobawiliśmy się więc chwilę przy brzegu, dając się przewracać falom, aż w końcu Lorraine wyszła na brzeg, mówiąc, że jest wyczerpana. Poszedłem za nią i kiedy usiedliśmy na piasku, poczęstowałem ją papierosem.

Porozmawialiśmy chwilę, starając się trochę wyschnąć, aż nagle złapała mnie i wciągnęła na siebie.

– Kochaj się ze mną – zażądała.

Roześmiałem się i nachyliłem, żeby ugryźć ją w pierś. Zaczęła jęczeć i szarpać mnie za włosy, a po kilku minutach przeniosłem ją na ubrania, żebyśmy się zanadto nie zapiaszczyli. Zapach jej ciała niesamowicie mnie podniecił, złapałem ją więc gwałtownie za pośladki i zacząłem ostro grzmocić. Nagle zaczęła wyć. Z początku myślałem, że robię jej krzywdę, ale później dotarło do mnie, że dostała jakiegoś ekstremalnego orgazmu. Miała ich jeszcze kilka, wyjąc za każdym razem, zanim ja poczułem powolne narastanie mojego.

Przeleżeliśmy tam parę godzin, bzykając się jeszcze kilkakrotnie, jak tylko odpoczęliśmy. Nie sądzę, żebyśmy powiedzieli przez ten cały czas więcej niż pięćdziesiąt słów. Wyglądało na to, że chciała tylko kolejnych wyjących orgazmów i turlania się dwóch ciał po piasku.

Przynajmniej tysiąc razy ugryzły mnie *mimi* – maleńkie owady dokuczliwe jak pszczoły. Kiedy już ubraliśmy się i powolnym krokiem ruszyliśmy do miejsca, gdzie zostawiliśmy Salę z drugą dziewczyną, byłem cały w bąblach.

Nie dziwiło mnie wcale, że po samochodzie nie było ani śladu. Wyszliśmy na ulicę i złapaliśmy taksówkę. Podrzuciłem ją do Caribé i obiecałem, że zadzwonię następnego dnia.

Kiedy dotarłem do pracy, zapytałem Salę, co się stało z jego dziewczyną.

– Nie wspominaj o tej suce – mruknął. – Dostała hysterii, musiałem ją zostawić. A jak twoja?

– Dobrze, przeszliśmy się z milę i zawróciliśmy.

Spojrzał na mnie uważnie, a potem odwrócił się i poszedł do ciemni.

Reszta dnia minęła mi na redagowaniu artykułów. Gdy wychodziłem, wezwał mnie Tyrrell i zakomunikował, że mam robotę na lotnisku wczesnym rankiem. O siódmej trzydzieści przylatywał burmistrz Miami, a ja miałem zrobić z nim wywiad. Nie chciałem brać taksówki, więc postanowiłem pożyczyć samochód od Sali.

Na lotnisku zobaczyłem tych samych ludzi o mocnych rysach, siedzących przy oknie i czekających na samolot z Miami.

Kupiłem „Timesa” za czterdzieści centów i przeczytałem o śnieżycy w Nowym Jorku: „Merritt Parkway nieprzejezdna... metro nie kursuje przez kilka godzin... pługi śnieżne na ulicach... Na pierwszej stronie kierowca-pługu na tle widoku Staten Island... Burmistrz Wagner po ramiona w śniegu... wszyscy spóźnieni do pracy...”.

Wyrzałem za okno na jasny karaibski poranek, zielony, leniwy i pełen słońca, po czym odłożyłem „Timesa”.

Samolot z Miami wylądował, ale bez burmistrza. Po krótkim dochodzeniu dowiedziałem się, że jego wizyta została odwołana „z powodów zdrowotnych”.

Poszedłem do budki telefonicznej i zadzwoniłem do redakcji. Odebrał Moberg.

– Burmistrz nie przyleciał – powiedziałem.

– Co?! – warknął Moberg.

– Podobno jest chory. Nie ma o czym pisać. Co mam zrobić? – zapytałem.

– Trzymaj się z daleka od biura. W mieście zamieszki... dwóm naszym złamano wczoraj ręce... podobno łamistrajki – roześmiał się. – Zabiją nas wszystkich. Przyjedź po lunchu, do tego czasu powinno się uspokoić.

Wróciłem do kawiarni i zjadłem śniadanie: jajka, bekon, ananas i cztery filiżanki kawy. Kiedy już się najadłem, poczułem się zrelaksowany i zupełnie przestało mnie obchodzić, czy burmistrz Miami żyje, czy nie. Powoli wyjechałem z parkingu i postanowiłem odwiedzić Yeamona. Dał mi wcześniej mapkę do swojego domku na plaży, ale nie byłem przygotowany na piaszczystą drogę, która wyglądała, jakby ją wycięto w filipińskiej dżungli. Całą drogę przejechałem na niskim biegu, z morzem po lewej i wielkim bagnem po prawej – przez całe mile palm kokosowych, mijając drewniane chatki pełne cichych, gapiących się na mnie tubylców, gwałtownie skręcając, by ominąć kury i krowy wychodzące na drogę, rozjeżdżając kraby lądowe, wlokąc się na pierwszym biegu przez głębokie kałuże stojącej wody, objając się i szarpiąc w koleinach i dziurach. Po raz pierwszy, od kiedy opuściłem Nowy Jork, poczułem, że przyjechałem na Karaiby.

W porannych promieniach słońca liście palm mieniły się na zielonozłoty kolor. Oślepiające białe światło odbite od wydm zmusiło mnie do zmrużenia oczu, gdy wybierałem najlepszą drogę między koleinami. Znad bagien unosiła się szarawa mgła, a przed chatkami Murzynki wieszały pranie na sztachetach. Nagle niemal zderzyłem się z czerwoną furgonetką z piwem,

dostarczającą towar do miejsca zwanego El Colmado de Jesús Lopo, malutkiego, krytego strzechą sklepiku na polanie niedaleko drogi. Wreszcie, po czterdziestu pięciu minutach potwornej jazdy w najbardziej prymitywnych warunkach, zauważyłem coś, co wyglądało na skupisko betonowych bunkrów na skraju plaży. Zgodnie ze słowami Yeamona, chodziło właśnie o to miejsce, więc zjechałem na bok i po przejechaniu jakichś dwudziestu jardów między palmami byłem już przed jego domem.

Siedziałem w samochodzie i czekałem, aż się pojawi. Jego skuter stał na patio przed domem, więc wiedziałem, że był w pobliżu. Kiedy przez kilka minut nic się nie działo, wysiadłem i postanowiłem się rozejrzeć. Drzwi były otwarte, ale dom był pusty. Choć właściwie nie przypominał domu, a raczej celę. Wzdłuż jednej ze ścian stało łóżko przykryte moskitierą. Całe mieszkanie składało się z jednego pokoju o wymiarach dwanaście na dwanaście, z małymi oknami i betonową podłogą. W środku było ciemno i wilgotno. Wolałem sobie nie wyobrażać, co się działo, gdy drzwi były zamknięte.

Tyle zobaczyć mogłem na pierwszy rzut oka, a miałem świadomość, że przyjechałem bez zapowiedzi i nie chciałem zostać przyłapany na węszeniu jak szpieg. Minąłem patio i wyszedłem na piaszczyste urwisko stromo opadające na plażę. Po bokach widziałem tylko biały piasek i palmy, a przed sobą – ocean. Jakies pięćdziesiąt jardów od brzegu fale rozbijały się na rafie koralowej.

Potem zauważyłem dwie postacie przylegające do siebie niedaleko rafy. Rozpoznałem Yeamona i dziewczynę, która przyjechała ze mną samolotem. Stali nadzy w wodzie głębokiej do pasa, ona obejmowała jego biodra nogami, trzymając go rękami za szyję. Odrzuciła głowę do tyłu, a jej rozpuszczone włosy unosiły się na wodzie jak blond grzywa.

Z początku sądziłem, że mam halucynacje. Cała scena wydawała się tak idylliczna, że mój umysł odmówił uznania jej za prawdę. Po prostu stałem tam i patrzyłem. Yeamon trzymał ją w talii, kołysząc powolnymi, kolistymi ruchami. Potem usły-

szalem delikatny, szczęśliwy okrzyk i zobaczyłem, jak dziewczyna rozkłada ramiona niczym skrzydła.

Wtedy wróciłem do samochodu i pojechałem do baru Jesúa Lopo. Kupiłem małą butelkę piwa za piętnaście centów i usiadłem na ławce na polanie, czując się jak staruszek. Scena, której dopiero co byłem świadkiem, przywołała wiele wspomnień – nie tego, co zrobiłem, ale tego, czego zrobić mi się nie udało, zmarnowane godziny, zniweczone chwile i możliwości utraczone na zawsze tylko dlatego, że czas pożarł tyle z mojego życia – i świadomość, że nigdy już tego wszystkiego nie odzyskam. Zazdrościłem Yeamonowi i zarazem żał mi było samego siebie, bo zobaczyłem go w chwili, która sprawiła, że wszystkie moje radości wydały się nijakie.

Poczułem się samotny – siedziałem na tej ławce z utkwionym na sobie wzrokiem Señora Lopo, patrzącego na mnie zza lady niczym czarnoksiężnik w krainie, w której biały człowiek w sztruksowym płaszczu nie ma ani prawa, ani nawet wymówki dla swojej obecności. Wytrzymałem ciężar jego wzroku przez jakieś dwadzieścia minut, a potem pojechałem z powrotem do domku Yeamona, mając nadzieję, że już skończyli.

Zbliżałem się do domu ostrożnie, ale Yeamon i tak zaczął krzyczeć w moim kierunku, jeszcze zanim zjechałem z drogi.

– Zawracaj! – wrzeszczał. – Nie przywoź tu ze sobą swoich problemów klasy robotniczej!

Uśmiechnąłem się głupkowato i zaparkowałem przy patio.

– Tylko kłopoty mogły cię sprowadzić tak wcześniej, Kemp – powiedział z szerokim uśmiechem. – Co się stało? Gazeta splajtowała?

Potrząsnąłem głową i wysiadłem z samochodu.

– Miałem poranne zlecenie.

– Dobrze. Akurat trafiłeś na śniadanie. – Ruchem głowy wskazał na chatkę. – Chenault właśnie je pichci, przed chwilą wyszliśmy z wody.

Podszedłem kawałek w kierunku plaży i rozejrzałem się. Nagle poczułem pragnienie, by rozebrać się i pobiec do wody. Słóń-

ce przygrzewało niemiłosierdzie, a ja spoglądałem z zazdrością na Yeamona, który miał na sobie tylko czarne kąpielówki. Czułem się jak windykator, stojąc tam w płaszczu, pod krawatem, z twarzą ociekającą potem i wilgotną koszulą przylepioną do pleców.

Wtedy z domu wyszła Chenault. Widziałem po jej uśmiechu, że rozpoznała we mnie człowieka, który wpadł w szal w samolocie. Uśmiechnąłem się nerwowo i przywitałem.

– Pamiętam cię – powiedziała.

Yeamon zaczął chichotać, a ja szukałem słów, by się wytłumaczyć.

Chenault miała na sobie białe bikini, a jej włosy opadały swobodnie do pasa. Nie pozostało w niej nic z sekretarki; wyglądała jak dzikie, zmysłowe dziecko, które nigdy nie nosiło niczego innego prócz dwóch pasków białego materiału i ciepłego uśmiechu. Była drobniutka, ale jej kształty optycznie powiększały sylwetkę; w przeciwieństwie do innych szczupłych dziewcząt była uosobieniem krągłości – samymi biodrami, udami, piersiami i długowłosym ciepłem.

– Cholera, głodny jestem – rzekł Yeamon. – Co ze śniadaniem?

– Prawie gotowe – powiedziała. – Chcesz grejpfruta?

– Jak cholera! – odpowiedział. – Siadaj, Kemp. Przestań tak źle wyglądać. Też chcesz grejpfruta?

Potrząsnąłem głową.

– Nie bądź taki grzeczny – powiedział. – Wiem, że masz ochotę.

– Dobrze, daj mi grejpfruta.

Pojawiła się Chenault z dwoma talerzami. Jeden podała Yeamonowi, a drugi położyła przede mną. Na talerzach leżały duże omlety udekorowane na górze bekonem.

Odmówiłem, tłumacząc, że już jadłem. Uśmiechnęła się.

– Nie martw się, wystarczy dla wszystkich.

– Nie żartuję, jadłem na lotnisku.

– To zjedz jeszcze raz – rzekł Yeamon. – Potem złowimy kilka homarów... mamy czas do południa.

– Nie jedziesz do miasta? – zapytałem. – Myślałem, że miałeś dziś kończyć ten artykuł o emigracji.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Dziś muszę napisać coś o tym zatopionym skarbie. Wypływam z kilkoma nurkami po południu. Twierdzą, że znaleźli wrak starego hiszpańskiego galeonu niedaleko portu.

– A co z emigrantami? – zapytałem.

– Zajmę się nimi, jak tylko skończę tę sprawę.

Wzruszyłem ramionami i zacząłem jeść. Chenault wyszła z własnym talerzem i usiadła u stóp krzesła Yeamona.

– Siadaj tu – powiedziałem, wstając.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Nie, tak jest dobrze.

– Siadaj – powiedział Yeamon. – Dziwacznie się zachowujesz, Kemp. Ranne wstawanie ci nie służy.

Burknąłem coś o przywoitości i wróciłem do jedzenia. Znad mojego talerza widziałem nogi Chenault, szczupłe, jędrne i opalone. Była tak bliska nagości, i najwyraźniej tak tego nieświadoma, że czułem się bezradny.

Po śniadaniu i faszce rumu Yeamon zaproponował, żebyśmy wzięli harpun i poszli po homary. Szybko się zgodziłem, czując, że prawie wszystko byłoby lepsze od siedzenia tam i gotowania się we własnym pożądaniu.

Yeamon miał zestaw do nurkowania z dużym, dwustrzałowym harpunem, a ja dostałem maskę i rurkę, które kupił dla Chenault. Wypłynęliśmy w pobliże rafy, gdzie patrzyłem, unosząc się na powierzchni wody, jak badał dno w poszukiwaniu homarów. Po chwili wypłynął i wręczył mi harpun, ale nie mogłem zbyt dobrze manewrować bez płetw, więc dałem sobie spokój i jemu zostawiłem nurkowanie. Zresztą i tak wołałem unosić się na delikatnych falach, spoglądając na białą plażę i palmy za nią i co chwila zanurzając się, by spojrzeć na Yeamona, wyglądającego jak monstrualna ryba szybująca po zupełnie innym świecie.

Kiedy przeszukaliśmy rafę na odcinku około stu jardów, zaproponował, żebyśmy spróbowali po drugiej stronie.

– W tym miejscu trzeba uważać – dodał, płynąc w kierunku płytkiego wycięcia w rafie. – Przyplływają tu rekiny. Pilnuj mnie, jak będę na dole.

Nagle wygiął się i zanurkował prosto w dół. Kilka sekund później wypłynął z dużym, zielonym homarem miotającym się na końcu jego harpuna.

Wkrótce pojawił się z kolejnym i popłynęliśmy z powrotem. Chenault czekała na nas na patio.

– Wspaniały lunch – rzekł Yeamon, wrzucając je do wiadra przy drzwiach.

– Co teraz? – zapytałem.

– Wystarczy urwać im nóżki i ugotować – odpowiedział Yeamon.

– Cholera. Szkoda, że nie mogę zostać.

– A kiedy musisz wracać do pracy?

– Niedługo. Czekają na wieści o burmistrzu Miami.

– Pieprz burmistrza – powiedział. – Zostań. Upijemy się i zabijemy kilka kurczaków.

– Kurczaków? – spytałem.

– Tak, wszyscy moi sąsiedzi mają kurczaki. Biegają swobodnie. Zabiłem jednego w zeszłym tygodniu, gdy zabrakło nam mięsa – roześmiał się. – Gonienie za nimi z harpunem to niezła zabawa.

– Jezu – burknąłem. – Ci ludzie ciebie pogonią z harpunem, jeśli odkryją, że zabijasz ich kurczaki.

Kiedy wróciłem do biura, odszukałem w ciemni Salę, by poinformować go, że oddaję samochód.

– Dobrze – powiedział. – Musimy jechać na uniwersytet. Lotterman chce, żebyś poznał wyższe sfery.

Pogadaliśmy przez kilka minut, a potem zapytał, jak długo mam zamiar zostać w hotelu.

– Muszę się niedługo wyprowadzić – odparłem. – Lotterman powiedział, że mogę tam zostać, dopóki nie znajdę własnego mieszkania, ale wspomniał też, że tydzień to i tak za długo.

Kiwnął głową.

– Tak, niedługo pewnie powie, żebyś się wynosił. Jeśli tego nie zrobisz, przestanie płacić twój rachunek. – Spojrzał na mnie.

– Możesz się wprowadzić do mnie, jeśli masz ochotę, przynajmniej dopóki nie znajdziesz czegoś, co ci się spodoba.

Pomyślałem przez chwilę. Jego mieszkanie na Starym Mieście przypominało raczej grobowiec, znajdowało się na parterze, miało wysoki sufit, okiennice i tylko przenośną maszynkę do gotowania.

– Czemu nie – powiedziałem. – Ile bierzesz?

– Sześćdziesiąt.

– Nieźle. A nie sądzisz, że zacznę działać ci na nerwy?

– Do diabła – odpowiedział. – I tak nigdy mnie tam nie ma.

To zbyt przygnębiające.

Uśmiechnąłem się.

– Jasne. Kiedy mam się wprowadzić?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy tylko chcesz. Cholera, zostań w tym hotelu, jak długo możesz. Kiedy o tym wspomni, powiedz mu, że następnego dnia się wyprowadzisz.

Zebrał swój sprzęt i wyszliśmy tylnymi drzwiami, żeby nie trafić na bandę stojącą przed budynkiem. Było tak gorąco, że zaczynałem się pocić za każdym razem, gdy stawaliśmy na czerwonym świetle. Potem, kiedy znów ruszaliśmy, chłodził mnie wiatr. Sala manewrował między samochodami na Avenida Ponce de León, kierując się na peryferia miasta.

Gdzieś w Santurce zatrzymaliśmy się, by przepuścić jakieś dzieciaki przez ulicę, a one zaczęły się z nas śmiać.

– *La cucaracha!* – wrzeszczały. – *Cucaracha! Cucaracha!*

Sala wyglądał na zakłopotanego.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Te małe gnojki nazywają mój samochód karaluchem – wymamrotał. – Powinienem ich rozjechać.

Uśmiechnąłem się, usiadłem wygodniej w fotelu i pojechaliśmy dalej. W świecie, w którym się znalazłem, panowała jakaś

dziwna i nierzeczywista atmosfera, wesoła, lecz zarazem dziwnie przygnębiająca. Mieszkałem w luksusowym hotelu, rozbijałem się po półlatynoskim mieście w miniaturowym samochodzie, wyglądającym jak karaluch i hałasującym jak odrzutowy myśliwiec, skradałem się po uliczkach i bzykałem na plaży, przeczesywałem wody odwiedzane przez rekiny w poszukiwaniu jedzenia, prześladowany jednocześnie przez gangi wrzeszczące w obcym języku – a wszystko to działo się w osobliwym, starym, hiszpańskim Puerto Rico, gdzie wszyscy wydawali amerykańskie dolary, jeździli amerykańskimi samochodami i zbierali się wokół stołu z ruletką, udając, że są w Casablance. Jedna część miasta przypominała Tampę, a druga – średnio-wieczny dom wariatów. Każdy, kogo spotykałem, wyglądał, jakby właśnie wracał ze zdjęć próbnych, które miały zadecydować o jego karierze. A w dodatku płacono mi absurdalne pieniądze za to, żebym włóczył się po mieście i wchłaniał jego atmosferę, żebym „dowiedział się, o co tu chodzi”.

Chciałem napisać do wszystkich moich przyjaciół i zaprosić ich, by tu przyjechali. Pomyślałem o Philu Rollinsie, harującym na śmierć w Nowym Jorku, tropiącym opóźnienia metra albo bójki gangów na Brooklynie; o Duke’u Petersonie, przesiadującym w White Horse i zastanawiającym się, co do cholery dalej robić; o Carlu Browne w Londynie, narzekającym na klimat i zabiegającym bez ustanku o kolejne zlecenia; o Billu Minnishi, pijącym na umór w Rzymie. Chciałem zatelegrafować do wszystkich: „Przylatujcie szybko stop dużo miejsca w beczce z rumem stop żadnej pracy stop mnóstwo pieniędzy stop picie cały dzień stop bzykanie całą noc stop szybko bo zaraz się skończy”.

Zastanawiałem się nad tym, patrząc na migające palmy i rozkoszując się słońcem na twarzy, aż nagle zostałem rzucony na przednią szybę, gdy zatrzymaliśmy się z piskiem opon. W tej samej chwili różowa taksówka wyjechała z przecznicy, mijając nas o sześć stóp.

Sala wytrzeszczył oczy, a żyły na jego szyi nabrzmiały.

– Matko Boska! – krzyknął. – Widziałeś tego sukinsyna? Prosto przed siebie na czerwonych światłach!

Szarpięciem dźwigni włączył bieg i z wyciem pojechaliśmy dalej.

– Jezu – wymamrotał. – Tego już za wiele! Muszę się stąd wyrwać, zanim mnie zabiją.

Trząśł się, więc zaproponowałem, że poprowadzę. Zignorował mnie.

– Człowieku, nie żartuję. Muszę stąd uciekać. Moje szczęście się kończy.

To samo powiedział już wcześniej i myślę, że w to wierzył. Bez przerwy mówił o szczęściu, ale tak naprawdę miał na myśli rodzaj bardzo uporządkowanego przeznaczenia. Odczuwał to niezwykle mocno – głęboko wierzył, że wielkie i niekontrolowane siły pracowały zarówno na jego korzyść, jak i przeciwko niemu, siły, które działały w każdej chwili na całym świecie. Rozrastanie się komunizmu martwiło go, ponieważ oznaczało, że ludzie ślepną na jego ludzką wrażliwość. Problemy Żydów przynębiały go, bo znaczyły, że ludzie potrzebują kozłów ofiarnych i prędzej czy później on stanie się jednym z nich. Również inne sprawy niepokoiły go bez przerwy: brutalność kapitalizmu, wykorzystującego jego talenty do swoich celów, kretyńska ordynarność amerykańskich turystów, która psuła mu reputację, bezmyślna głupota Portorykańczyków, bo przez nich jego życie stało się niebezpieczne i trudne, a nawet – z przyczyn dla mnie zupełnie niezrozumiałych – setki bezpańskich psów, które widział w San Juan.

Niewiele z tego, co mówił, było oryginalne. Wyróżniał go jednak absolutny brak poczucia obiektywizmu. Przypominał fanatycznego fana futbolu, który wbiega na boisko i odbiera piłkę zawodnikowi. Życie postrzegał jako Wielki Mecz, a całą ludzkość dzielił na dwie drużyny: Chłopcy Sali i Inni. Zawody były wspaniałe i każde zagranie miało ogromne znaczenie, ale mimo że obserwował je z nieomal obsesyjnym zainteresowaniem, siedział przecież na trybunach, wykrzykując bezgłośnie

rady niemych doradcom i wiedząc, że nikt nie zwraca na niego uwagi, bo to nie on kieruje drużyną – i nigdy nie będzie nią kierować. Podobnie jak wszyscy fani był przygnębiony świadomością, że najlepsze, co może zrobić, nawet w ciężkiej sytuacji, to wbiec na boisko i bezprawnie się awanturować, by potem wśród śmiechu widowni zostać wyprowadzonym przez strażników.

Nie dojechaliśmy na uniwersytet, bo Sala miał atak padaczki i musieliśmy zawrócić. Byłem przerażony, ale on tylko otrząsnął się i nawet nie pozwolił mi kierować.

W drodze powrotnej do redakcji zapytałem, jak udało mu się utrzymać tę pracę przez cały rok.

Roześmiał się.

– A kogo innego zatrudnią? Jestem jedynym profesjonalistą na całej wyspie.

Przedzieraliśmy się w wielkim korku i wreszcie Sala tak się zdenerwował, że musiałem poprowadzić. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wściekły tłum już się rozszedł, ale w redakcji panowało zamieszanie. Tyrrell, koń pociągowy, właśnie zrezygnował z pracy, a Moberga prawie na śmierć pobili związkowi bandyci. Otoczyli go na zewnątrz budynku i zemścili się za porażkę z Yeamonem.

Lotterman siedział na krześle w środku newsroomu, odpowiadając jękami i bredniami na pytania dwóch gliniarzy. Parę stóp od niego, przy swoim biurku spokojnie siedział Tyrrell, zajmując się swoimi sprawami. Miał tygodniowy okres wypowiedzenia.

Tak jak się spodziewałem, moja rozmowa z Segarrą okazała się stratą czasu. Siedzieliśmy przy jego biurku prawie godzinę, wymieniając banalne uwagi i śmiejąc się z własnych dowcipów. Mimo że doskonale mówił po angielsku, istniała między nami bariera językowa i czułem, że żadne prawdziwe znaczenie nigdy przez nią nie przepłynie. Odniosłem wrażenie, że doskonale wie, co dzieje się w Puerto Rico, ale nie ma pojęcia o dziennikarstwie. Kiedy mówił jak polityk, brzmiał sensownie, ale trudno mi było wyobrazić go sobie na stanowisku redaktora gazety. Może uważał, że wystarczy, jeśli dobrze orientuje się w sytuacji. Pomyśl, żeby przekazać to, co wie, komukolwiek, a szczególnie szerszej publiczności, uznałby za niebezpieczną herezję. Zaskoczyło mnie jedno – wspomniał, że on i Sanderson kończyli razem Columbię.

Zrozumienie, jaką funkcję Segarra pełnił w „Daily News”, zajęło mi dużo czasu. Nazywali go Naczelnym, ale tak naprawdę był nikim, i nie zwracałem na niego uwagi.

Być może właśnie dlatego nie zdobyłem w Puerto Rico zbyt wielu przyjaciół – a przynajmniej nie takich, jakich mogłem zdobyć. Segarra, jak mi pewnego dnia bardzo delikatnie wytłumaczył Sanderson, pochodził z jednej z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin na wyspie, a jego ojciec był kiedyś prokuratorem generalnym. I kiedy Nick został redak-

torem „Daily News”, gazeta zdobyła wielu wartościowych przyjaciół.

Nie sądziłem, że Lotterman zdolny jest działać w sposób tak przebiegły, a jednak w miarę upływu czasu zorientowałem się, że wykorzystywał Segarrę tylko w celach reprezentacyjnych, jako wymuskaną, doskonale działającą marionetkę, która miała przekonać odczytaną publiczność, że „Daily News” to nie organ *yanqui*, ale porządna miejscowa instytucja – jak rum i cukier trzciniowy.

Po naszej pierwszej rozmowie wymieniałem z Segarrą średnio trzydzieści słów na tydzień. Od czasu do czasu zostawiał mi wiadomość w mojej maszynie do pisania, ale zależało mu na tym, by mówić tak mało, jak to tylko możliwe. Na początku nie miałem nic przeciwko temu, chociaż Sanderson wytłumaczył mi, że odkąd Segarra postawił na mnie krzyżyk, jestem skazany na towarzyską samotność.

W tamtym czasie nie przejawiałem jednak żadnych towarzyskich ambicji. Miałem licencję na włóczenie się. Pracowałem jako dziennikarz, a to ułatwiało dostęp do wszystkiego, czego potrzebowałem, łącznie z najwspanialszymi balami w domu Gubernatora i tajnymi zatoczkami, w których nocami pływały nago debutantki.

Jednak po pewnym czasie Segarra zaczął mnie dręczyć. Odnosiłem wrażenie, że jestem w różnych sprawach pomijany, i to właśnie z jego winy. Kiedy nie zapraszano mnie na przyjęcia, na które i tak bym nie poszedł, albo kiedy dzwoniłem do kogoś z rządu i spławiała mnie jego sekretarka, zaczynałem się czuć jak trędowny w towarzystwie. Nie przeszkadzałyby mi to zupełnie, gdybym był przekonany, że dzieje się to z mojej winy, ale fakt, że Segarra sprawował nade mną swoją złowieszczą kontrolę, zaczynał mi działać na nerwy. Nie miało znaczenia to, czego mógł mi odmówić. Chodziło raczej o to, że mógł mi odmówić cegokolwiek, nawet tego, na czym mi nie zależało.

Z początku kusiło mnie, żeby obrócić wszystko w żart, sprawić mu tyle kłopotów, ile się da, pozwolić mu podjąć dowolną

decyzję. Zmieniłem jednak zdanie, bo nie byłem jeszcze gotów, by się pakować i znowu ruszać w drogę. Stawałem się już trochę zbyt stary na to, żeby przysparzać sobie potężnych wrogów, nie mając żadnego asa w rękawie, i brakowało mi też dawnego entuzjazmu, dzięki któremu w przeszłości robiłem tylko to, na co miałem ochotę, z całkowitą pewnością, że zawsze zdołam uciec przed konsekwencjami. Zmęczyło mnie już uciekanie, zmęczył mnie też brak atutów. A kiedy siedziałem raz sam na patio u Ala, przyszło mi do głowy, że człowiek może żyć ze swojego sprytu i odwagi tylko przez pewien czas. Ja robiłem to od dziesięciu lat i miałem przeczucie, że moje możliwości są już na wyczerpaniu.

Segarra i Sanderson byli dobrymi znajomymi i, co dziwne, pomimo że Segarra uważał mnie za prostaka, Sanderson starał się ze wszystkich sił być przyzwoity. W kilka tygodni po tym, jak go poznałem, musiałem zadzwonić do Adelante w sprawie artykułu, którym się zajmowałem, i pomyślałem, że równie dobrze mogę spróbować pogadać z Sandersonem.

Przywitał mnie jak starego kumpla, udzielił wszystkich informacji, jakich potrzebowałem, a potem tego samego dnia zaprosił do siebie na kolację. Byłem tak zaskoczony, że zgodziłem się bez namysłu. Ton jego głosu sprawił, że wydało mi się całkowicie naturalne, że powinienem zjeść u niego kolację, i dopiero gdy odłożyłem słuchawkę, zdałem sobie sprawę, że to wcale nie było naturalne.

Po pracy pojechałem taksówką do jego domu. Kiedy dotarłem na miejsce, zastałem Sandersona na werandzie z mężczyzną i kobietą, którzy właśnie przybyli z Nowego Jorku. Byli w drodze do Santa Lucia, gdzie mieli wsiąść na swój jacht, który załoga sprowadzała z Lizbony. Wspólny znajomy poradził, żeby odwiedzili Sandersona, gdy zatrzymają się w San Juan, i wzięli go kompletnie zaskoczenia.

– Posłałem po kilka homarów – powiedział nam. – Nie mamy wyboru, musimy pić, dopóki ich nie dostarczą.

Wieczór okazał się cudowny. Para z Nowego Jorku przypominała mi o czymś, czego od dawna już nie widziałem. Rozma-

wialiśmy o jachtach, na których się znałem, bo pracowałem na nich w Europie, i na których znali się oni, ponieważ przybyli ze świata, w którym każdy najwyraźniej posiadał przynajmniej jeden. Piliśmy biały rum, według Sandersona znacznie lepszy niż gin, i do północy upiliśmy się wystarczająco, żeby pójść na plażę popływać nago.

Od tamtego wieczora spędzałem równie dużo czasu u Sandersona co u Ala. Jego mieszkanie wyglądało tak, jakby zaprojektowano je w Hollywood na potrzeby filmu rozgrywającego się na Karaibach. Zajmował dolną połowę starego, otynkowanego domu, na samej plaży niedaleko granic miasta. Ze sklepionego sufitu w salonie zwisał wentylator, a przez wielkie drzwi wychodziło się na werandę ze ściankami z siatki. Przed werandą rozciągał się ogród pełen palm, z furtką prowadzącą na plażę. Weranda była położona wyżej niż ogród i kiedy w nocy siedzieliśmy tam, popijając, mieliśmy przed sobą całe miasto. Od czasu do czasu na horyzoncie przepływał statek wycieczkowy, jasno oświetlony i zmierzający do St. Thomas lub na Bahamy.

Gdy noc stawała się zbyt gorąca lub gdy za bardzo się upiłeś, mogłeś wziąć ręcznik i zejść na plażę popływać. Później czekała na ciebie dobra brandy, a jeśli nadal byłeś pijany – dodatkowe łóżko.

Tylko trzy osoby przeszkadzały mi u Sandersona – pierwszą był sam Sanderson, który wypełniał obowiązki gospodarza tak dobrze, że zastanawiałem się, co jest z nim nie tak; kolejną był Segarra, który siedział tam bardzo często, gdy przychodziłem; a trzecią był niejaki Zimburger, mieszkający w górnej połowie domu.

Zimburger wyglądał raczej na bestię niż na człowieka – wysoki, brzuchaty i łysy, z twarzą żywcem wziętą z jakiegoś sztańskiego komiksu. Twierdził, że jest inwestorem, i bez przerwy opowiadał o stawianiu hoteli tu i tam, ale z tego, co widziałem, jedynym jego zajęciem było chodzenie na spotkania rezerwistów amerykańskiej piechoty morskiej w środowe wieczory.

Zimburger nigdy nie dawał nam zapomnieć, że niegdyś był kapitanem piechoty. Mundur nakładał w środę już wczesnym przedpołudniem, potem schodził na werandę do Sandersona i pił aż do czasu, kiedy musiał wyjść na spotkanie. Zdarzało mu się też nosić mundur w poniedziałki lub piątki – najczęściej pod jakimś marnym pretekstem.

– Dziś nadprogramowe ćwiczenia – mówił. – Komandor Taki-a-taki chce, żebym pomógł przy szkoleniu strzeleckim.

Potem śmiał się i nalewał sobie następnego drinka. Nigdy nie zdejmował swojej marynarskiej czapki, nawet gdy siedział w domu przez pięć czy sześć godzin. Pił bez ustanku, więc kiedy robiło się ciemno, był już kompletnie pijany i zaczynał wrzeszczeć. Miotał się po werandzie albo salonie, warcząc i potępiając „tchórzów i dezerterów w Waszyngtonie” za to, że nie wysłali piechoty morskiej na Kubę.

– Pojadę tam! – krzyczał. – Jak cholera, że pojadę! Ktoś musi wreszcie zmiażdżyć tych sukinsynów i równie dobrze mogę zrobić to sam!

Często nosił pas i kaburę – broń musiał zostawiać w bazie – i od czasu do czasu klepał się w biodro i wrzeszczał na jakiegoś urojonego wroga za drzwiami. Z zażenowaniem patrzyłem, jak sięgał po pistolet, bo najwyraźniej myślał, że on rzeczywiście jest na swoim miejscu i kołysze się luźno na jego obwisłym udzie „zupełnie jak na Iwo Jimie”. Widok był żalospny, więc zawsze cieszyłem się, gdy wychodził.

Unikałem Zimburgera, jak tylko mogłem, ale czasem brał nas z zaskoczenia. Przychodziłem do Sandersona z poznaną gdzieś dziewczyną, jedliśmy kolację, a potem siedzieliśmy sobie spokojnie, rozmawiając – i nagle rozległo się walenie w drzwi. Czerwony na twarzy, wpadał do środka, w koszuli khaki poplamionej potem i marynarskiej czapce wciśniętej na jajowatą głowę – i siadał z nami na Bóg wie jak długo, nawijając na całe gardło o jakiejś międzynarodowej katastrofie, której łatwo można było uniknąć, „gdyby tylko pozwolili cholernej piechocie morskiej robić, co do niej należy, zamiast trzymać nas uwiązanych jak psy”.

Jak na mój gust, Zimburgera trzeba by nie tylko uwiązać, ale raczej zastrzelić jak wściekłego psa. Nie potrafiłem zrozumieć, jak Sanderson może go tolerować. Miał dla niego nieskończone pokłady uprzejmości, nawet w chwilach, gdy dla wszystkich innych stawało się oczywiste, że tego człowieka powinno się związać i wrzucić do morza jak wór śmieci. Domyślałem się, że to przez to, że Sanderson był urodzonym PR-owcem. Nigdy nie zauważyłem, żeby stracił panowanie nad sobą, a przecież w swojej pracy miał do czynienia z większą liczbą nudziarzy, sukinsynów i pozerów niż ktokolwiek inny na wyspie.

Sposób, w jaki Sanderson postrzegał Puerto Rico, bardzo różnił się od tego wszystkiego, co słyszałem w „Daily News”. Mówił, że nigdy nie widział miejsca o większym potencjale. Za dziesięć lat miał tam być raj, nowe amerykańskie złote wybrzeże. Możliwości były tak wielkie, że przekraczały jego wyobraźnię.

Zawsze mówił o tym, co działo się w Puerto Rico, z wielkim entuzjazmem, ale nigdy nie miałem pewności, w ile ze swoich słów właściwie wierzył. Nigdy mu nie zaprzeczałem, ale wiedział, że nie traktuję go do końca poważnie.

– Nie uśmiechaj się tak krzywo – mówił. – Pracowałem dla gazety, wiem, co mówią ci idioci.

Potem ekscytował się jeszcze bardziej.

– Gdzie się nauczyłeś tak patrzeć na wszystkich z góry? – pytał. – Nikogo tu nie obchodzi, czy skończyłeś Yale, czy nie. Dla tutejszych ludzi jesteś tylko dziennikarzem z marginesu, kolejnym palantem z „Daily News”.

Cała ta sprawa z Yale była właściwie makabrycznym dowcipem. Nigdy nie znalazłem się w odległości nawet pięćdziesięciu mil od New Haven, ale w Europie odkryłem, że łatwiej opowiedzieć ludziom, że ukończyłem Yale, niż tłumaczyć, dlaczego odszedłem po dwóch latach w Vanderbilt i zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Nigdy zresztą nie powiedziałem Sandersonowi, że studiowałem w Yale; musiał się tego dowiedzieć od Segarry, który z pewnością czytał mój list do Lottermana.

Sanderson studiował na Uniwersytecie Kansas, a później w szkole dziennikarstwa na Columbii. Twierdził, że jest dumny ze swojego wiejskiego pochodzenia, ale tak doskonale było widać, że się go wstydzi, że aż robiło mi się go żal. Raz, kiedy się upił, powiedział mi, że Hal Sanderson z Kansas już nie żyje – umarł w pociągu do Nowego Jorku, a Hal Sanderson, którego poznałem, urodził się w momencie, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Penn.

Oczywiście kłamał. Mimo karaibskich ubrań i manier z Madison Avenue, nawet mimo mieszkania przy plaży i sportowej alfy romeo, w Sandersonie tkwiło tyle Kansas, że czułem się zażenowany, gdy temu zaprzeczał. Zresztą było w nim nie tylko Kansas. Odnajdywałem tam mnóstwo Nowego Jorku, nieco Europy i coś jeszcze, czego nie można przypisać żadnemu państwu, a co stanowiło najważniejszy fakt z jego życia. Kiedy po raz pierwszy powiedział mi, że był winien dwa i pół tysiąca dolarów swojemu nowojorskiemu psychiatrze i wydawał pięćdziesiąt dolarów tygodniowo na miejscowego w San Juan, osłupiałem. Od tego dnia widziałem go w zupełnie innym świetle.

Nie znaczy to, że miałem go za wariata. Był pozerem, to jasne, ale przez długi czas myślałem, że to jeden z tych pozerów, którzy potrafią wziąć się w garść, gdy tylko chcą. Wydawał się wystarczająco szczerzy w kontaktach ze mną, a w tych momentach, kiedy się rozluźniał, niezmiernie go lubiłem. Tylko sporadycznie jednak tracił czujność, a najczęściej skłaniał go do tego rum. Zachowywał się swobodnie tak rzadko, że jego naturalne maniery wydawały się dziecinne i kłopotliwe, co było niemal żalosne. Odszedł tak daleko od samego siebie, że chyba nie miał już pojęcia, kim właściwie jest.

Szanowałem Sandersona mimo jego wad. Przybył do San Juan, by pracować w nowej gazecie, której prawie nikt nie traktował poważnie, a trzy lata później był już wiceprezesem największej firmy public relations na Karaibach. Z całą pewnością na to zapracował – i nawet jeśli przyświecały mu inne niż mnie cele, musiałem przyznać, że wykonał dobrą robotę.

Sanderson miał powody do optymistycznego nastawienia w kwestii Puerto Rico. Ze swojego punktu obserwacyjnego w Adelante brał udział w tylu transakcjach i zarabiał tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi robić. Nie miałem wątpliwości, że jeśli jego psychoanalityk nie podwyższy drastycznie swojej stawki, za jakieś dziesięć lat powinien stać się milionerem. Sam mówił o pięciu, jednak nie wierzyłem w to, ponieważ wydawało mi się prawie nieprzyzwoite, żeby ktoś wykonujący pracę taką jak Sanderson zarobił milion przed czterdziestką.

Panował nad wszystkim do tego stopnia, że podejrzewałem go o utratę zdolności rozróżniania między interesami a spiskiem. Kiedy ktoś szukał ziemi pod nowy hotel, kiedy w administracji wrzało z powodu nieporozumienia na najwyższym szczeblu albo kiedy cokolwiek istotnego miało się niedługo stać, Sanderson zwykle wiedział o tym więcej niż Gubernator.

Fascynowało mnie to, gdyż zawsze byłem obserwatorem, który przybywał na miejsce i otrzymywał drobną sumę pieniędzy za napisanie, co zobaczył i czego mógł się dowiedzieć, zadawszy kilka pośpiesznych pytań. Teraz, słuchając Sandersona, czułem, że jestem na progu gigantycznego przełomu. Biorąc pod uwagę zamęt gospodarczego boomu i moralność typu „kto pierwszy, ten lepszy”, która była jego motorem, po raz pierwszy w życiu czułem, że mogę wpłynąć na bieg wydarzeń, zamiast jedynie je obserwować. Może nawet miałem szansę się wzbogacić; na Boga, nie wydawało się to trudne. Wiele nad tym myślałem, i chociaż z ostrożności nigdy o tym nie wspominałem, zacząłem widzieć we wszystkim nowy wymiar.

Mieszkanie Sali na Calle Tetuán było mniej więcej tak przytulne, jak jaskinia – zawilgocona grotta w samych trzewiach Starego Miasta. Trudno było nazwać tę okolicę ekskluzywną. Sanderson jej unikał, a Zimburger nazywał rynsztokiem. Mieszkanie przypominało mi duże boisko do gry w piłkę ręczną w jakimś cuchnącym budynku YMCA. Sufit znajdował się na wysokości dwudziestu stóp, nie było czym oddychać, umeblowanie ograniczało się do dwóch metalowych łóżek polowych i zaimprovizowanego stolika piknikowego, a w związku z tym, że mieszkaliśmy na parterze, nigdy nie mogliśmy otwierać okien, ponieważ z ulicy weszliby złodzieje i okradli mieszkanie. Tydzień po tym, jak Sala się wprowadził, zostawił otwarte jedno z okien i ukradziono mu wszystko, co miał, łącznie z butami i brudnymi skarpetkami.

Nie mieliśmy lodówki, a więc i lodu, piliśmy zatem ciepły rum z brudnych szklanek i staraliśmy się trzymać z dala od tego miejsca, kiedy tylko się dało. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego Sali nie przeszkadzało dzielenie ze mną pokoju – w końcu obaj wpadaliśmy tam tylko po to, żeby się przebrać albo spać. Każdego wieczora siedziałem beczynn timer u Ala, pijąc aż do otępienia, bo nie mogłem znieść myśli, że muszę wrócić do tamtego mieszkania.

Po tygodniu udało mi się ustanowić w miarę ścisły plan dnia. Spałem mniej więcej do dziesiątej, w zależności od po-

ziomu hałasu na ulicy, potem brałem prysznic i szedłem do Ala na śniadanie. Dzień pracy w gazecie trwał zazwyczaj od południa do ósmej wieczorem, plus minus kilka godzin. Później wracaliśmy do Ala na kolację. Potem były kasyna, czasem przyjęcia albo po prostu przesiadywanie u Ala i wysłuchiwanie nawzajem swoich opowieści, dopóki się nie upiliśmy i bełkocząc, nie położyliśmy do łóżek. Zdarzało mi się też odwiedzać Sandersona, u którego zazwyczaj zastawałem ludzi, z którymi mogłem pić. Poza Segarrą i tym nędznym chciwcem Zimburgerem prawie wszyscy goście Sandersona pochodzili z Nowego Jorku, Miami albo Wysp Dziewiczych. Każdy z nich był w ten czy inny sposób kupcem, budowniczym albo sprzedawcą i teraz, gdy patrzę w przeszłość, nie mogę sobie przypomnieć ani jednego imienia czy twarzy spośród przynajmniej stu osób, które tam spotkałem. Nie dało się odnaleźć wśród nich nikogo charakterystycznego, ale tworzyli sympatyczne towarzystwo, które pozwalała odetchnąć od przygnębiających wieczorów u Ala.

Pewnego poniedziałkowego ranka obudziły mnie dźwięki brzmiące tak, jakby ktoś zarzynał dzieci na ulicy. Wyrząłem przez szczelinę w okiennicy i zobaczyłem około piętnastu małych Portorykańczyków, tańczących na chodniku i torturujących trójnogiego psa. Przekląłem ich siarczyście i pospieszyłem do Ala na śniadanie.

Była tam Chenault – siedziała samotnie na patio i czytała używany egzemplarz *Kochanka Lady Chatterley*. Wyglądała bardzo młodo i pięknie w białej sukience i sandałach, z włosami opadającymi swobodnie na plecy. Uśmiechnęła się, gdy podszedłem do jej stolika i usiadłem.

– Co cię tu sprowadza tak wcześnie? – zapytałem.

Zamknęła książkę.

– Och, Fritz musiał gdzieś pojechać i skończyć ten artykuł, nad którym pracuje. Muszę zrealizować kilka czeków podróży i czekam na otwarcie banku.

– Kim jest Fritz?

Spojrzała na mnie tak, jakbym się jeszcze nie do końca obudził.

– Yeamon? – spytałem szybko.

Roześmiała się.

– Nazywam go Fritz. To jego drugie imię – Addison Fritz Yeamon. Czyż to nie ładne?

Zgodziłem się, że ładne. Nigdy nie myślałem o nim inaczej jak po prostu Yeamon. W rzeczywistości nie wiedziałem o nim prawie nic. Przesiedziawszy tyle wieczorów u Ala, poznałem historię życia prawie wszystkich osób pracujących w gazecie, ale Yeamon niezmiennie podążał po pracy prosto do domu, więc zacząłem uważać go za samotnika bez prawdziwej przeszłości i z przyszłością tak mglistą, że nie było sensu o niej rozmawiać. Niemniej jednak zdawało mi się, że znam go na tyle dobrze, że nie musimy zbyt wiele rozmawiać. Od samego początku czułem wyraźny związek z Yeamonem, rodzaj subtelного zrozumienia, że w naszej lidze słowa mają niską cenę, a człowiek, który wie, do czego dąży, i tak ma mało czasu, by to znaleźć, a jeszcze mniej, żeby siedzieć i się z tego tłumaczyć.

Nie wiedziałem również właściwie nic o Chenault, poza tym, że zaszła w niej ogromna zmiana od czasu, kiedy widziałem ją po raz pierwszy na lotnisku. Teraz była opalona i szczęśliwa, nawet w połowie nie tak spięta i pełna nerwowej energii, jak wtedy, gdy miała na sobie strój sekretarki. Ale nie wszystko zniknęło. Pod rozpuszczonymi blond włosami i przyjaznym uśmiechem małej dziewczynki wyczuwałem coś, co poruszało się pewnie i szybko ku jakiejś od dawna oczekiwanej zmianie. Niepokoiło mnie to trochę, zwłaszcza że pamiętałem pożądanie, które od razu poczułem na jej widok, i to, jak wyglądała spleciona z Yeamonem tamgo ranka w wodzie. Pamiętałem również te dwa nieskromne paski białego materiału na jej dojrzałym ciałku na patio. Wszystko to krążyło po mojej głowie, gdy siedziałem z nią u Ala i jadłem śniadanie – hamburgera z jajkami.

Kiedy przybyłem do San Juan, menu u Ala składało się z piwa, rumu i hamburgerów. Była to wybuchowa mieszanka

śniadaniowa i kilkakrotnie zdążyłem się upić przed pójściem do pracy. Pewnego dnia poprosiłem Sweepa o jajka i kawę. Na początku odmówił, ale gdy poprosiłem ponownie, powiedział, że je przygotuje. Teraz, na śniadanie, można było dostać jajko do hamburgera i kawę zamiast rumu.

– Zostaniesz tu na dobre? – spytałem, patrząc na Chenault.

Uśmiechnęła się.

– Nie wiem. Odeszłam z pracy w Nowym Jorku. – Spojrzała na niebo. – Chcę tylko być szczęśliwa. Z Fritzem jestem szczęśliwa... więc zostaję.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– Tak, to wydaje się sensowne.

Roześmiała się.

– Ale nie potrwa długo. Nic nie trwa długo. Ale teraz jestem szczęśliwa.

– Szczęśliwa – mruknąłem, starając się pojąć znaczenie tego słowa. Ale to jedno z tych słów, których nigdy do końca nie rozumiałem. Tak jak Miłość. Większość ludzi trudniących się słowami nie pokłada w nich zbyt wiele wiary i ja nie stanowiłem wyjątku – zwłaszcza w przypadku tych wielkich. Szczęście, Miłość, Uczciwość czy Siła – to słowa za bardzo ulotne i względne w porównaniu z ostrymi, wrednymi słówkami takimi, jak Gówniarz albo Tani, albo Pozer. Z tymi czuję się jak w domu, bo są kościste i łatwe do pojęcia, lecz co do tych wielkich – trzeba być księdzem albo głupcem, by używać ich z choć odrobiną pewności siebie.

Nie byłem gotowy na przyklejanie Chenault żadnych etykietek, więc spróbowałem zmiany tematu.

– Nad jakim artykułem pracuje? – zapytałem, częstując ją papierosem.

Potrząsnęła głową.

– Nad tym samym, ma z nim masę problemów. Chodzi o tych Portorykańczyków wyjeżdżających do Nowego Jorku.

– Cholera. Myślałem, że skończył go już dawno temu.

– Nie – odrzekła. – Wciąż dostawał nowe zlecenia. Ale musi skończyć dzisiaj, i to właśnie teraz robi.

Wzruszyłem ramionami.

– Co tam, nie powiniem się tym martwić. Jeden artykuł w jedną czy w drugą stronę w tak byle jakiej gazecie jak ta nie robi dużej różnicy.

Około sześciu godzin później przekonałem się, że jednak robi różnicę, ale nie dokładnie w tym sensie, który miałem na myśli. Po śniadaniu odprowadziłem Chenault do banku, potem poszedłem do pracy. Dopiero około szóstej Yeamon wrócił z bliżej nieokreślonego miejsca, w którym spędził całe popołudnie. Kiwnąłem mu na powitanie, potem patrzyłem z pewną ciekawością, jak Lotterman wzywa go do swojego biurka.

– Chcę z tobą porozmawiać o tym emigracyjnym artykule – powiedział. – Co, do cholery, próbujesz mi udowodnić?!

Yeamon wyglądał na zaskoczonego.

– Co masz na myśli?

Lotterman nagle zaczął krzyczeć.

– To, że nie ujdzie ci to na sucho! Pracujesz nad tym artykułem trzy tygodnie, a teraz Segarra mówi mi, że do niczego się nie nadaje!

Twarz Yeamona zaczerwieniła się i pochylił się w kierunku Lottermana, jakby chciał złapać go za gardło.

– Do niczego? – spytał cicho. – Dlaczego jest... do niczego?

Nigdy nie widziałem, żeby Lotterman był bardziej zdenerwowany, jednak Yeamon wyglądał tak groźnie, że szybko zmienił ton – delikatnie, ale zauważalnie.

– Słuchaj – zaczął. – Nie płacę ci za to, żebyś pisał artykuły do czasopism. Co, do cholery, myślałeś, oddając do druku dwadzieścia sześć stron maszynopisu?!

Yeamon pochylił się do przodu.

– Rozbij to – odpowiedział. – Nie musisz drukować wszystkiego za jednym razem.

Lotterman roześmiał się.

– Aha, więc o to chodzi! Chcesz, żebym to puścił w odcinkach... Ma się ochotę na Pulitzera? – Zrobił krok do przodu

i znów podniósł głos. – Yeamon, kiedy będę od ciebie chciał artykułu w odcinkach, poproszę o artykuł w odcinkach. Jesteś zbyt tępy, żeby to zrozumieć?

Teraz już wszyscy patrzyli i spodziewałem się, że Yeamon zaraz rozrzuci zęby Lottermana po całym newsroomie. Kiedy zaczął mówić, zdziwił mnie jego spokój.

– Słuchaj – powiedział ostro. – Prosiłeś o artykuł o tym, czemu Portorykańczycy wyjeżdżają z Puerto Rico, prawda?

Lotterman tylko gapił się na niego.

– W porządku, więc pracowałem nad nim przez tydzień – nie przez trzy, jeśli weźmiesz pod uwagę inne bzdury, które kazałeś mi również pisać – a teraz wrzeszczysz dlatego, że ma dwadzieścia sześć stron! Cholera, powinien mieć sześćdziesiąt stron! Gdybym napisał go tak, jak chciałem napisać, wygnaliby cię z miasta za jego publikację!

Lotterman wyglądał, jakby nie był pewien, co odpowiedzieć.

– Cóż – rzekł po chwili milczenia. – Jeżeli chcesz napisać artykuł na sześćdziesiąt stron, to twoja sprawa... Ale jeśli chcesz dla mnie pracować, skrócisz go do tysiąca słów do jutrzejszego porannego wydania!

Yeamon uśmiechnął się niewyraźnie.

– Segarra jest dobry w te klocki... dlaczego jemu nie każesz go skondensować?

Lotterman nadął się jak ropucha.

– Co mówisz?! – krzyknął. – Nie zrobisz tego?!

Yeamon znów się uśmiechnął.

– Tak się tylko zastanawiam... Czy ktoś kiedyś chciał ci skrócić kark?

– Co to znaczy? – warknął Lotterman. – Grozisz, że skrócisz mi kark?

Yeamon uśmiechnął się.

– Człowiek nigdy nie wie, kiedy mu ktoś może skrócić kark.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Lotterman. – Mówisz jak wariat, Yeamon... Ludzi się zamyka za to, że mówią takie rzeczy.

– Otóż to – odparł Yeamon. – Karki się SKRĘCA! – powiedział głośno, jednocześnie wykonując rękami gwałtowny ruch skręcania i ani na chwilę nie odrywając wzroku od Lottermana.

Teraz Lotterman wydawał się naprawdę zaniepokojony.

– Rzeczywiście zwariowałaś – powiedział nerwowo. – Może lepiej, żebyś odszedł, Yeamon... w tej chwili.

– O nie – odrzekł szybko Yeamon. – Nie ma szans... jestem zbyt zajęty.

Lotterman dostał drgawek. Wiedziałem, że nie chce wylać Yeamona, bo musiałby mu zapłacić miesięczną odprawę.

– Tak, Yeamon, myślę, że lepiej będzie, jeśli odejdziesz – powiedział po chwili. – Nie wydajesz się tu szczęśliwy. Dlaczego nie złożysz wymówienia?

Yeamon roześmiał się.

– Jestem wystarczająco szczęśliwy. Dlaczego mnie nie wyjejesz?

Nastała pełna napięcia cisza. Wszyscy czekaliśmy na następny ruch Lottermana, rozbawieni, ale i nieco zdezorientowani całą tą sceną. Na początku zdawało się, że to kolejna tyra-da Lottermana, ale maniackie odpowiedzi Yeamona dodały jej dziwnego i groźnego posmaku.

Lotterman patrzył na niego przez chwilę. Wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż kiedykolwiek wcześniej. Potem odwrócił się i poszedł do swojego gabinetu.

Rozsiadłem się na krześle, uśmiechając się szeroko do Yeamona, a po chwili usłyszałem Lottermana wzywającego mnie do siebie. Rozłożyłem ręce, wruszając ramionami, po czym powoli wstałem i poszedłem do jego gabinetu.

Stał pochylony nad swoim biurkiem i bawił się piłką do baseballa, której używał jako przycisku do papieru.

– Przejrzyj to. Potem mi powiedz, czy jest warte skrócenia. – Podał mi plik papierów, jak się domyśliłem – artykuł Yeamona.

– A jeśli warto, to ja miałbym się tym zająć?

– Otóż to – potwierdził. – Tylko nie wciskaj mi kitu. Po prostu przeczytaj i powiedz, co możesz z tym zrobić.

Wziąłem artykuł, usiadłem przy biurku i przeczytałem go dwukrotnie. Po pierwszym razie wiedziałem już, czemu Segarra stwierdził, że jest do niczego. Artykuł składał się głównie z dialogów – rozmów z Portorykańczykami na lotnisku. Opowiadali o tym, dlaczego lecieli do Nowego Jorku, czego oczekiwali i co myśleli o życiu, które zostawiają za sobą.

Na pierwszy rzut oka – straszne nudy. W większości byli to naiwni ignoranci – nie czytali turystycznych prospektów ani reklam rumu, nie mieli pojęcia o boomie – chcieli tylko dostać się do Nowego Jorku. Całość była monotonna, jednak gdy skończyłem czytać, nie miałem wątpliwości, dlaczego ci ludzie wylatywali. Nie chodzi nawet o to, czy powody, które podawali, miały sens, niemniej jednak były to jakieś powody – proste stwierdzenia narodzone w umysłach, których nigdy nie będę w stanie zrozumieć, ponieważ wychowałem się w Saint Louis w domu z dwoma łazienkami, chodziłem na mecze futbolowe, imprezki z ginem, do szkoły tańca i w ogóle robiłem masę rzeczy, ale nigdy nie byłem Portorykańczykiem.

Przyszło mi do głowy, że prawdziwy powód, dla którego ci ludzie opuszczali wyspę, był w zasadzie tym samym powodem, dla którego ja opuściłem Saint Louis, przerwałem studia i powiedziałem sobie do diabła z tymi wszystkimi rzeczami, których zdaniem innych powinienem pragnąć – w rzeczywistości tymi, których miałem obowiązek pragnąć, niejako stać na ich straży. Zastanawiałem się, o czym ja bym opowiadał, gdyby ktoś przeprowadził ze mną wywiad na lotnisku Lambert tego dnia, gdy wylatywałem do Nowego Jorku z dwiema walizkami, trzystoma dolarami i kopertą pełną wycinków moich artykułów z wojskowego czasopisma.

– Proszę mi powiedzieć, panie Kemp, dlaczego opuszcza pan Saint Louis, gdzie pańska rodzina mieszkała od pokoleń i gdzie, na przykład, mógłby pan stworzyć miejsce do życia dla siebie i swoich dzieci, gdzie mógłby pan żyć bezpiecznie, spokojnie i dostatnio do końca swoich dni?

– Cóż, widzi pan, ja... no... cóż... mam takie dziwne poczucie.

Siedzę... no... siedzę tu i patrzę wokół, i mam ochotę stąd wyjechać, wie pan? Chcę stąd uciec.

– Panie Kemp, wygląda pan na rozsądnego człowieka... Co jest takiego w Saint Louis, że ma pan ochotę uciekać? Nie chcę być wścibski, rozumie pan, jestem po prostu dziennikarzem i sam pochodzę z Tallahassee, ale wysłali mnie tu, żebym...

– Oczywiście. Chciałbym tylko... no... wie pan... chciałbym być w stanie panu powiedzieć, że... no... może powinienem powiedzieć, że czuję nad sobą gumowy worek... czysto symbolicznie, wie pan... przekupna ignorancja ojców przechodzi na synów... rozumie pan coś z tego?

– Cóż... ha, ha... w pewnym sensie wiem, co ma pan na myśli, panie Kemp. W Tallahassee worek był bawełniany, ale mam wrażenie, że miał podobny rozmiar i...

– Tak, to ten cholerny worek... więc zabieram się stąd i chyba będę... no...

– Panie Kemp, chciałbym powiedzieć, że jestem pełen współczucia dla pana, ale rozumie pan, że jeśli wrócę z artykułem o gumowym worku, powiedzą mi, że jest do niczego, i pewnie mnie wyleją. Nie chcę pana przyciskać, ale może mógłby mi pan powiedzieć coś bardziej konkretnego; wie pan – czy nie stworzono tu dość możliwości dla dynamicznych młodych ludzi? Czy Saint Louis wywiązuje się ze swojej odpowiedzialności wobec młodzieży? Czy nasze społeczeństwo nie jest wystarczająco elastyczne dla młodych ludzi z pomysłami? Może mi pan powiedzieć, panie Kemp, o co chodzi?

– Cóż, kolego, chciałbym ci pomóc. Bóg jeden wie, że nie chcę, żebyś wrócił bez artykułu i żeby cię wylali. Wiem, jak to jest. Sam jestem dziennikarzem, wiesz... ale... cóż... czuję Przerazenie... Przyda się to? „Saint Louis przeraża młodych ludzi” – niezły tytuł, nie?

– Niech pan da spokój, panie Kemp, wie pan, że mi się to nie przyda, Gumowe Worki, Przerazenie...

– Cholera, człowieku, to strach przed workiem! Powiedz im, że ten facet, Kemp, ucieka z Saint Louis, bo podejrzewa, że wo-

rek jest pełen czegoś obrzydliwego, i nie chce się w nim znaleźć. Czuje to już z daleka. Ten facet, Kemp, to nie jest typowy młody człowiek. Wychował się w domu z dwoma toaletami i piłką futbolową, ale gdzieś po drodze zoczył z kursu. Teraz chce tylko Odlecieć, Uciec. Nie obchodzi go Saint Louis, nie obchodzi go ani trochę przyjaciele, rodzina czy cokolwiek innego... Chce tylko znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby oddychać... Czy to ci wystarczy?

– Cóż, no, panie Kemp, brzmi pan trochę histerycznie. Nie wiem, czy powinienem o panu pisać czy nie...

– Cóż, w takim razie pierdol się. Zejdź mi z drogi. Zapowiadają mój lot. Słyszysz ten głos? Słyszysz?

– Jest pan obłąkany, panie Kemp! Źle pan skończy! Znałem takich jak pan w Tallahassee i wszyscy skończyli...

Tak, wszyscy skończyli jak Portorykańczycy. Uciekli, nie mogąc powiedzieć dlaczego, ale cholernie chcieli wyjechać i nie obchodziło ich, czy gazety zrozumieją, czy nie. W tajemniczy sposób wpadli na pomysł, że wystarczy wyjechać w diabły, żeby znaleźć jakieś lepsze miejsce. Usłyszeli słowo, podłe, diabelskie słowo, które wypełnia ludzi nieokreślonym pragnieniem, by ruszyć w drogę – nie wszyscy na tym świecie żyją w błaszanych chatkach bez toalet, nie mają pieniędzy i nie jedzą nic poza ryżem i fasolą; nie każdy ścina trzinę cukrową za dolara dziennie albo wozi do miasta ładunek orzechów kokosowych, by sprzedać je po dwa centy za sztukę – tani, gorący i głodujący świat ich ojców i dziadków oraz wszystkich ich braci i siostr to nie wszystko, bo jeśli człowiek wyrzese z siebie wystarczająco dużo ikry lub choćby desperacji, by przebyć kilka tysięcy mil, istnieje całkiem duża szansa na to, że będzie miał pieniądze w kieszeni, mięso w żołądku i raz po raz sobie pobzyka.

Yeamon doskonale uchwycił ich nastrój. Na dwudziestu sześciu stronach wykroczył znacznie poza powody, dla których Portorykańczycy wylatują do Nowego Jorku; w ostatecznym rozrachunku artykuł dotyczył tego, dlaczego człowiek opuszcza swój dom mimo paskudnie małych szans powodzenia,

i kiedy skończyłem go czytać, poczułem się mały i głupi, myśląc o wszystkich tych bzdurach, które pisałem od przyjazdu do San Juan. Niektóre z rozmów były zabawne, inne żałosne, ale przez wszystkie przebiegał główny wątek, siła sprawcza, fakt, że ci ludzie myśleli, że być może dostaną szansę w Nowym Jorku, podczas gdy w Puerto Rico nie mieli żadnych szans.

Kiedy skończyłem czytać po raz drugi, zaniósłem całość do Lottermana i zasugerowałem, żeby puścił to w pięciu odcinkach.

Cisnął piłką o biurko.

– Cholera! Jesteś takim samym wariatem jak Yeamon! Nie mogę wydrukować pięciu odcinków, których nikt nie przeczyta!

– Przeczytają – powiedziałem, wiedząc, że to nieprawda.

– Nie wciskaj mi kitu! – warknął. – Przeczytałem dwie strony i znudziło mnie to śmiertelnie... cholerne biadolenie. Gdzie on się nauczył takiej bezczelności? Jest tu niecałe dwa miesiące i już próbuje zrobić mnie w drukowanie artykułu wyglądającego jak coś z „Prawdy”, i to jeszcze w odcinkach!

– Cóż – odrzekłem. – Pytałeś, co o tym sądzę.

Spojrzał na mnie gniewnie.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że tego nie zrobisz?

Chciałem po prostu odmówić – i odmówiłbym, tak mi się wydaje, jednak wahałem się o jedną sekundę za długo. Ta krótka chwila wystarczyła, żebym zdał sobie sprawę z konsekwencji – wylany z pracy, bez pieniędzy, znów na walizkach, rozpaczliwie szukający punktu zaczepienia w kolejnym miejscu. Powiedziałem więc:

– Ty tu rządzisz. Ja tylko mówię, co o tym sądzę, skoro o to właśnie prosisz.

Gapił się na mnie i widziałem, jak gorączkowo rozmyśla nad tą sprawą. Nagle zrzucił piłkę z biurka z taką siłą, że podskakując, potoczyła się w róg pokoju.

– Cholera! – wrzasnął. – Płacę temu facetowi grube pieniądze i co od niego dostaję? Kupę bezużytecznych pierdół! – Opadł na

fotel. – Jest już skończony. Od momentu, kiedy go zobaczyłem, wiedziałem, że będą z nim kłopoty. Teraz Segarra opowiada mi, że jeździ po mieście na motorze bez tłumika i sieje panikę wśród ludzi. Słyszałeś, jak groził, że mi skręci kark?! Widziałeś jego oczy? To psychol! Powiniennem kazać go zamknąć! Nie potrzeba nam takich ludzi – dodał. – Inna sprawa, jeśli są czegoś warci, ale on nie jest. To zwykły palant, próbujący narobić wszystkim kłopotów.

Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się, chcąc wyjść. Byłem zły, zdezorientowany i trochę zawstydzony swoim zachowaniem.

Lotterman zawołał za mną.

– Powiedz mu, żeby tu przyszedł. Zapłacimy mu i każemy się wynosić z budynku.

Przeszedłem przez newsroom i powiedziałem Yeamonowi, że Lotterman chce się z nim widzieć. W tym samym momencie usłyszałem, jak Lotterman wzywa do swojego gabinetu Segarrę. Kiedy Yeamon wszedł, obaj byli już w środku.

Dziesięć minut później pojawił się ponownie i podszedł do mojego biurka.

– Cóż, koniec z pensją – powiedział cicho. – Twierdzi też, że nie jest mi winien żadnej odprawy.

Potrząsnąłem ze smutkiem głową.

– Okropna sprawa. Nie wiem, co z nim jest nie tak.

Yeamon rozejrzał się z rezygnacją po redakcji.

– Nic szczególnego. Chyba pójdę do Ala na piwo.

– Spotkałem tam przed południem Chenault – powiedziałem.

Przytaknął.

– Odwiozłem ją do domu. Spieniżyła swój ostatni czek podróżny.

Znów potrząsnąłem głową, próbując szybko wpaść na coś optymistycznego, co mógłbym powiedzieć, ale zanim wymyśliłem cokolwiek, on był już w połowie drogi do swojego biurka.

– Do zobaczenia później – zawołałem za nim. – Upijemy się.

Kiwnął głową, nie odwracając się. Patrzyłem, jak sprząta swoje biurko. Potem wyszedł bez słowa.

Zabiłem resztę dnia, pisząc listy. O ósmej znalazłem w ciemni Salę i podjechalśmy do Ala. Yeamon był sam na patio, z nieobecny wyrazem twarzy siedział przy narożnikowym stoliku trzymając nogi na krześle. Podniósł wzrok, gdy podeszliśmy.

– No – powiedział cicho. – Panowie dziennikarze.

Wymamrotaliśmy coś na powitanie i przysiedliśmy z kupionymi wcześniej przy barze drinkami. Sala rozparł się wygodnie i zapalił papierosa.

– Więc ten sukinsyn cię wylał – powiedział.

– Taa – przytaknął Yeamon.

– Tylko nie pozwól, żeby cię wyrolował z odprawą – rzekł Sala. – Jeśli będzie robił jakiegokolwiek problemy, naślij na niego Ministerstwo Pracy, dostaniesz pieniądze.

– Mam nadzieję – powiedział Yeamon. – W przeciwnym razie będę musiał złapać tego sukinsyna na ulicy i bić go, zanim nie zapłaci.

Sala potrząsnął głową.

– Nie przejmuj się. Kiedy wylał Arta Glinnina, musiał zapłacić pięć stów. Glinnin w końcu go pozwał.

– Zapłacił mi za trzy dni – rzekł Yeamon. – Policzył wszystko co do godziny.

– Cholera – powiedział Sala. – Donieś na niego choćby jutro. Dowal mu. Niech wniosą skargę... zapłaci.

Yeamon zastanowił się przez chwilę.

– Powinno wyjść trochę ponad czterysta. Chwilę mógłbym z tego pożyć.

– To cholernie złe miejsce, żeby być bez grosza – powiedziałem. – Czterysta to niewiele, jeśli weźmiesz pod uwagę, że pięćdziesiąt potrzebujesz na sam samolot do Nowego Jorku.

Potrząsnął głową.

– To ostatnie miejsce, do którego pojedę. Ja i Nowy Jork nie przepadamy za sobą. – Wypił łyk drinka. – Nie, kiedy opuszczę to miejsce, myślę, że skieruję się na południe, na wyspy i poszu-

kam taniego transportu do Europy. – Pokiwał głową w zamysleniu. – Nie wiem, jak Chenault.

Przesiedzieliśmy u Ala cały wieczór, rozmawiając o tym, dokąd można się wybrać w Meksyku, na Karaibach i w Ameryce Południowej. Sala był tak rozgoryczony wylaniem Yeamona, że kilkakrotnie zapowiedział swoje odejście.

– Na co komu to miejsce?! – krzyczał. – Niech je zmiotą z powierzchni ziemi! Na co to komu?

Wiedziałem, że przemawia przez niego rum, ale po chwili zaczął przemawiać również przeze mnie, i zanim wróciliśmy do mieszkania, sam byłem gotów odejść. Im więcej mówiliśmy o Ameryce Południowej, tym bardziej chciałem tam pojechać.

– To dopiero miejsce – powtarzał Sala. – Pieniądze leżą na ulicy, anglojęzyczne gazety są w każdym większym mieście. Na Boga, to może być to!

W dół wzgórza szliśmy we trzech, ramię przy ramieniu po brukowanej ulicy, pijani i roześmiani, rozmawiając jak ludzie, którzy wiedzieli, że rozdzielą się o świcie i rozjadą w odległe zakątki świata.

Rzecz jasna, ani Sala, ani ja nie odeszliśmy. Atmosfera w redakcji była bardziej napięta niż kiedykolwiek wcześniej. W środę Lotterman dostał wezwanie z Ministerstwa Pracy, nakazujące mu stawić się na przesłuchanie w sprawie odprawy Yeamona. Przeklinał całe popołudnie, mówiąc, że prędzej w piekle będzie zima, niż odda centa temu psycholowi. Sala zaczął zbierać zakłady o wynik konfrontacji, stawka wynosiła trzy do jednego na rzecz Yeamona.

Na domiar złego odejście Tyrrella zmusiło Lottermana do przejęcia roli redaktora działu miejskiego. To oznaczało, że musiał wykonywać większość roboty. Uważał, że to tylko chwilowe, ale tymczasem jego ogłoszenie w „Editor & Publisher” pozostało bez odpowiedzi.

Nie byłem tym zdziwiony. Ogłoszenie brzmiało: „Redaktor codziennej gazety w San Juan. Praca od zaraz. Włączęgom i pi-jakom dziękujemy”.

W pewnym momencie zaproponował to stanowisko mnie. Któregoś dnia przyszedłem do pracy i znalazłem w maszynie do pisania notatkę mówiącą, że Lotterman chce mnie widzieć. Kiedy otworzyłem drzwi do jego gabinetu, leniwie bawił się swoją piłeczką. Uśmiechnął się przebiegle i podrzucił ją w górę.

– Tak sobie myślałem – powiedział. – Wydajesz się dość bystry. Zajmowałeś się kiedyś redagowaniem wiadomości miejskich?

– Nie – odparłem.

– A chciałbyś spróbować? – zapytał, ponownie podrzucając piłkę.

Nie zamierzałem mieć z tym nic wspólnego. Dostałbym sporą podwyżkę, ale i masę dodatkowej roboty.

– Jestem tu zbyt krótko. Nie znam miasta.

Wyrzucił piłkę w powietrze i pozwolił jej opaść na podłogę.

– Wiem – rzekł. – Tak tylko myślałem.

– A co z Salą? – zapytałem, wiedząc, że Sala z pewnością odmówi. Miał tyle własnych zleceń, że dziwiłem się, czemu w ogóle zadaje sobie trud utrzymywania tej pracy.

– Nie ma szans. Sali ta gazeta nie obchodzi. Właściwie to nie obchodzi go kompletnie nic. – Pochylił się do przodu i upuścił piłkę na biurko. – Kogo jeszcze tu mamy? Moberg to pijak, Vanderwitz to wariat, Noonan jest idiotą, a Benetiz nie zna angielskiego... Chryste! Skąd ja biorę takich ludzi? – Opadł z jękiem na fotel. – Muszę kogoś znaleźć! – krzyknął. – Oszaleję, jeśli będę miał robić wszystko sam!

– A co z ogłoszeniem? – spytałem. – Bez odpowiedzi?

Znów jęknął.

– Jasne... zapite łby! Jakiś facet twierdził, że jest synem Olivera Wendella Holmesa... jakby mnie to miało obchodzić! – Gwałtownie cisnął piłką o podłogę. – Kto przysyła tu same zapite łby?! – krzyknął. – Skąd się tu biorą?!

Pogroził mi pięścią i przemówił, jakby właśnie miał wykrztusić ostatnie słowa w życiu:

– Ktoś musi z tym walczyć Kemp. – Oni przejmują władzę. Te zapite łby przejmują władzę nad światem. Jeśli prasa upadnie, zginiemy, rozumiesz to?

Przytaknąłem.

– Na Boga – kontynuował. – Cięży na nas odpowiedzialność! Wolna prasa jest konieczna! Jeśli zgraja próżniaków przejmie kontrolę nad tą gazetą, to będzie początek końca. Najpierw przejmą naszą gazetę, potem kilka następnych, a pewnego dnia przejmą „Timesa”. Wyobrażasz to sobie?

Powiedziałem, że nie.

– Załatwią nas wszystkich! – wykrzyknął. – Są niebezpieczni i podstępni! Poznałbym w tłumie tego faceta, który twierdził, że jest synem sędziego Holmesa. To ten z włosami na szyi i oszalałym spojrzeniem!

Właśnie w tym momencie, jakby na zawołanie, do gabinetu wszedł Moberg, niosąc wycinek z „El Diario”.

Oczy Lottermana poczerwieniały z wściekłości.

– Moberg! – wrzasnął. – Jezu Chryste, kto ci pozwolił wlażyć tu bez pukania?! Bóg mi świadkiem, że każę cię zamknąć! Wynocha!

Moberg wycofał się w pośpiechu, przewracając oczami w moim kierunku, gdy wychodził.

Lotterman rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Ma tupet, pijaczyna. Chryste, takiego pijacznę powinno się uśpić.

Moberg pracował w San Juan dopiero od kilku miesięcy, ale Lotterman nienawidził go z pasją, której wyhodowanie innym zajęłoby lata. Moberg był degeneratem. Był niski, miał cienkie blond włosy i bladą, obwisłą twarz. Nigdy nie widziałem człowieka tak zdecydowanego na samozniszczenie – zresztą nie tylko samo-, ale zniszczenie wszystkiego, na czym mógł położyć rękę. Był obleśny i zepsuty w każdy możliwy sposób. Nienawidził smaku rumu, ale kończył butelkę w dziesięć minut, potem wymiotował i padał na ziemię. Jadał tylko słodkie bułki i spaghetti, które wyrzygiwał, gdy tylko się upił. Większość pieniędzy wydawał na dziwki, a kiedy zaczynały go nudzić, brał sobie na numerkę pedała, dla samej dziwaczności tego pomysłu. Dla pieniędzy zrobiłby wszystko. To właśnie on odpowiadał w redakcji za kontakty z policją. Często znikał na kilka dni z rzędu. Potem ktoś musiał go tropić w najgorszych barach w La Perla, slumsach tak obrzydliwych, że na mapach San Juan figurują jako biała plama. La Perla stanowiła jego kwaterę główną; mówił, że tam czuje się jak w domu, a w pozostałej części miasta – poza kilkoma okropnymi barami – był zagubioną duszą.

Powiedział mi, że pierwsze dwadzieścia lat swojego życia spędził w Szwecji, więc często próbowałem wyobrazić go sobie na tle rzeńskiego, skandynawskiego krajobrazu. Zastanawiałem się, jak wyglądałby na nartach, albo jak mieszka spokojnie z rodziną w jakiejś zimnej wiosce w górach. Z tych kilku zdań, które powiedział o Szwecji, wywnioskowałem, że mieszkał w małym miasteczku, a jego rodzice byli dobrze sytuowanymi ludźmi z wystarczającą ilością pieniędzy, żeby wysłać go na studia do Stanów.

Spędził dwa lata na NYU, mieszkał w Village, w jednym z tych akademików przeznaczonych dla zagranicznych studentów. To najwyraźniej wytrąciło go z równowagi. Pewnego razu aresztowano go na Sixth Avenue za to, że – jak mówił – sikał na hydrant jak pies. Kosztowało go to dziesięć dni w lochach, a kiedy wyszedł, od razu wyjechał do Nowego Orleanu. Ugrzązł tam na pewien czas, później dostał pracę na frachtowcu płynącym na Daleki Wschód. Kilka lat popracował na statkach, później zniósł go w stronę dziennikarstwa. Teraz, mając trzydzieści trzy lata i wyglądając na pięćdziesiąt, podłamany na duchu, a na ciele spuchnięty od alkoholu, skakał z jednego kraju do drugiego, zatrudniał się jako reporter i zostawał, dopóki go nie wylano.

Zazwyczaj był odrażający, jednak z rzadka miał przebłycki zastałej inteligencji. Ale alkohol i rozpustne życie przeżarły jego mózg do tego stopnia, że gdy tylko kazał mu pracować, zachowywał się jak stary silnik, który sfiksował przy próbie naprawy.

– Lotterman myśli, że jestem Demogorgonem – powtarzał.
– Chcesz wiedzieć, co to takiego? Sprawdź w słowniku – nic dziwnego, że mnie nie lubi.

Pewnego wieczoru u Ala powiedział mi, że pisze książkę, zatytułowaną *Nieuchronność dziwnego świata*. Traktował to bardzo poważnie.

– To taka książka, jaką napisałby Demogorgon – powiedział.
– Pełna obrzydliwości i przerażająca... wybrałem najbardziej ohydne rzeczy, jakie mogłem sobie wyobrazić. Bohater jest

przebrany za księdza kanibalem... kanibalizm mnie fascynuje – jednego razu w więzieniu pobili prawie na śmierć pijaka i zapytałem któregoś z gliniarzy, czy mogę zjeść kawałek jego nogi, zanim go zabiją. – Roześmiał się. – Świnia, wywalił mnie stamtąd. Uderzył pałką. – Roześmiał się raz jeszcze. – Zjadłbym ją, dlaczego nie? Nie ma nic świętego w ludzkim mięsie. To mięso jak każde inne, zaprzeczyłbyś temu?

– Nie – odparłem. – Czemu miałbym zaprzeczać?

To był jeden z niewielu razów, kiedy mogłem zrozumieć, co do mnie mówi. Przez większość czasu zwyczajnie bełkotał. Lotterman wiecznie groził, że go wyleje, ale miał taki niedobór kadrowy, że nie mógł sobie pozwolić na pozbycie się kogokolwiek. Gdy Moberg spędził kilka dni w szpitalu po tym, jak został pobity przez strajkujących, Lotterman miał nadzieję, że trochę się wyprostuje. Jednak po powrocie do pracy stał się jeszcze bardziej nieobliczalny.

Czasami zastanawiałem się, które z nich – Moberg czy „News” – przetrzyma to drugie. Wszystko wskazywało na to, że gazeta już ledwo zipie. Nakład stale się obniżał i traciliśmy reklamodawców tak szybko, że nie mogłem zrozumieć, jak Lotterman wiąże koniec z końcem. Bardzo się zapożyczył, żeby założyć „Daily News”, a według Sandersona, nigdy nie zarobił na nich ani centa.

Wciąż miałem nadzieję na zastrzyk świeżej krwi, ale Lotterman stał się tak nieufny wobec „zapitych łbów”, że odrzucał każdą odpowiedź na swoje ogłoszenia.

– Muszę być ostrożny – wyjaśniał. – Jeszcze jeden zboczeniec i jesteśmy skończeni.

Obawiałem się, że nie stać go na kolejne wypłaty, ale pewnego dnia w biurze pojawił się człowiek o nazwisku Schwartz, który powiedział, że właśnie wyrzucono go z Wenezueli, i Lotterman zatrudnił go natychmiast. Ku zaskoczeniu wszystkich, okazał się kompetentny. Po kilku tygodniach wykonywał już całą robotę Tyrrella.

Odciażyło to, co prawda, Lottermana, ale nie dało wiele gazecie. Zeszliśmy z dwudziestu czterech stron na szesnaście,

a w końcu nawet dwanaście. Perspektywy rysowały się ponuro, zaczęto nawet mówić o tym, że „El Diario” ma już gotowy do druku nekrolog „Daily News”.

Nie byłem przesadnie lojalny wobec gazety, ale sądziłem, że dobrze było mieć stałą pensję podczas poszukiwań czegoś lepszego. Myśl, że „News” mogłyby splajtować, zaczęła mnie martwić i zastanawiałem się, dlaczego tak mała rzecz, jak anglojęzyczna gazeta nie była w stanie się utrzymać w San Juan mimo tak dobrej koniunktury. Nie było to może pismo najwyższych lotów, ale z pewnością dało się je czytać.

Za ten stan odpowiedzialny był przede wszystkim Lotterman. Miał wystarczająco duże kompetencje, ale stał na pozycjach nie do obrony. Jako znany ekskomunista musiał stale udawadniać, jak bardzo się zmienił. W tym czasie Departament Stanu USA określał Puerto Rico jako „Reklamówkę Ameryki na Karaibach – żywy dowód tego, że kapitalizm się przyjął w Ameryce Łacińskiej”. Ludzie, którzy tam jechali, widzieli siebie jako bohaterów i misjonarzy, niosących dobrą nowinę wolnego rynku uciskanym *jíbaros*. Komuchami brzydzili się jak grzechem, więc fakt, że eksczerwony wydawał gazetę w ich mieście, z pewnością ich nie uszczęśliwił.

Lotterman najzwyczajniej nie potrafił dać sobie z tym rady. Robił co mógł, by zaatakować wszystko, co choćby odrobinę przypominało lewicę, bo zdawał sobie sprawę, że zostałby ukrzyżowany, gdyby tego nie zrobił. Z drugiej strony, był niewolnikiem niezależnego rządu Puerto Rico, który z subsydiów USA nie tylko opłacał połowę nowego przemysłu na wyspie, ale i płacił za większość reklam w „News”. Jego położenie było nieprzyjemne – zresztą nie tylko jego, ale i wielu innych. Żeby cokolwiek zarobić, musieli układać się z rządem, ale układ z rządem oznaczał zgodę na „pełzający socjalizm”, który nie do końca zgadzał się z ich misjonarskim obowiązkiem.

Zabawnie było patrzeć, jak sobie z tym radzili, bo jeśli w ogóle się nad tym zastanawiali, mieli tylko jedno wyjście – wychwalać swoje cele i ignorować środki. Ten uświęcony tra-

dycją zwyczaj usprawiedliwiał wszystko, prócz kurczących się dochodów.

Wystarczyło pójść na cocktail party w San Juan, by zobaczyć wszystko, co tanie i chciwe w naszej naturze. Ludzie, którzy chcieli uchodzić za towarzystwo, tworzyli hałaśliwe kłębowisko złodziei i pretensjonalnych kanciarzy, byli aktorami w monotonnym, drugorzędnym przedstawieniu, szarlatanami, błaznami i filistynami o kulawej mentalności. Stanowili nową fałę Okies, zamiast na zachód – udających się na południe. W San Juan stali się rekinami, żarłocznymi na władzę.

Tworzyli kluby i organizowali ogromne przyjęcia towarzyskie, aż wreszcie jeden z nich zaczął wydawać bezlitosny brukowiec, budzący przerażenie i grozę we wszystkich, którzy nie mogli pochwalić się czystą polityczną przeszłością. A była to połowa tej grupy, włącznie z Lottermanem, przeciw któremu nieomal co tydzień wysuwano bezwzględne oszczerstwa.

Jako że wszyscy naciągacze pragną rozgłosu, darmowego alkoholu dla prasy nigdy nie brakowało. Nawet najmniejsza okazja okazja warta była tego, by dla jej uczczenia zorganizować coś, co zwali „imprezą prasową”. Za każdym razem, gdy Woolworth’s czy Chase Manhattan Bank powoływały nowy oddział, świętowali to rumową orgią. Ani jeden miesiąc nie upłynął bez otwarcia nowej kręgielni; budowali je na każdej wolnej działce – powstało tak wiele kręgielni, że nawet zastanawianie się nad tym, co to może znaczyć, było okropne.

Z nowej Izby Handlowej w San Juan dochodził strumień oświadczeń, przy których nawet przepowiednie świadków Jehowy wydawały się blade i pesymistyczne – pełne bicia się w piersi elaboraty, ogłaszające jedno zwycięstwo za drugim w krucjacie o wielkie pieniądze. A poza tym wszystkim była jeszcze niekończąca się seria prywatnych przyjęć dla odwiedzających gwiazd. I tutaj wyznawano zasadę, że każdy półgłówek z Kiwanis jest wart tego, by urządzić bibę ku jego czci.

Zazwyczaj chadzałem na takie imprezy z Salą. Na widok jego aparatu wszystkim gościom miękły nogi. Jedni zaczynali się

zachowywać jak tresowane świnie, a inni kłębili się beładnie jak owce, wszyscy w oczekiwaniu na to, że „pan z gazety” naciśnie swój magiczny guzik, a ich szczodra gościnność wreszcie się opłaci.

Staraliśmy się przychodzić wcześniej i podczas gdy Sala odciągał ich uwagę, robiąc im masę nic nieznaczących zdjęć, które najczęściej nie miały być wywołane, ja kradłem tyle butelek rumu, ile tylko mogłem unieść. Jeśli był barman, prosiłem go o trochę alkoholu dla prasy i nawet, kiedy protestował, zabierałem butelki. Niezależnie od tego, jaką zbrodnię popełniałem, wiedziałem, że nie będą się skarżyć.

Później jechaliśmy do Ala, po drodze zostawiając rum w mieszkaniu. Stawialiśmy wszystkie butelki na pustej półce na książki i zdarzało się, że ich liczba dochodziła do dwudziestu czy trzydziestu. Jeśli tydzień był dobry, wpadaliśmy na trzy przyjęcia i zbieraliśmy średnio trzy do czterech butelek przez każde pół godziny bolesnego udzielania się w towarzystwie. Miło było mieć zapas rumu, który nigdy się nie wyczerpie, jednak po jakimś czasie nie mogłem już wytrzymać nawet kilku minut na takiej imprezie i musiałem dać sobie spokój z tym procederem.

Pewnej soboty pod koniec marca, kiedy kończył się już sezon turystyczny, a handlarze przygotowywali się na duszne i mało zyskowe lato, Sala otrzymał zadanie, by pojechać do Fajardo, na wschodni koniec wyspy, i zrobić tam kilka zdjęć nowego hotelu, wznoszonego na wzgórzu z widokiem na port. Lotterman pomyślał, że „News” mogłyby uderzyć w radosny ton, podkreślając, że wszystko będzie toczyć się jeszcze lepiej w przyszłym sezonie.

Zdecydowałem, że zabiorę się z Salą. Od samego początku mojego pobytu w San Juan miałem ochotę zwiedzić wyspę, ale bez samochodu było to niemożliwe. Jak dotąd, najdalej wybrałem się do Yeamona, jakieś dwadzieścia mil od miasta, a Fajardo znajdowało się dwa razy dalej w tym samym kierunku. Postanowiliśmy zabrać trochę rumu i zatrzymać się u niego w drodze powrotnej, mając nadzieję trafić na moment, kiedy właśnie dopływa do brzegu z siatką pełną homarów.

– Myślę, że jest w tym już cholernie dobry – stwierdziłem.
 – Bóg wie, z czego teraz żyje... Pewnie są na stałej, homarowo-kurczakowej diecie.

– Niech to – zauważył Sala. – Kurczaki są drogie.

Roześmiałem się.

– Nie w jego stronach. Poluje na nie z harpunem.

– Boże wszechmogący! – wykrzyknął Sala. – Przecież tam roi się od wyznawców voodoo. Zamorduj go, bez dwóch zdań!

Wzruszyłem ramionami. Od samego początku przypuszczałem, że Yeamon prędzej czy później zostanie zabity – przez kogoś lub jakiś bezimienny tłum, z tego czy innego powodu. Wydawało się to nieuniknione. Kiedyś byłem taki sam. Chciałem mieć wszystko, i to jak najszybciej – i żadna przeszkoda nie była dla mnie wystarczająco duża. Od tamtego czasu nauczyłem się, że niektóre rzeczy są większe, niż się wydają z daleka, i teraz nie byłem już pewien, co dostanę, ani nawet na co zasługiwałem. Nie byłem dumny z tego, czego się nauczyłem, ale nigdy nie wątpiłem, że warto to wszystko wiedzieć. Yeamon miał albo nauczyć się tych samych rzeczy, albo wykitować.

To właśnie mówiłem sobie w te gorące popołudnia w San Juan, kiedy miałem trzydzieści lat i mokrą koszulę przyklepioną do pleców, i kiedy czułem, że stoję na tym wielkim i samotnym szczycie, mając za sobą swoje bohaterskie lata, i że dalej jest już tylko z górki. To były przedziwne czasy, a moje fatalistyczne poglądy na życie Yeamona wynikały raczej z konieczności niż z przekonania, bo gdybym dawał mu choćby najmniejsze szanse na powodzenie, musiałbym przyznać się sam przed sobą do wielu nieprzyjemnych rzeczy.

Do Fajardo dotarliśmy po godzinie jazdy w palącym słońcu i wpadliśmy na drinka do pierwszego napotkanego baru. Później wjechaliśmy na wzgórze na peryferiach miasteczka, gdzie Sala krzątał się prawie przez godzinę, ustawiając kolejne ujęcia. Niezależnie od tego, z jak wielką pogardą odnosił się do swojego zadania, pozostawał powściągliwym perfekcjonistą. Jako „jedyny profesjonalista na wyspie” czuł, że musi bronić swojej reputacji.

Kiedy skończył, kupiliśmy dwie butelki rumu, torbę lodu i pojechaliśmy w kierunku zjazdu do domku Yeamona. Droga była utwardzona aż do rzeki w Loíza, gdzie dwóch tubylców obsługiwało prom. Skasowali dolara za samochód, potem przepchnęli nas na drugą stronę, nie mówiąc ani słowa przez całą drogę. Czułem się jak pielgrzym przepływający przez Gan-

ges, stojąc w słońcu i patrząc na wodę, podczas gdy przewoźnicy opierali się o swoje pale i przepychali nas w kierunku palmowego zagajnika na drugim brzegu. Uderzyliśmy o nabrzeże, a wtedy oni przycumowali prom do wkopanego pionowo bala i Sala zjechał samochodem na stały ląd.

Czekało nas jeszcze pięć mil piaszczystej drogi przed dotarciem na miejsce. Sala przeklinał cały czas, zarzekając się, że zawróciłby, gdyby tylko nie musiał płacić następnego dolara za przepłynięcie rzeki. Samochodzik odbijał się i podskakiwał w koleinach, a ja miałem wrażenie, że w każdej chwili może rozpaść się na kawałki. W pewnym momencie trafiliśmy na grupkę nagich dzieci kamienujących psa niedaleko drogi. Sala zatrzymał się i zrobił kilka zdjęć.

– Jezu – wymamrotał. – Spójrz na tych podłych gnojków! Będziemy mieli szczęście, jeśli wydostaniemy się stąd żywi.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do domku Yeamona, zastaliśmy go na patio, ubranego w te same brudne, czarne spodenki kąpielowe. Budował półkę na książki z drewna wyrzuconego na brzeg. Domek wyglądał już lepiej; część patio została zakryta daszkiem z liści palmowych, pod którym stały dwa płócienne krzesła tarasowe, wyglądające na własność któregoś z lepszych klubów plażowych.

– Człowieku – powiedziałem. – Skąd je wzięłeś?

– Od Cyganów – odrzekł. – Pięć dolarów za sztukę. Pewnie ukradli je gdzieś w mieście.

– A gdzie Chenault? – zapytał Sala.

Yeamon wskazał na plażę.

– Pewnie opala się przy tamtej kłodzie. Daje tubylcom niezłe przedstawienie, uwielbiają ją.

Sala przyniósł z samochodu rum i worek lodu. Yeamon zachichotał radośnie i wrzucił lód do pojemnika przy drzwiach.

– Dzięki – powiedział. – Ta bieda doprowadza mnie do szału, nie stać nas nawet na lód.

– Stoczyłeś się – odparłem. – Musisz znaleźć jakąś pracę.

Roześmiał się i napełnił trzy szklanki lodem.

– Cały czas mam oko na Lottermana – powiedział. – Wygląda na to, że mam szansę dostać moje pieniądze.

W tym momencie z plaży wróciła Chenault, ubrana w to samo białe bikini, niosąc duży plażowy ręcznik. Uśmiechnęła się do Yeamona.

– Znów przyszli. Słyszałam, jak rozmawiają.

– Niech to szlag! – warknął Yeamon. – Dlaczego ciągle tam chodzisz? Co, do cholery, jest z tobą nie tak?!

Uśmiechnęła się i usiadła na ręczniku.

– To moje ulubione miejsce. Dlaczego mam je przez nich zmieniać?

Yeamon zwrócił się do mnie.

– Idzie na plażę i się rozbiera, a tubylcy chowają się między palmami i się na nią gapią.

– Nie zawsze – przerwała mu Chenault. – Zazwyczaj robią to tylko w weekendy.

Yeamon pochylił się do przodu i wrzasnął na nią.

– Niech cię szlag! Nie schodź tam więcej! Od teraz, jeśli masz ochotę wylegiwać się nago, rób to tutaj! Szlag mnie trafi, jeśli przez cały czas będę miał się martwić, czy cię tam nie gwałcą. – Potrząsnął głową z obrzydzeniem. – Pewnego dnia cię dorwą, a jeśli dalej będziesz się z nimi drażnić, to wiedz, że nie będę im w niczym przeszkadzał!

Utkwiła oczy w posadzce. Zrobiło mi się jej żal, więc wstałem, żeby zrobić jej drinka. Kiedy wzięła go z moich rąk, spojrzała na mnie z wdzięcznością i pociągnęła duży łyk.

– Pij, pij – rzekł Yeamon. – Zaprosimy paru twoich kolegów i zrobimy prawdziwe przyjęcie! – Potem opadł na krzesło. – To jest życie – mruknął.

Siedzieliśmy przez chwilę, pijąc. Chenault milczała, mówił głównie Yeamon, który w pewnym momencie wstał i podniósł orzech kokosowy z piasku przy patio.

– Chodźcie – rzekł. – Porzucamy piłką.

Cieszyło mnie cokolwiek, co rozrzedziłoby atmosferę, więc odstawiłem drinka i pobiegłem niezgrabnie, czekając na poda-

nie. Podkręcił doskonale, ale ciężki jak ołów orzech obił mi palce i wypuściłem go z rąk.

– Chodźmy na plażę – zawołał. – Więcej miejsca do biegania. Przytaknąłem i pomachałem do Sali, ale potrząsną głową.

– Idźcie pograć – mruknął. – Mamy z Chenault do przedyskutowania kilka poważnych spraw.

Chenault uśmiechnęła się bez przekonania i machnęła w kierunku plaży.

– Idźcie już – powiedziała.

Ześlizgnąłem się po skarpie na pokrytą ubitym piaskiem plażę. Yeamon podniósł rękę i zaczął biec w kierunku brzegu. Rzuciłem orzech wysoko i daleko, patrząc, jak z niewielkim pluskiem spada do wody niedaleko Yeamona. Rzucił się i zniknął pod powierzchnią, po chwili wynurzając ręce wraz z orzechem.

Odwrociłem się i odbiegłem, obserwując, jak owoc spada na mnie z gorącego, niebieskiego nieba. Znów zabołały mnie ręce, ale tym razem go utrzymałem. Przyjemnie było złapać długie podanie, nawet wykonane kokosem. Moje ręce poczerwieniały i zaczęły boleć, ale w dobry i czysty sposób, więc mi to nie przeszkadzało. Rzucaliśmy krótkie podania przez środek i długie wzdłuż linii bocznych, a po chwili nie mogłem się powstrzymać od myśli, że uczestniczymy w jakimś świętym rytuale odtworzającym wszystkie nasze młodzieńcze soboty – obecnie wygnani, zagubieni i odcięci od tamtych meczów i tamtych pijanych stadionów, pozbawieni ich odgłosów i ślepi na fałszywe kolory tych szczęśliwych spektakli. Po latach szydzenia z futbolu i wszystkiego, co on oznacza, nagle znalazłem się na tej karaibskiej plaży i przerabiałem te wszystkie głupie schematy podań z gorliwością godną podwórkowego fanatyka.

Kiedy tak biegaliśmy w przód i w tył, upadając i nurkując w płytkiej wodzie, przypomniałem sobie soboty w Vanderbilt i precyzyjne piękno linii ofensywnej graczy z politechniki z Georgii, spychającej nas w tył tymi strasznymi kolejnymi uderzeniami; chudą postać w złotej koszulce, znajdującą w na-

szym ustawieniu dziurę, której nie powinno tam być, teraz biegnącą swobodnie po suchej trawie na naszej połowie, i potworny krzyk z trybun po drodze; i żeby wreszcie przewrócić tego sukinsyna, uciec blokującym pędzącym na ciebie jak pociski, potem znów się ustawić i zmierzyć z tą potworną machiną. Była to tortura, ale tortura na swój sposób piękna; oto mężczyźni, którzy nigdy więcej nie mieli funkcjonować ani nawet zrozumieć, jak mogliby funkcjonować tak dobrze jak podczas meczu. Przez większość czasu byli po prostu głupimi zbirami, wielkimi kawałami mięsa wyćwiczonymi do granic możliwości – ale w jakiś sposób opanowali te skomplikowane zagrania i schematy i w rzadkich chwilach bywali artystami.

Wreszcie zmęczyłem się za bardzo, by dalej biegać, i wróciliśmy na patio, gdzie Sala i Chenault nadal rozmawiali. Oboje wydawali się nieco pijani. Po kilku minutach rozmowy zdałem sobie sprawę, że Chenault zaczęło trochę odbijać. Wciąż chichotała do siebie i przedrzeźniała południowy akcent Yeamona.

Piliśmy jeszcze jakąś godzinę, śmiejąc się pobłaźliwie z Chenault i patrząc, jak słońce chyli się w kierunku Jamajki i Zatoki Meksykańskiej. W Mexico City nadal jest jasno, pomyślałem. Nigdy tam nie byłem i nagle ogarnęła mnie niesamowita ciekawość tego miejsca. Kilka godzin picia rumu, połączone z rosnącym uczuciem niesmaku w stosunku do Puerto Rico, spowodowało, że znalazłem się na granicy decyzji, by pojechać do miasta, spać i odlecieć pierwszym samolotem na zachód. Dlaczego nie?, myślałem. Nie wykorzystałem jeszcze czeku za ten tydzień pracy, w banku czekało na mnie kolejne kilka stów, nic mnie tu nie trzymało – więc właśnie: dlaczego nie? Musiało przecież być lepiej niż w tym miejscu, gdzie mój jedyny punkt oparcia to niskopłatna praca z marnymi widokami na przyszłość.

Zwróciłem się do Sali:

– Jak daleko stąd do Mexico City?

Wzruszył ramionami i łyknął drinka.

– Zbyt daleko – odpowiedział. – Czemu pytasz? Chcesz wyjechać?

Przytaknąłem.

- Zastanawiam się.

Chenault spojrzała na mnie – dla odmiany, poważnie.

- Mexico City spodobałoby ci się, Paul.

- A co ty, do cholery, możesz o tym wiedzieć? – warknął Yeamon.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, po czym pociągnęła długi łyk ze swojej szklanki.

- Właśnie tak – powiedział. – Ciągnij dalej, wciąż jesteś za mało pijana.

- Zamknij się! – krzyknęła, skacząc na równe nogi. – Zostaw mnie w spokoju, ty cholerny, napuszony głupcze!

Ruch jego ręki był tak szybki, że ledwo go dostrzegłem; dało się słyszeć uderzenie wierzchem dłoni w policzek. Prawie jak swobodny gest, bez gniewu, bez wysiłku, i zanim zdałem sobie sprawę, co się właściwie stało, on znów siedział rozparty na krześle, patrząc obojętnie, jak ona zatacza się kilka stóp w tył i wybuchu płaczem. Przez chwilę nikt nic nie mówił, potem Yeamon kazał jej wejść do środka.

- Dalej – warknął. – Do łóżka.

Przestała płakać i zdjęła dłoń z policzka.

- Niech cię diabli – powiedziała, łkając.

- Właż tam – polecił.

Patrzyła na niego z gniewem jeszcze przez chwilę, potem odwróciła się i weszła do środka. Usłyszeliśmy, jak sprężyny skrzypnęły, gdy upadła na łóżko, nadal łkając.

Yeamon wstał.

- Cóż – powiedział cicho. – Wybaczcie, że wystawiam was na takie widoki. – Pokiwał głową w zadumie, patrząc na chatę. – Chyba pojedę z wami do miasta... Dzieje się dziś coś ciekawego?

Sala wzruszył ramionami. Widziałem, że był zdenerwowany.

- Nic – odrzekł. – Ja i tak chcę tylko coś zjeść.

Yeamon odwrócił się do drzwi.

- Czekaście – powiedział. – Ubiorę się.

Kiedy wszedł do środka, Sala odwrócił się do mnie i potrząsnął ze smutkiem głową.

– Traktuje ją jak niewolnicę – szepnął. – Nie wytrzyma tego długo.

Obserwowałem, jak słońce znikało za horyzontem.

Słyszeliśmy dochodzące ze środka ruchy Yeamona, ale żadnych słów. Kiedy wyszedł, ubrany był w swój jasnobrązowy garnitur z krawatem luźno zarzuconym na szyję. Zatrzasnął drzwi i zamknął na klucz od zewnątrz.

– Żeby się nie włóczyła po okolicy – wytłumaczył. – Wypiła tyle, że i tak pewnie niedługo zaśnie.

Z wnętrza chaty dał się słyszeć nagły wybuch płaczu. Yeamon wzruszył bezsilnie ramionami i wrzucił płaszcz do samochodu Sali.

– Pojadę skuterem – powiedział – żebym nie musiał zostawać w mieście.

Wyjechaliśmy na drogę i puściliśmy go przodem. Jego skuter wyglądał jak jeden z tych, które zrzucano na spadochronach za linią frontu podczas drugiej wojny – zredukowane do minimum podwozie ze śladami czerwonej farby pośród rdzy, a pod siedzeniem małej silnik wydający dźwięk jak cekaem. Nie miał tłumika, a opony były całkiem tyse.

Jechaliśmy za nim, kilkakrotnie prawie go uderzając, kiedy wpadał w poślizg na piasku. Nadał szybkie tempo i mieliśmy trudności, żeby nadążyć, nie rozszarpując samochodu na strzępy. Kiedy mijaliśmy chaty tubylców, wybiegły z nich małe dzieci, by nam pomachać. Yeamon odmachał im, uśmiechając się szeroko, po czym wyprostowawszy się, zasalutował i popędził dalej, zostawiając za sobą chmurę kurzu i hałas.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie zaczynała się utwardzona droga, i Yeamon zaproponował, byśmy wybrali się do oddalonego o niecałą milę baru.

– Nie najgorsze jedzenie i tani alkohol – powiedział. – Poza tym dają mi na kredyt.

Jechaliśmy za nim aż do szyldu, na którym napisano CASA

CABRONES. Strzałka wskazywała piaszczystą drogę prowadzącą w kierunku plaży. Przebiegała przez palmowy zagajnik na niewielki parking przy nędznej restauracji ze stolikami na patio i szafą grającą obok baru. Gdyby nie palmy i portorykańska klientela, wyglądałoby tam jak w trzeciorzędnej tawernie na amerykańskim Środkowym Zachodzie. Z dwóch słupów stojących na brzegach patio zwiisał sznur niebieskich żarówek, a co jakieś trzydzieści sekund niebo przecinał żółty promień z wieży odległego o niecałą milę lotniska.

Kiedy usiedliśmy i zamówiliśmy drinki, zdałem sobie sprawę, że jesteśmy jedynymi *gringos* w lokalu. Pozostali to miejscowi. Robili dużo hałasu, śpiewając i wrzeszcząc do wtóru muzyce z szafy grającej, ale wszyscy wydawali się zmęczeni i przygnębieni. Nie był to rytmiczny smutek muzyki meksykańskiej, lecz wyjące pustką brzmienie, jakiego nie słyszałem nigdzie poza Puerto Rico – kombinacja jęków i skomlenia na tle posępnego dudnienia i grzęznących w desperacji głosów.

Było to przerażająco smutne – nie sama muzyka, ale to, że na więcej nie było ich stać. Większość utworów stanowiły przetłumaczone wersje przebojów amerykańskiego rock and rolla, całkowicie pozbawione energii. Rozpoznałem w jednym z nich Maybellene. Wersja oryginalna była przebojem, kiedy kończyłem liceum. Wspominałem ją jako szybki, barwny kawałek, ale Portorykańczycy zrobili z niego monotonną pieśń żalobną, tak pustą i beznadziejną jak twarze ludzi, którzy śpiewali ją teraz w tym samotnym wraku po zajeździe. Z pewnością nie byli wynajętymi muzykami, ale wydawało mi się, że dają koncert – i spodziewałem się, że lada chwila umilkną i zaczną zbierać pieniądze. Potem skończyliby drinki i jeden za drugim zniknęli w ciemności, jak trupa clownów na koniec dnia bez śmiechu.

Nagle muzyka przestała grać i kilku mężczyzn rzuciło się do szafy grającej. Wywiązała się kłótnia, lawina obelg – i wtedy, gdzieś z daleka, jak hymn państwowy zagrany, by uspokoić rozszalały tłum, doszły ich dzwonki *Kołysanki* Brahmsa. Kłót-

nia ustała, po chwili ciszy kilka monet wpadło do brzucha szafy grającej, która zaczęła płacźliwie wrzeszczeć. Mężczyźni powrócili do baru, śmiejąc się i poklepując nawzajem po plecach.

Zamówiliśmy jeszcze trzy szklanki rumu i kelner przyniósł je do stolika. Postanowiliśmy pić przez chwilę, odkładając kolację na później, a kiedy wreszcie zabraliśmy się do zamawiania jedzenia, kelner oświadczył, że kuchnia jest zamknięta.

– Za nic w świecie! – wykrzyknął Yeamon. – Tam jest napisane „północ”. – Wskazał napis nad barem.

Kelner potrząsnął głową.

Sala spojrzał na niego.

– Proszę – powiedział. – Jesteś moim przyjacielem. Nie wytrzymam już dłużej. Jestem głodny.

Kelner znów potrząsnął głową, wbijając wzrok w trzymany w dłoni zielony notes. Nagle Yeamon rąbnął pięścią w stół. Kelner spojrzał z przestachem, potem czmychnął za bar. Wszyscy w lokalu spojrzeli na nas.

– Poprosimy jakies mięso! – krzyknął Yeamon. – I więcej rumu!

Z kuchni wybiegł mały, gruby człowieczek w białej koszuli z krótkim rękawem. Poklepał Yeamona po ramieniu.

– Dobrzy faceci – powiedział z nerwowym uśmiechem. – Dobrzy klienci... bez kłopotów, dobrze?

Yeamon spojrzał na niego.

– Chcemy tylko mięso. I jeszcze jedną kolejkę.

Człowieczek potrząsnął głową.

– Nie ma kolacji po dziesiątej – powiedział. – Widzicie? – Wskazał na zegarek. Było dwadzieścia po dziesiątej.

– Tam jest napisane „północ” – odpowiedział Yeamon.

Człowieczek potrząsnął głową.

– Co to za problem? – zapytał Sala. – Steki zrobicie w pięć minut. Cholera, dajcie sobie spokój z ziemniakami.

Yeamon podniósł szklankę.

– Jeszcze trzy drinki – powiedział, wyciągając trzy palce w kierunku barmana.

Barman spojrział na naszego człowieczka, który pewnie był kierownikiem. Skinął szybko głową i odszedł. Pomyślałem, że kryzys minął.

Po chwili jednak wrócił, niosąc mały zielony rachunek opiewający na sumę 11,50 dolarów. Położył go na stole przed Yeamonem.

– Nie przejmuj się tym – powiedział mu Yeamon.

Kierownik klasnął w dłonie.

– W porządku – powiedział ze złością. – Płać! – Wyciągnął rękę.

Yeamon strzepnął ręką rachunek ze stołu.

– Powiedziałem: nie przejmuj się.

Kierownik podniósł rachunek z podłogi.

– Płać! – powiedział gniewnie. – Płać teraz!

Twarz Yeamona poczerwieniała i wstał do połowy z krzesła.

– Zapłacę, jak zapłaciłem poprzednie! – wrzasnął. – A teraz zabieraj się stąd i przynieś nasze cholerne mięso.

Kierownik zawahał się, potem przyskoczył do stolika i uderzył rachunkiem w stół.

– Płać teraz! – krzyknął. – Płać teraz i wynocha... albo dzwonię po policję!

Ledwo te słowa wydostały się z jego ust, Yeamon złapał go za koszulę.

– Ty podły mały sukinsynu! – warknął. – Krzycz dalej, a nigdy nie dostaniesz pieniędzy.

Spoglądałem na mężczyzn przy barze. Gapili się wytrzeszczonymi oczami, napięci jak psy. Barman stał znieruchomieły przy drzwiach, gotów albo uciec, albo wybiec po maczetę – nie miałem pewności.

Kierownik, straciwszy doszczętnie panowanie nad sobą, wygrażał nam pięścią i krzyczał piskliwie:

– Płaćcie, cholerne jankesy! Płaćcie i wynocha! – Wodził po nas nienawistnym spojrzeniem, potem podbiegł do barmana i wyszeptał mu coś do ucha.

Yeamon wstał i włożył płaszcz.

– Chodźmy – powiedział. – Z tym sukinsynem policzę się później.

Kierownik wydawał się przerażony wizją kompletnie go lekceważących, wychodzących oszustów. Szedł za nami na parking, na przemian przeklinając i błagając.

– Płaćcie teraz – wył. – Kiedy zapłacicie?... Zobaczycie, przyjdzie policja... bez policji, tylko płacicie!

Pomyślałem, że temu człowieczkowi odbiło, i moim jedynym pragnieniem było pozbycie się go.

– Chryste – powiedziałem. – Zapłaćmy.

– Właśnie – zgodził się Sala, wyciągając portfel. – Obrzydliwe miejsce.

– Nie martwcie się – powiedział Yeamon. – On wie, że zapłacę.

Wrzucił płaszcz do samochodu, potem odwrócił się do kierownika.

– Weź się w garść, parszywa mendo.

Wsiadliśmy do samochodu. Jak tylko Yeamon odpalił skuter, kierownik pobiegł z powrotem i zaczął wrzeszczeć coś do mężczyzn siedzących w barze. Jego krzyki brzmiały w powietrzu, kiedy ruszaliśmy, jadąc długim podjazdem za Yeamonem. Nie spieszył się, poruszając się leniwie jak ktoś zapatrzony w krajobraz, i w ciągu kilku sekund mieliśmy tuż za sobą dwa samochody pełne krzyczących Portorykańczyków. Pomyślałem, że nas rozjadą. Jechali wielkimi amerykańskimi wozami i mogliby rozgnieść naszego fiata jak karalucha.

– Jasna cholera – powtarzał Sala. – Zabiją nas!

Gdy dojechaliśmy do utwardzonej drogi, Yeamon zjechał na bok i pozwolił nam przejechać. Zatrzymaliśmy się parę jardów przed nim i zawołałem:

– Jedź, do cholery! Zabierajmy się stąd!

Oba samochody zatrzymały się przy nim i widziałem, że wyrzuca ręce w górę, jakby został czymś trafiony. Zeskoczył ze skutera, pozwalając mu się przewrócić, i złapał człowieka, którego głowa wystawała z okna. Prawie w tym samym momencie

zobaczyłem, jak podjeżdża policja. Czterech funkcjonariuszy wyskoczyło z małego, niebieskiego volkswagena, wymachując pałkami. Portorykańczycy zaczęli krzyczeć radośnie i wyleźli z samochodów. Kusiło mnie, by spróbować ucieczki, ale byliśmy już otoczeni. Jeden z gliniarzy podbiegł do Yeamona i popchnął go.

– Złodziej! – krzyknął. – Myślisz, że *gringos* piją w Puerto Rico za darmo?

W tej samej chwili drzwi fiata z obu stron otwarto nagłym ruchem, a Sala i ja zostaliśmy wyciągnięci na zewnątrz. Próbowałem się wyrwać, ale kilku ludzi trzymało mnie za ręce. Gdzieś niedaleko słyszałem, jak Yeamon powtarza w kółko:

– Cóż, ten człowiek mnie opluł, ten człowiek mnie opluł...

Nagle krzyki umilkły i wszyscy zaczęli się przysłuchiwać kłótni pomiędzy Yeamonem, kierownikiem i mężczyzną, który wydawał się dowodzić glinami. Nikt mnie teraz nie trzymał, więc podszedłem bliżej, by usłyszeć, co się działo.

– Słuchaj – mówił Yeamon. – Zapłaciłem pozostałe rachunki, dlaczego miałby sądzić, że akurat tego nie zapłacę?

Kierownik powiedział coś o pijanych, aroganckich jankesach.

Zanim Yeamon zdołał odpowiedzieć, jeden z gliniarzy zaszedł go od tyłu i walnął pałką w ramię. Krzyknął i szarpnął się w bok, wpadając prosto na jednego z mężczyzn, którzy przyjechali za nami w samochodach. Ten machnął na oślep butelką piwa, uderzając go w zębra. Ostatnią rzeczą, którą widziałem, zanim upadłem, był brutalny atak Yeamona na człowieka z butelką. Usłyszałem kilka uderzeń kości o kość i wtedy kątem oka zauważyłem, jak coś leci w kierunku mojej głowy. Schyliłem się w porę, żeby przyjąć główną siłę uderzenia na plecy. Wygięło mi grzbiet i upadłem na ziemię.

Sala krzyczał gdzieś nade mną, a ja rzucałem się, leżąc na plecach i próbując uniknąć stóp, które waliły we mnie jak młoty. Ośloniłem głowę ramionami i wierzgałem, ale uderzenia nie ustawały. Prawie nie czułem bólu, ale nawet w otępieniu wiedziałem, że mnie ranią, i w pewnym momencie nabrałem

pewności, że umrę. Nadal byłem przytomny, a świadomość, że zostanę zakopany na śmierć w portorykańskiej dżungli za jedenaście dolarów pięćdziesiąt centów napełniła mnie takim przerażeniem, że zacząłem wrzeszczeć jak zwierzę. Wreszcie, kiedy myślałem, że tracę przytomność, poczułem, jak ktoś wpycha mnie do samochodu.

Podczas jazdy byłem na wpół przytomny, a kiedy samochód wreszcie się zatrzymał, wyrząłem na zewnątrz i moim oczom ukazał się rozzłoszczony tłum pokrzykujący na chodniku. Wiedziałem, że nie wytrzymam dalszego bicia. Kiedy próbowali wyciągnąć mnie z samochodu, kurczowo trzymałem się oparcia, dopóki jeden z gliniarzy nie uderzył mnie pałką w ramię.

Ku mojemu zaskoczeniu, stojący na chodniku nie próbowali nas atakować. Wepchnięto nas po schodach, minęliśmy stojącą przy drzwiach ponurą grupę gliniarzy, wreszcie zostaliśmy wprowadzeni do małego pomieszczenia bez okien, gdzie kazano nam usiąść na ławce. Potem zamknięto drzwi i zostawiono nas w spokoju.

– Jezu Chryste – powiedział Yeamon. – To niewiarygodne. Musimy się z kimś skontaktować.

– Czeka nas La Princesa – jęknął Sala. – Mają nas, sukiny-ny. To koniec.

– Muszą nam pozwolić skorzystać z telefonu – powiedziałem. – Zadzwonię do Lottermana.

Yeamon parsknął.

– Dla mnie nie kiwnie nawet palcem. Cholera, on chce, żeby mnie zamknęli.

– Nie będzie miał wyboru – odrzekłem. – Nie może sobie pozwolić na to, żeby zostawić mnie i Salę.

Yeamon nie wyglądał na przekonanego.

– Cóż... nie wiem, do kogo innego moglibyśmy zadzwonić.

Sala jęknął ponownie i potarł głowę.

– Chryste, będziemy mieli szczęście, jeśli wyjdziemy stąd żywi.

– I tak nam się upiekło – powiedział Yeamon, delikatnie badając swoje zęby. – Jak się zaczęło, myślałem, że już po nas.

Sala potrząsnął głową.

– Ci ludzie to bestie – mruknął. – Kiedy próbowałem uchylić się przed ciosem gliniarza, ktoś uderzył mnie z tyłu kokosem... prawie złamał mi kark.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich szef gliniarzy, uśmiechając się, jakby nic się nie stało.

– Dobrze? – spytał, przyglądając się nam uważnie.

Yeamon podniósł ku niemu wzrok.

– Chcielibyśmy skorzystać z telefonu – powiedział.

Gliniarz potrząsnął głową.

– Wasze nazwiska? – zapytał, wyciągając niewielki notes.

– Jeśli można – powiedział Yeamon – mamy chyba prawo gdzieś zadzwonić.

Gliniarz potrząsnął groźnie pięścią.

– Powiedziałem NIE! – krzyknął. – Podajcie wasze nazwiska!

Podaliśmy nasze nazwiska.

– W którym hotelu mieszkacie?

– Cholera, jesteście stąd! – warknął Sala. – Pracuję dla „Daily News” i mieszkam na tej przebrzydłej wyspie już ponad rok! – Trząśł się z wściekłości, a gliniarz wyglądał na zaskoczonego. – Mieszkam przy Calle Tetuán, numer czterysta dziewięć – ciągnął Sala. – I żądam adwokata, natychmiast.

Gliniarz pomyślał przez chwilę.

– Pracujecie dla „Daily News”?

– Żebyś wiedział – odrzekł Sala.

Policjant spojrzał na nas ze złośliwym uśmiechem.

– Twardziele – powiedział. – Twardzi jankescy dziennikarze.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, a potem Yeamon znów zapytał, czy możemy skorzystać z telefonu.

– Posłuchaj – powiedział. – Nikt nie zgrywa twardziela. Właśnie daliście nam niezły wycisk, a teraz chcemy adwokata... Czy prosimy o zbyt wiele?

Policjant znów się uśmiechnął.

– Dobrze, twardziele.

– Jacy, do cholery, twardziele?! – wykrzyknął Sala. – Gdzie, do diabła, jest ten telefon?!

Zaczął wstawać, ale zdążył się podnieść z ławki tylko do połowy, kiedy gliniarz podszedł o krok i gwałtownie uderzył go w kark brzegiem dłoni. Sala upadł na kolana, a policjant kopnął go w żebra. Do pokoju wskoczyło trzech kolejnych gliniarzy, jakby tylko czekali na sygnał. Dwóch złapało Yeamona, wykręcając mu ręce na plecy, a trzeci zrzucił mnie z ławki i stał nade mną z przygotowaną pałką. Wiedziałem, że ma ochotę mnie uderzyć, więc nie ruszałem się, żeby nie dać mu pretekstu. Po dłuższej chwili szef gliniarzy krzyknął:

– Dobrze, twardziele, idziemy!

Gwałtownie podniesiono mnie z podłogi i zostaliśmy przeciągnięci szybkim krokiem przez korytarz, z rękoma boleśnie wykręconymi za plecami.

Na końcu korytarza czekało nas pomieszczenie pełne ludzi, gliniarzy i biurek – i tam, na stole pośrodku, siedział Moberg. Pisał coś w notesie.

– Moberg! – wrzasnąłem, nie zważając na uderzenia, z nadzieją, że zwróci na mnie uwagę. – Zadzwoń do Lottermana! Znajdź nam adwokata!

Na dźwięk nazwiska Moberga, Sala rozejrzał się i krzyknął z bólem i wściekłością:

– Szwedzie! Na Boga, zadzwoń do kogoś! Zabiją nas tu!

Przeciągnięto nas przez to pomieszczenie tak szybko, że widziałem Moberga tylko przez sekundę, zanim znaleźliśmy się w kolejnym korytarzu. Gliniarze nie zwracali uwagi na nasze wrzaski; najwyraźniej zdążyli się przyzwyczaić do tego, że lu-

dzie krzyczeli wniebogłosy, kiedy ich prowadzono tam, dokąd mieliśmy trafić. Miałem tylko nadzieję, że Moberg nie był zbyt pijany, żeby nas rozpoznać.

Następne sześć godzin spędziliśmy w niewielkiej betonowej celi z około dwudziestoma Portorykańczykami. Nie mogliśmy usiąść, bo obszczali całą podłogę, więc staliśmy w środku, rozdając papierosy jak wysłannicy Czerwonego Krzyża. Wyglądali groźnie. Niektórzy byli pijani, inni wyglądali na szalonych. Czułem się bezpiecznie, dopóki mogliśmy im dostarczać papierosów, ale zastanawiałem się, co nam grozi, kiedy się skończą.

Ten problem rozwiązał za nas strażnik, za dziesięć centów od papierosa. Za każdym razem, kiedy chcieliśmy jednego dla siebie, musieliśmy kupić dwadzieścia – po jednym dla każdego ze współwięźniów. Po dwóch kolejkach strażnik posłał po następny karton. Później policzyliśmy, że pobyt w celi kosztował nas ponad piętnaście dolarów, które wydaliśmy ja i Sala, bo Yeamon nie miał ani centa.

Wydawało się, że jesteśmy tam już od sześciu lat, kiedy strażnik wreszcie otworzył drzwi i skinął, żebyśmy wyszli. Sala ledwo trzymał się na nogach, a Yeamon i ja byliśmy tak zmęczeni, że mieliśmy problem, żeby go podtrzymać. Nie miałem najmniejszego pojęcia, dokąd nas zabierali. Pewnie do lochu, pomyślałem. W taki właśnie sposób ludzie znikają.

Znów przeszliśmy przez budynek, przez kilka korytarzy, by wreszcie dojść do dużej sali sądowej. Gdy zostaliśmy przeciągnięci przez drzwi, wyglądając tak samo brudno i niechlujnie jak większość obrzydliwych typów z celi, którą właśnie opuściliśmy, zacząłem z niepokojem szukać wzrokiem jakiejś znajomej twarzy.

Sala była zatłoczona i rozglądałem się przez kilka minut, zanim ujrzałem Moberga i Sandersona stojących w kącie z poważnymi minami. Kiwnąłem im głową i Moberg podniósł palce ułożone w kółko.

- Dzięki Bogu – powiedział Sala. – Nawiązaliśmy kontakt.
- Czy to Sanderson? – zapytał Yeamon.

– Na to wygląda – odparłem, nie mając zielonego pojęcia, co to może oznaczać.

– Co ten kutas tu robi? – wymamrotał Sala.

– Mogliśmy trafić o wiele gorzej – powiedziałem. – Mamy cholerne szczęście, że w ogóle ktoś się pojawił.

Minęła prawie godzina, zanim zaczęła się nasza rozprawa. Pierwszy zabrał głos szef gliniarzy – zeznawał po hiszpańsku. Sala, który częściowo rozumiał jego słowa, cały czas mruczał pod nosem:

– Kłamliwy sukinsyn... twierdzi, że groziliśmy, że rozwalimy lokal... że zaatakowaliśmy kierownika... uciekliśmy, nie płacąc rachunku... uderzyliśmy policjanta... Jezu Chryste... wdaliśmy się w bójkę na posterunku... Boże, tego już za wiele! Już po nas!

Kiedy szef policjantów skończył, Yeamon poprosił o przetłumaczenie jego zeznań, ale sędzia go zignorował.

Następny zeznawał kierownik, pocąc się i gestykułując w podnieceniu. Podnosił histerycznie głos, wymachując ramionami, wygrażając pięściami i wskazując na nas, jakbyśmy wymordowali całą jego rodzinę.

Nie rozumieliśmy niczego z tego, co mówił, ale było oczywiste, że sprawy idą nie po naszej myśli. Kiedy wreszcie przyszła kolej na nasze zeznania, Yeamon wstał i zażądał tłumaczeń wszystkich poprzednich wypowiedzi.

– Słyszeliście je – powiedział sędzia doskonałą angielszczyzną.

Yeamon wyjaśnił, że żaden z nas nie mówi po hiszpańsku wystarczająco dobrze, by zrozumieć, co zostało powiedziane.

– Ci ludzie mówili wcześniej po angielsku – oznajmił, wskazując na gliniarza i kierownika. – Dlaczego teraz nie mogą?

Sędzia uśmiechnął się z pogardą.

– Zapominacie, gdzie jesteście – powiedział. – Jakie macie prawo przyjeżdżać tu, awanturować się, a potem jeszcze kazać nam mówić w waszym języku?

Widziałem, że Yeamon traci panowanie nad sobą, i zwróciłem się do Sandersona, żeby coś zrobił. W tym samym momen-

cie usłyszałem, jak Yeamon mówi, że „spodziewałby się być potraktowany sprawiedliwie za Batisty”.

Na salę rozpraw spadła martwa cisza. Sędzia wpatrywał się w Yeamona oczyma skrzyżnymi się gniewem. Prawie czułem opadający topór.

Sanderson zawołał z końca sali:

– Wysoki Sądzie, czy mogę na słowo?

Sędzia spojrzał na niego.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Sanderson. Jestem z Adelante.

Nieznany mi człowiek podszedł szybko do sędziego i wyszeptał mu coś do ucha. Sędzia skinął głową, po czym spojrzał ponownie na Sandersona.

– Proszę bardzo – powiedział.

Głos Sandersona wydawał się zupełnie nie na miejscu po dziko potępiających nas wypowiedziach gliniarza i kierownika.

– Ci ludzie są amerykańskimi dziennikarzami – powiedział.

– Pan Kemp pisze dla „New York Timesa”, pan Yeamon reprezentuje Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Podróżniczych, a pan Sala pracuje dla magazynu „Life”.

Przerwał, a ja zastanawiałem się, ile dobrego wyniknie z jego słów. Wcześniej skutki rozpoznania w nas jankeskich dziennikarzy były opłakane.

– Być może się mylę – ciągnął dalej Sanderson – ale myślę, że te zeznania były nieco zagmatwane, i nie chciałbym, aby wynikły z nich jakieś niepotrzebnie kłopotliwe sytuacje. – Rzucił okiem na szefa gliniarzy, potem ponownie na sędziego.

– Jezu – szepnął Yeamon. – Mam nadzieję, że wie, co robi.

Skinąłem głową, patrząc na twarz sędziego. Ostatnią uwagę Sanderson wygłosił tonem wyraźnej groźby i przeszło mi przez myśl, że może być pijany. Znałem go na tyle, że mogłem przypuszczać, że przyjechał prosto z jakiegoś przyjęcia, na którym pił bez przerwy od wczesnego popołudnia.

– Więc, panie Sanderson... – zaczął sędzia spokojnym głosem. – Co pan sugeruje?

Sanderson uśmiechnął się grzecznie.

– Myślę, że rozsądnie byłoby dokończyć to przesłuchanie w nieco mniej napiętej atmosferze.

Ten sam człowiek, który wcześniej rozmawiał z sędzią, ponownie do niego podszedł. Nastąpiła krótka wymiana zdań, po której sędzia znów przemówił do Sandersona.

– Ma pan rację – rzekł. – Ale ci ludzie zachowali się w sposób wysoce arogancki... nie mają szacunku dla naszych praw.

Twarz Sandersona pociemniała.

– Cóż, Wysoki Sądzie, jeśli sprawa ma się toczyć jeszcze dziś, będę musiał poprosić o przerwę do chwili, kiedy będę się mógł skontaktować z Adolfo Quinonesem. – Pokiwał głową. – Będę zmuszony go obudzić, oczywiście, wyciągnąć Señor Quinonesa z łóżka, ale nie czuję się dostatecznie kompetentny, by dalej pełnić funkcję adwokata.

Przy stole sędziowskim doszło do kolejnej pospiesznej narady. Widać było, że nazwisko Quinones skłoniło sąd do zastanowienia. Był to prawnik „Daily News”, eks-senator i jeden z najbardziej wpływowych ludzi na wyspie.

Wszyscy patrzyliśmy podenerwowani na przedłużającą się naradę. Wreszcie sędzia podniósł wzrok i kazał nam wstać.

– Zostaniecie zwolnieni za kaucją – powiedział. – Albo możecie poczekać w areszcie, jeśli wolicie.

Zapisał coś na kawałku papieru.

– Robert Sala – powiedział. – Jest pan oskarżony o publiczne pijaństwo, zakłócanie porządku i stawianie oporu przy zatrzymaniu. Kaucję ustala się na tysiąc dolarów.

Sala zaklął pod nosem i odwrócił wzrok.

– Addison Yeamon – powiedział sędzia. – Jest pan oskarżony o publiczne pijaństwo, zakłócanie porządku i stawianie oporu przy zatrzymaniu. Kaucję ustala się na tysiąc dolarów.

Yeamon milczał.

– Paul Kemp – powiedział sędzia. – Jest pan oskarżony o publiczne pijaństwo, zakłócanie porządku i stawianie oporu przy zatrzymaniu. Kaucję ustala się na trzysta dolarów.

Te słowa były dla mnie prawie tak wielkim wstrząsem jak cała poprzednia noc. Czułem się, jakbym popełnił jakiegoś rodzaju zdradę. Wydawało mi się, że stawiałem opór wystarczająco gorliwie – a może chodziło o moje krzyki? Czy sędzia litował się nade mną, bo wiedział, jak dotkliwie mnie skopano? Zastanawiałem się nad tym nadal, gdy wyprowadzono nas z sali sądowej na korytarz.

– Co teraz? – spytał Yeamon. – Czy Sandersona stać na taką kaucję?

– Nie martw się – odpowiedziałem. – Poradzi sobie.

Powiedziawszy to, poczułem się jak głupiec. W najgorszym razie pokryłbym swoją kaucję z własnej kieszeni. Wiedziałem też, że ktoś wyśle pieniądze dla Sali, ale Yeamon – to zupełnie inna sprawa. Nikogo nie obchodziło, czy pojawi się w poniedziałek w pracy. Im więcej o tym myślałem, tym większą miałem pewność, że za kilka minut my wyjdziemy na wolność, a on wróci do celi, ponieważ na całej wyspie nie ma nikogo z tysiącem dolarów, kto miałby choć najdrobniejszy interes w tym, żeby Yeamon pozostał wolny.

Nagle pojawił się Moberg, za nim szli Sanderson i mężczyzna, który naradzał się z sędzią. Moberg, zbliżywszy się do nas, roześmiał się pijacko.

– Myślałem, że was zabiją – powiedział.

– Prawie im się udało – odrzekłem. – A co z tymi kaucjami? Dostaniemy tyle pieniędzy?

Roześmiał się ponownie.

– Zapłacone. Segarra kazał mi wypisać czek. – Zniżył głos. – Powiedział, że mam zapłacić grzywny, jeśli nie wyniosą więcej niż sto dolarów. Ma szczęście – grzywien nie było.

– To znaczy, że wychodzimy? – zapytał Sala.

Moberg uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście. Sam podpisałem papiery.

– Za mnie też? – spytał Yeamon.

– No jasne – odrzekł Moberg. – Sprawa skończona, jesteście wolni.

Gdy ruszyliśmy do drzwi, Sanderson uścisnęła dłoń mężczyzny, z którym rozmawiał, i pospieszył za nami. Prawie świtało i niebo miało jasnoszarą barwę. Poza kilkoma ludźmi kręcącymi się w pobliżu posterunku, ulice były spokojne i puste. Kilka wielkich frachtowców stało na kotwicy w zatoce, czekając na rano i holowniki, które miały je wprowadzić do portu.

Zanim doszliśmy do ulicy, ujrzałem pierwsze promienie słońca, zimną, różową poświatę na wschodnim niebie. To, że spędziłem całą noc w celi i na sali rozpraw sprawiło, że rano wydał mi się jednym z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Był w nim spokój i jasność – chłodny, karaibski świt po nocy w obrzydliwym więzieniu. Zwróciłem wzrok ku statkom i morzu za nimi i ogarnęła mnie szalona perspektywa wolności całego dnia, który był przede mną.

Potem zdałem sobie sprawę, że większość tego dnia prześpię, i moje podniecenie zniknęło. Sanderson zgodził się podrzucić nas do mieszkania, więc pożegnaliśmy się z Mobergiem, który wyruszał na poszukiwania swojego samochodu. Zapomniał, gdzie go zostawił, ale zapewniał nas, że to żaden problem.

– Odnajdę go po zapachu – powiedział. – Wyczuwam go z odległości kilku przecznic. – I odszedł, powłócząc nogami, w dół ulicy, niewielka postać w brudnym, szarym garniturze, wężąca za swoim samochodem.

Sanderson wyjaśnił nam później, że Moberg najpierw zadzwonił do Lottermanna, którego nie zastał w domu, później do Quinonesa, który był w Miami. Następnie zadzwonił do Segarry, który polecił mu wypisać czek na rzecz, jak się spodziewał, niewielkich grzywien. Kiedy zadzwonił Moberg, Sanderson był w domu Segarry i właśnie wychodził, więc zatrzymał się w sądzie po drodze do domu.

– I cholernie dobrze zrobiłeś – powiedziałem. – Wrócilibyśmy do tego przeklętego lochu, gdybyś nie przyjechał.

Yeamon i Sala zgodzili się z tym, mamrocząc coś pod nosem.

– Ciescie się, póki możecie – odrzekł Sanderson. – Długo nie pobędziecie na wolności.

Dalszą drogę przebyliśmy w ciszy. Gdy mijaliśmy Plaza Colón, usłyszałem pierwsze odgłosy poranka – wyruszający na trasę autobus, okrzyki pierwszych handlarzy owocami – a gdzieś z oddali, u szczytu wzgórza, rozległo się wycie policyjnej syreny.

Po zaledwie kilku godzinach snu obudził mnie przeraźliwy krzyk. Wydał go Sala, który zerwał się jak zbudzony z nocnego koszmaru.

– Matko jajeczna! – wrzasnął. – Samochód! Złodzieje!

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że jego wóz został na drodze przy Casa Cabrones. Portorykańczycy żywo interesują się opuszczonymi samochodami – napadają na nie jak wygłodniałe zwierzęta, po czym rozszarpują na strzępy. Na pierwszy ogień idą kołpaki, potem koła, następnie zderzaki i drzwi, na koniec odciągają szkielet – w dwudziestu lub trzydziestu, jak mrówki wlokące martwego żuka, odciągają go do jakiegoś sprzedawcy złomu za dziesięć jankeskich dolarów, a później walczą na noże i rozbite butelki o podział pieniędzy.

Yeamon budził się powoli, jęcząc z bólu. Dookoła ust miał strupy zeschnięj krwi. Usiadł na materacu i patrzył na nas nieprzytomnie.

– Obudź się – powiedziałem. – Twój skuter też tam został.

Sala przerzucił nogi przez brzeg swojego łóżka polowego.

– Za późno. Mieli dwanaście godzin... Chryste, żeby rozebrać samochód, wystarczy im dwanaście minut. Będziemy mieli szczęście, jeśli została po nim plama oleju.

– Zniknął? – spytał Yeamon. Wciąż się w nas wpatrywał, nie całkiem jeszcze rozbudzony. Przytaknąłem.

– Pewnie tak.

– To, na Boga, ruszajmy! – wykrzyknął, zeskakując z materaca. – Złapmy ich i wybijmy kilka zębów!

– Nie ma pośpiechu – powiedział Sala. – Już po wszystkim.

– Wstał i rozprostował plecy. – Jezu, czuję się, jakby mnie ktoś przebił. – Podszedł do mnie. – Co z moim ramieniem? Nie widzisz jakiejś dziury po nożu?

– Nie – odrzekłem. – Tylko zadrapanie, może paznokieć.

Zaklął i poszedł do łazienki wziąć prysznic.

Yeamon zdążył już umyć twarz i ubierał się w pośpiechu.

– Szybko – powiedział. – Weźmy taksówkę.

Z niechęcią zacząłem powoli się ubierać. Całe ciało miałem posiniaczone i każdy ruch sprawiał mi ból. Miałem ochotę wrócić do łóżka i przespać cały dzień, ale zdawałem sobie sprawę, że nie mogło być o tym mowy.

Przeszliśmy kilka przecznic do Plaza Colón i złapaliśmy taksówkę. Yeamon powiedział kierowcy, dokąd jechać.

Nigdy wcześniej nie widziałem San Juan w niedzielę rano. Zazwyczaj wstawałem około południa i szedłem do Ala na długie śniadanie. Teraz ulice były prawie puste. Ani śladu codziennego chaosu, wrzasku i wycia armii sprzedawców rozbijających się po mieście w nieubezpieczonych samochodach. Nabrzeże było prawie opuszczone, sklepy zamknięte, a interesy toczyły się tylko w kościołach. Minęliśmy kilka i przed każdym tłoczyła się kolorowa grupka ludzi – opaleni mężczyźni i chłopcy w świeżo wyprasowanych garniturach, ukwiecone kobiety w welonach, dziewczynki w białych sukienkach, a tu i ówdzie ksiądz w czarnej sutannie i wysokim, czarnym kapeluszu.

Potem popędziliśmy długą groblą do Condado. Tam rzeczy miały się inaczej. Nie widziałem ani jednego kościoła, a chodniki wypełniali turyści w sandałach i jaskrawych bermudach. Przelewali się przez drzwi wielkich hoteli, gadając, czytając gazety, przenosząc podrózne torby; wszyscy nosili przeciwsłoneczne okulary i wyglądali na bardzo zajętych.

Yeamon wytarł sobie twarz chusteczką.

– Ludzie – zaczął. – Przecież nie mogę stracić jeszcze skutera. Jezu... już mnie wylano, pobito i aresztowano...

Przytaknąłem, a Sala nie powiedział ani słowa. Wychylał się zza ramienia kierowcy, jakby w każdej chwili spodziewał się ujrzeć bandę rozbierającą jego samochód.

Wydawało się, że godziny całe minęły, zanim skręciliśmy z szerokiej drogi na lotnisko na wąską, prowadzącą do Casa Cabrones. W pewnym momencie ujrzałem samochód Sali jakieś kilkaset jardów od nas.

– Tam jest – powiedziałem, wskazując na drogę.

– Chryste – wymamrotał Sala. – To cud.

Kiedy do niego podjechaliśmy, dotarło do mnie, że zamiast na kołach stoi na dwóch kłodach z palm kokosowych. Po kołach nie było śladu – tak samo jak po skuterze Yeamona.

Sala przyjął to spokojnie.

– Cóż, lepiej, niż myślałem. – Wsiadł do samochodu i rozejrzał się. – Poza kołami niczego nie brakuje. Cholerne szczęście.

Yeamon wpadł w szal.

– Rozpoznam go! – krzyczał. – Pewnego dnia złapię tego, który na nim jeździ!

Miałem pewność, że dłuższy pobyt w pobliżu Casa Cabrones oznaczał dla nas kolejne kłopoty. Myśl o kolejnym pobiciu wprawiała mnie w nerwowy nastrój. Przeszedłem kilkaset kroków w kierunku baru, by zobaczyć, czy nikt nie idzie. Lokal był zamknięty, a parking pusty.

Wracając do samochodu, zauważyłem coś czerwonego w krzakach niedaleko podjazdu. Był to skuter Yeamona, przykryty warstwą liści palmowych. Ktoś go tam ukrył, zamierzając wrócić po niego później.

Zawołałem Yeamona, który wyciągnął skuter z krzaków. Niczego nie zabrano. Kiedy go uruchomił, zapalił doskonale.

– Cholera – powiedział. – Powinienem posiedzieć tu sobie i poczekać, aż ten sukinsyn wróci, i sprawić mu małą niespodziankę.

– Jasne – odrzekłem – i spędzić lato w La Princesa.

Zastaliśmy Salę przy samochodzie – obliczał koszt czterech nowych kół wraz z oponami. Wyglądał na bardzo przygnębionego.

– Chodźmy na jakieś śniadanie – powiedział Yeamon. – Muszę coś zjeść.

– Zwariowałeś? – odrzekł Sala. – Nie mogę zostawić tu samochodu... szybko by z nim skończyli. – Sięgnął po portfel. – Masz – powiedział do Yeamona. – Jedź na tamtą stację benzynową, zadzwoń do dealera fiata i każ przysłać cztery koła. To jego telefon domowy, powiedz, że to dla pana Lottermana.

Yeamon wziął wizytówkę i poterkotał ku stacji. Za kilka minut usłyszeliśmy, jak wraca. Potem godzinę czekaliśmy na przyjazd pomocy drogowej. O dziwo, przysłano cztery koła. Założyliśmy je, Sala podpisał rachunek nazwiskiem Lottermana, a potem pojechaliśmy do hotelu Long Beach na śniadanie. Yeamon podążył za nami na swoim skuterze.

Nie znaleźliśmy wolnych miejsc na patio, więc usiedliśmy w snack barze w środku. Otaczali nas ludzie, na unikaniu których minęło mi dziesięć lat – bezkształtne kobiety w wełnianych kostiumach kąpielowych, mężczyźni o przyćmionym wzroku i bezwłosych nogach, śmiejący się z zażenowaniem, sami Amerykanie, wszyscy przerażająco do siebie podobni. Tych ludzi powinno się trzymać w domach, pomyślałem; zamknąć w piwnicy jakiegoś cholernego Klubu Łosia i uspokajać erotycznymi filmami; jeśli zachce im się wakacji, puścić im coś z zagranicznego kina autorskiego; a jeśli i to im nie wystarczy – wysłać w dzikie ostępy i poszczuć wściekłymi psami.

Przypatrywałem się im, próbując jeść paskudne śniadanie, które kelnerka przede mną postawiła – oślizłe jajka, tłusty bekon i słabą, amerykańską kawę.

– Do diabła – powiedziałem. – To nie Nedick's, nie macie portorykańskiej kawy?

Potrząsnęła głową.

Sala wyszedł na zewnątrz i kupił „Miami Herald”.

– Podoba mi się tu – powiedział, szczerząc zęby. – Dobrze

tak posiedzieć, popatrzeć na plażę i pomyśleć, ile dobrego można by uczynić z pomocą lugera.

Położyłem na stole dwa dolary i wstałem.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Yeamon znad kilku stron gazety, które wziął od Sali.

– Nie wiem, pewnie do Sandersona. Gdziekolwiek, byle dalej od tych ludzi.

Sala spojrzał na mnie.

– Jesteście z Sandersonem dobrymi kumplami – powiedział z uśmiechem.

Byłem zbyt skupiony na chęci wydostania się stamtąd, by zwracać uwagę na jego słowa, jednak ledwo wyszedłem na ulicę, zrozumiałem, że miały być obraźliwe. Jak się domyślałem, był rozgoryczony tym, że wyznaczono mi znacznie niższą kaucję niż jemu. Do diabła z nim, pomyślałem. Sanderson nie miał z tym nic wspólnego.

Po przejściu kilku przecznic usiadłem przy stoliku jednej z restauracji na świeżym powietrzu, by napić się portorykańskiej kawy. Kupiłem „New York Timesa” za siedemdziesiąt centów. Poprawił mi samopoczucie, przypominając o tym, że zaraz za horyzontem wielki, znajomy świat ma się po staremu. Wypiłem kolejną kawę i wyszedłem, zabierając ze sobą „Timesa”, taszcząc go ulicą jak bezcenny plik mądrości, ciężar upewnianały mnie, że nie zostałem jeszcze odcięty od tej części świata, która istniała naprawdę.

Potrzebowałem pół godziny, żeby dojść do Sandersona, ale spacer wzdłuż plaży był przyjemnością. Kiedy dotarłem na miejsce, odnalazłem go wyciągniętego na plastikowym leżaku w ogrodzie. Wyglądał na szczuplejszego, niż gdy był ubrany.

– Witaj, zabijako – rzekł. – Jak było w więzieniu?

– Okropnie.

– Cóż, następnym razem będzie gorzej. Będziesz napiętnowana.

Wpatrywałem się w niego i zastanawiałem, co za pokręcone poczucie humoru na mnie wypróbowało.

Sanderson podparł się na łokciach i zapalił papierosa.

– Od czego się zaczęło?

Opowiedziałem mu, opuszczając tu i ówdzie kilka nieistotnych faktów i kategorycznie zaprzeczając znanej mi tylko w strzępkach wersji oficjalnej.

Rozsiadłem się na krzesło, patrząc na białą plażę, morze i palmy dookoła nas i zastanawiając się jednocześnie, jak dziwne jest przejmować się więzieniem w takim miejscu. Wydawało się niemal niemożliwe, że człowiek może polecieć na Karaiby i znaleźć się w więzieniu za jakieś głupie wykroczenie. Więzienia w Puerto Rico są dla miejscowych – a nie dla Amerykanów w tureckich krawatach i koszulach z guzikami.

– Dlaczego twoja kaucja była o tyle niższa? – zapytał. – Czy to oni zaczęli?

Znów to samo. Zaczynałem żałować, że nie oskarżyli mnie o coś brutalnego, jak „napad z bronią w rękę” albo „poturbowanie funkcjonariusza”.

– Cholera, nie mam pojęcia – powiedziałem.

– Masz szczęście – rzekł. – Za opór przy aresztowaniu możesz dostać rok w więzieniu.

– Cóż, myślę, że to twoja przemowa nas uratowała – rzuciłem, próbując zmienić temat. – Kiedy powiedzieliśmy, że jesteśmy z „Daily News”, nie zrobiło to na nich wrażenia.

Zapalił kolejnego papierosa.

– Nie, to by na nikim nie zrobiło wrażenia. – Znów spojrział na mnie. – Ale nie myśl, że skłamałem, żeby cię ratować. „Times” szuka dziennikarza podróżniczego w okolicy i poprosili, żebym kogoś znalazł. Od jutra masz robotę.

Wzruszyłem ramionami.

– Dobrze.

Wszedłem do domu, by nalać sobie następnego drinka. Kiedy byłem w kuchni, usłyszałem nadjeżdżający samochód. Przyjechał Segarra, ubrany jak jakiś żigolak na włoskiej Riwierze. Chłodno skinął głową, gdy wchodził do środka.

– Dzień dobry, Paul. Co to za awantura wczoraj w nocy?

- Nie pamiętam – odparłem, wylewając drinka do zlewu.
- Niech Hal ci powie. Muszę iść.

Rzucił mi pełne dezaprobaty spojrzenie i przeszedł przez dom do ogrodu. Podszedłem do drzwi, żeby powiedzieć Sandersonowi, że wychodzę.

- Wpadnij jutro do mojego biura – powiedział. – Pogadamy o twojej nowej pracy.

Segarra wyglądał na zaintrygowanego.

Sanderson posłał mu uśmiech.

- Kradnę następnego z twoich chłopców – powiedział.

Segarra zmarszczył brwi i usiadł.

- W porządku. Bierz wszystkich.

Wyszedłem i skierowałem się w stronę Calle Modesto, zastanawiając się, jak zabić czas do końca dnia. To zawsze stanowiło problem. Niedziele miałem wolne, soboty zazwyczaj też. Męczyły mnie już jednak przejażdżki z Salą czy przesiadywanie u Ala, a nie było nic innego do roboty. Chciałem popodróżować po wyspie, poznać inne miasta – ale do tego potrzebowałem samochodu.

Nie tylko samochodu, pomyślałem, przydałoby się też mieszkanie. Popołudnie było gorące, a ja czułem się zmęczony i obołały. Chciałem się przespać albo przynajmniej odpocząć, ale nie miałem dokąd pójść. Minąłem kilka przecznic, spacerując w cieniu wielkich bananowców, myśląc o tym wszystkim, co mógłbym robić w Nowym Jorku albo Londynie, i przeklinając pokreślony impuls, który przywiódł mnie w pobliże tych nudnych, parujących skał, aż wreszcie zatrzymałem się przy jednym z miejscowych barów, by kupić piwo. Zapłaciłem za butelkę i zabrałem ją ze sobą, by popijać, idąc dalej. Zastanawiałem się, gdzie mógłbym się przespać. Mieszkanie Sali nie wchodziło w grę. Było gorące, głośnie i przygnębiające niczym grobowiec. Może u Yeamona, pomyślałem, ale to zbyt daleko i nie miałem możliwości, żeby tam dotrzeć. Kiedy wreszcie uświadomiłem sobie, że nie mogę zrobić nic prócz krążenia po ulicach, postanowiłem zacząć szukać własnego mieszkania – miejsca,

w którym mógłbym odpocząć w samotności, mieć własną lodówkę, robić własne drinki, a może nawet czasami zabrać do niego dziewczynę. Myśl o własnym łóżku we własnym mieszkaniu uradowała mnie do tego stopnia, że nie mogłem się doczekać, aż pozbędę się tego dnia i zacznę kolejny, by móc zacząć szukać.

Miałem świadomość, że związanie sobie rąk mieszkaniem i być może samochodem oznaczało dla mnie większe, niż chciałem w tej chwili, zobowiązanie – zwłaszcza że w dowolnym momencie mogłem zostać zabrany do więzienia, gazeta mogła splajtować albo mogłem dostać list od starego przyjaciela, informujący mnie o robocie w Buenos Aires. Nie dalej niż wczoraj, na przykład, byłem gotów lecieć do Mexico City.

Ale nie miałem też wątpliwości, że dochodziłem do punktu, w którym musiałem podjąć decyzję co do Puerto Rico. Spędziłem tu już trzy miesiące, które minęły jak trzy tygodnie. Jak dotąd nie znalazłem żadnego punktu zaczepienia, żadnych za i przeciw, jakie odnajdywałem w innych miejscach. Przez cały czas pobytu w San Juan potępiałem je, w rzeczywistości nie czując do niego niechęci. Miałem wrażenie, że prędzej czy później ujrzę ten trzeci wymiar, tę głębię, która czyni miasto prawdziwym, a której nigdy nie dostrzeżesz, jeśli nie spędzisz gdzieś więcej czasu. Ale im dłużej tu mieszkalem, tym większe miałem podejrzenia, że po raz pierwszy w życiu trafiłem w miejsce, gdzie ten decydujący wymiar nie istnieje – albo jest zbyt mglisty, by mieć jakiegokolwiek znaczenie. Być może, broń Boże, to miejsce było tym, czym się zdawało – mieszaniną Okies, złodziei i zdezorientowanych *jibaros*.

Przeszedłem ponad milę, rozmyślając, paląc, pocąc się, zaglądając ponad wysokimi żywopłotami, wpatrując się w niskie okna wychodzące na ulicę, słuchając ryku autobusów i ciągłego szczekania bezpańskich psów, nie widząc prawie nikogo poza ludźmi mijającymi mnie w zatłoczonych autach, zmierzających Bóg wie dokąd – całe rodziny stłoczone w samochodach, po prostu jeżdżące po mieście, trąbiące, pokrzykujące, zatrzymu-

jące się tu i ówdzie, by kupić *pastillos* i kieliszek *coco frío*, potem wracające do samochodu i ruszające dalej. Obserwowali w zdumieniu i zachwycie wszystkie te dobre rzeczy, które *yanquis* robili z ich miastem. Tu rósł biurowiec wysoki na dziesięć pięter, tam nowa autostrada, co prowadzi donikąd. Oczywiście, zawsze też można rzucić okiem na nowe hotele albo oglądać jankeskie kobiety na plaży – a nocą, jeśli zajechałeś wystarczająco wcześniej, by dostać dobre miejsce, na publicznych placach była *televisión*.

Szedłem dalej, z każdym krokiem coraz bardziej sfrustrowany. Wreszcie, w odruchu desperacji, wezwałem taksówkę i pojechałem do hotelu Caribé Hilton, gdzie odbywał się międzynarodowy turniej tenisa. Wszedłem, pokazawszy legitymację prasową, i resztę popołudnia spędziłem na trybunach.

Tutaj słońce już mi nie przeszkadzało. Wydawało się pasować do ceglanych kortów, ginu i białej piłki skaczącej tam i z powrotem. Przypomniałem sobie inne korty i dawno minione czasy pełne słońca, ginu i ludzi, których nie zobaczę nigdy więcej, bo nie moglibyśmy już rozmawiać ze sobą bez znudzenia i zawodu w głosie. Siedziałem tak na trybunie głównej, słysząc odgłos włochatej piłeczki i, wiedząc, że nigdy już nie będzie brzmiał tak samo jak wtedy, gdy wiedziałem, kto gra, i kiedy mnie to obchodziło.

Mecz skończył się o zmierzchu. Wziąłem taksówkę do Ala, gdzie, samotny przy stoliku w rogu, siedział Sala. Po drodze na patio zauważyłem Sweepa i kazałem mu podać dwie szklanki rumu i trzy hamburgery. Sala podniósł wzrok, gdy się zbliżyłem.

– Wyglądasz jak uciekinier – powiedział. – Jak zbiegły więzień.

– Rozmawiałem z Sandersonem – odparłem. – Uważa, że sprawa nie trafi do sądu... a jeśli trafi, potrwa ze trzy lata.

Ledwo wypowiedziałem te słowa, zacząłem ich żałować. Znow wchodziliśmy na temat mojej kaucji. Zanim zdążył odpowiedzieć, podniosłem rękę.

– Nieważne, pogadajmy o czymś innym.

Wzruszył ramionami.

– Chryste, wszystko, co mi przychodzi do głowy, jest albo przygnębiające, albo przerażające. Czuję się osaczony przez katastrofę.

– A gdzie Yeamon? – zapytałem.

– Pojechał do domu – odrzekł. – Jak tylko wyszedłeś, przypomniał sobie, że zostawił Chenault zamkniętą w chatce.

Podszedł Sweep z naszymi drinkami, które ja zdjąłem z tacy.

– Chyba już kompletnie mu odbiło! – wykrzyknął Sala.

– Masz rację – odparłem. – Bóg wie, jak skończy. Nie można tak przejść przez życie – nie cofając się ani odrobinę, przed nikim i niczym.

Właśnie wtedy Bill Donovan, redaktor sportowy, podszedł z wrzaskiem do naszego stolika.

– Oto i oni! – zakrzyknął. – Panowie z prasy popijają ukradkiem! – Roześmiał się radośnie. – Nieźle sobie poczynaliście zeszłej nocy, nie, skurwysyny? Cholerne szczęście macie, że Lotterman jest w Ponce! – Usiadł przy stoliku. – Co się stało? Słyszałem, że się poprzytykaliście z policją.

– Jasne – powiedziałem. – Daliśmy im popalić, kupa śmiechu.

– Cholera, szkoda, że to przegapiłem. Uwielbiam dobrą bijatykę, zwłaszcza z glinami.

Rozmawialiśmy przez chwilę. Lubiłem Donovana, ale bez przerwy gadał o powrocie do San Francisco, gdzie „coś się dzieje”. W jego opowieściach wybrzeże wyglądało tak dobrze, że wiedziałem, że kłamie, ale nigdy nie mogłem rozpoznać, gdzie kończyła się prawda, a zaczynały kłamstwa. Jeśli choć połowa z tego, co mówił, była prawdą, chciałem tam natychmiast polecieć; ale z Donovanem nie mogłem liczyć nawet na tę konieczną połowę, a słuchanie go zawsze kończyło się frustracją.

Skończyliśmy pić około północy i zeszliśmy ze wzgórza w ciszy. Noc była parna, a dookoła siebie odczuwałem to samo napięcie. Miałem uczucie uciekającego czasu, który jednocześnie

wydawał się stać w miejscu. Zawsze, kiedy myślałem o czasie w Puerto Rico, przypominały mi się stare, magnetyczne zegary wiszące na ścianach w salach mojego liceum. Zdarzało się, że wskazówka nie ruszała się przez kilka minut – i jeśli patrzyłem wystarczająco długo, zastanawiając się, czy zegar wreszcie się zepsuł, nagle stuknięcie wskazówki przeskakującej o trzy czy cztery kreski przerażało mnie swoim nadejściem.

Biuro Sandersona znajdowało się na samym szczycie najwyższego budynku Starego Miasta. Siedziałem w skórzanym fotelu, widząc pod sobą całe wybrzeże, Caribé Hilton i większość Condado. Czułem się tam, jakbym przebywał w wieży kontroli lotów.

Sanderson opierał stopy o parapet.

– Dwie rzeczy – mówił. – Zlecenie dla „Timesa” nie będzie wiele warte, chodzi o kilka artykułów rocznie, ale projekt Zimburgera to większa sprawa.

– Zimburgera? – spytałem.

Przytaknął.

– Nie chciałem o tym wspominać wczoraj, bo mógł do mnie wpaść.

– Zaraz, mówimy o tym samym Zimburgerze... Generale?

Wyglądał na poirytowanego.

– Właśnie o nim, to jeden z naszych klientów.

– Cholera – powiedziałem. – Interesy muszą się słabo kręcić. Przecież ten facet to idiota.

Sanderson obracał ołówek w palcach.

– Kemp – zaczął powoli. – Pan Zimburger buduje marinę... cholernie dużą. – Zrobił przerwę. – Ma też zamiar zbudować jeden z najlepszych hoteli na wyspie.

Roześmiałem się i opadłem na fotel.

– Słuchaj – powiedział ostro. – Jesteś tu już wystarczająco długo, żeby nauczyć się kilku rzeczy, a jedna z pierwszych, których nauczyć się powinieneś, to ta, że pieniądze bywają w dziwnych miejscach. – Stuknął ołówkiem o blat biurka. – Zimburger, znany tobie jako „idiota”, mógłby cię kupić i sprzedać trzydzieści razy. Jeśli upierasz się przy sądzeniu ludzi po pozorach, lepiej poszukaj sobie miejsca w jakiejś dziurze w Teksasie.

Roześmiałem się ponownie.

– Może i masz rację. A teraz powiedz mi, co planujesz. Spiesz mi się.

– Pewnego dnia zapłacisz sporo pieniędzy za tę twoją głupkowatą arogancję.

– Cholera – odpowiedziałem. – Nie przyszedłem do psychoanalityka.

Uśmiechnął się zimno.

– W porządku. „Times” chce ogólnego artykułu do wiosennego działu podróźniczego. Pani Ludwig zbierze dla ciebie jakieś materiały. Powiem jej, czego potrzebujesz.

– Czego dokładnie chcą? – spytałem. – Tysiąca radosnych słów?

– Mniej więcej – odrzekł. – My zajmiemy się zdjęciami.

– W porządku – powiedziałem. – To prosta chałtura. A co z Zimburgerem?

– Cóż – rzekł. – Pan Zimburger potrzebuje prospektu. Buduje marinę na wyspie Vieques, w połowie drogi stąd do St. Thomas. My zajmiemy się zdjęciami i układem graficznym – ty napiszesz tekst, jakieś półtora tysiąca słów.

– Ile zapłaci? – spytałem.

– On nic – odparł Sanderson. – Płaci nam jednolitą stawkę – my zapłacimy tobie dwadzieścia pięć dolarów za dzień plus wydatki. Będziesz musiał wybrać się do Vieques, najprawdopodobniej z Zimburgerem.

– Jezu – powiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Ale bez pośpiechu. Powiedzmy, w następny piątek. Prospekt skierowany jest do inwestorów – dodał. – To diabelnie wielka marina – dwa hotele, setka domków, wszystko, co trzeba.

– Skąd Zimburger bierze na to pieniądze? – spytałem.

Potrząsnął głową.

– Nie chodzi o samego Zimburgera. Zaangażował w ten projekt sporo osób – prawdę mówiąc, mi też to zaproponował.

– Co cię powstrzymało?

Ponownie odwrócił się do okna.

– Jeszcze nie jestem gotów pójść na emeryturę. Praca w tym miejscu jest bardzo interesująca.

– Z pewnością – rzekłem. – Jaką działkę dostajesz? Dziesięć procent z każdego zainwestowanego na wyspie dolara?

Uśmiechnął się szeroko.

– Myślisz jak najemnik, Paul. Jesteśmy tu, żeby pomagać. Żeby sprawy kręciły się dalej.

Podniosłem się do wyjścia.

– Wpadnę jutro odebrać materiały.

– Może zjemy razem lunch? – zapytał, patrząc na zegarek.

– Zbliża się już pora.

– Wybacz – powiedziałem. – Muszę uciekać.

Uśmiechnął się.

– Spóźniony do pracy?

– Właśnie – przytaknąłem. – Muszę tam wrócić i popracować nad małą demaskacją.

– Tylko niech twoja harcerska moralność nie ucieka wraz z tobą – powiedział, nadal się uśmiechając. – A właśnie, skoro o harcerzach mowa, powiedz swojemu koledze Yeamonowi, żeby tu zajrzał, jak będzie miał okazję. Mam coś dla niego.

Przytaknąłem.

– Każ mu popracować z Zimburgerem. Świetnie by się dogadywali.

Kiedy wróciłem do redakcji, Sala zawołał mnie do swojego biurka i pokazał egzemplarz „El Diario”. Na pierwszej stronie

wydrukowano zdjęcie naszej trójki. Z trudem się rozpoznałem – oczy jak szparki, podstępny wyraz twarzy, zgarbiony na ławce jak zatwardziały kryminalista. Sala wyglądała na pijanego, Yeamon zaś wyglądał jak maniak.

– Kiedy nam to zrobili? – spytałem.

– Nie pamiętam – odrzekł. – Ale, cholera, zrobili!

Pod zdjęciem znajdował się krótki artykuł.

– Co piszą? – zapytałem.

– To samo, co powiedział gliniarz – odparł. – Będziemy mieli szczęście, jeśli nas nie zlinczują.

– A Lotterman coś mówił?

– Jeszcze nie wrócił z Ponce.

Zaczęło mnie ogarniać przerażenie.

– Lepiej załatw sobie spluwę – poradził Moberg. – Teraz będą cię mieć na oku. Znam te świny... Będą próbowali cię zabić.

O szóstej byłem już tak przygnębiony, że nawet nie próbowałem pracować i poszedłem do Ala.

Jak tylko skręciłem w Calle O'Leary, usłyszałem skuter Yeamona nadjeżdżający z przeciwnego kierunku. Hałasował potwornie w wąskich uliczkach i było go słychać sześć przecnic dalej. Dotarliśmy do Ala jednocześnie. Chenault siedziała z tyłu i zeskoczyła, kiedy wyłączał silnik. Wydawało się, że oboje są pijani. W drodze na patio zamówiliśmy hamburgery i rum.

– Robi się coraz gorzej – powiedziałem, podsuwając krzesło Chenault.

Yeamon spojrzał z gniewem.

– Ten sukсын Lotterman wykręcił się dziś od przesłuchania. Parszywa sprawa. Ludzie z Ministerstwa Pracy widzieli nasze zdjęcie w „El Diario”. Właściwie to jestem zadowolony, że Lotterman się nie pojawił. Dziś mógłby wygrać.

– Nic dziwnego, to bardzo brzydkie zdjęcie. – Potrzęsnałem głową. – Lotterman jest w Ponce, mamy szczęście.

– Cholera – powiedział. – Potrzebuję pieniędzy na ten weekend. Wybieramy się do St. Thomas na karnawał.

– A tak – powiedziałem. – Słyszałem. Podobno zupełnie szalona impreza.

– Mówią, że jest fantastyczny! – wykrzyknęła Chenault.

– Podobno ma być tak dobry jak ten w Trynidadzie.

– Może pojedziesz z nami? – zaproponował Yeamon. – Powiedz Lottermanowi, że napiszesz artykuł.

– Bardzo chętnie – rzekłem. – Mam już dosyć San Juan.

Yeamon zaczął coś mówić, ale Chenault wpadła mu w słowo.

– Która godzina? – spytała z niecierpliwością.

Spojrzałem na zegarek.

– Dochodzi siódma.

Wstała szybko.

– Muszę iść, zaczyna się o siódmej. – Podniosła torebkę i ruszyła w stronę drzwi. – Wrócę za godzinę – zawołała. – Nie upijcie się za bardzo!

Spojrzałem pytająco na Yeamona.

– W wielkiej katedrze odbywa się jakaś ceremonia – powiedział ze znużeniem. – Bóg jeden wie, co to, ale ona musi to zobaczyć.

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

Przytaknął.

– Tak, jest strasznie. Cholera wie, co mam z nią zrobić.

– Z nią zrobić? – zapytałem.

– Tak, właściwie już zdecydowałem, że to miejsce jest na wskroś zepsute i że powinienem stąd wyjechać.

– A właśnie – powiedziałem. – Sanderson ma dla ciebie jakąś robotę... pisanie artykułów podróźniczych. Jego poczucie sprawiedliwości wymaga uzasadnienia tego wszystkiego, co o nas wtedy powiedział.

Yeamon jęknął.

– Chryste, artykuły podróźnicze. Czy można upaść niżej?

– Rozwiąż ten problem z Sandersonem – powiedziałem.

– Chce, żebyś do niego zadzwonił.

Odchylił się na krzesło i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w ścianę.

– Poczucie sprawiedliwości – powiedział wreszcie, jakby rozkładał te słowa na czynniki pierwsze. – Wydaje mi się, że facet pokroju Sandersona ma mniej więcej tyle samo poczucia sprawiedliwości, co kapo w obozie.

Pociągnąłem łyk ze szklanki.

– Dlaczego zadajesz się z takim gościem? – zapytał. – Wciąż tam chodzisz. Jest w nim coś, czego nie widzę?

– Nie wiem – powiedziałem. – A co widzisz?

– Niewiele – odparł. – Wiem, co mówi Sala... który uważa go za pedzia... i oczywiście za kutasa i pozera, i Bóg wie, za kogo jeszcze. – Zrobił przerwę. – Ale Sala po prostu rzuca słowa na lewo i prawo: Kutas, Pozer, Pedzio. Co z tego? Interesuje mnie, co, do cholery, ty widzisz w tym facecie?!

Teraz pojąłem szyderstwo Sali przy śniadaniu tamtego dnia. Poczułem, że cokolwiek powiem o Sandersonie w tym momencie, będzie decydujące – nie dla Sandersona, lecz dla mnie. Wiedziałem przecież, dlaczego się z nim zadaję, i większość moich powodów nie była dużego kalibru – on był stąd, a ja nie, i wyglądał na pośrednika, dzięki któremu mógłbym dostać wiele upragnionych rzeczy. Z drugiej strony, miał w sobie coś, co lubiłem. Być może fascynowała mnie walka Sandersona z samym sobą – pragmatyk, światowy człowiek, powoli wymazujący chłopca z Kansas. Pamiętałem jego słowa, że Hal Sanderson z Kansas umarł, gdy jego pociąg dotarł do Nowego Jorku – a każdy człowiek, który może powiedzieć coś takiego, i spróbować powiedzieć to z dumą, jest wart tego, by go wysłuchać, chyba że ma się coś o wiele lepszego do zrobienia ze swoim czasem.

Głos Yeamona wyrwał mnie z rozmyślań.

– Dobrze – powiedział, machając ręką. – Jeśli tak bardzo się tym przejmujesz, coś musi w tym być, ale ja i tak myślę, że facet jest zepsuty.

– Za dużo myślisz – stwierdziłem.

– Muszę myśleć cały czas – wymamrotał. – To mój problem... Robię sobie wakacje od myślenia. – Pokiwał głową. – Wychodzi tak samo jak z innymi wakacjami: odpoczywasz przez dwa

tygodnie, a potem spędzasz kolejne pięćdziesiąt na odrabianiu zaległości.

– Nie do końca za tobą nadążam.

Uśmiechnął się.

– Przerwałeś mi. Rozmawialiśmy o Chenault i ni stąd, ni zowąd wyskoczyłeś z tym kapo.

– Zgoda – powiedziałem. – Co z nią? Chcesz przez to wszystko powiedzieć, że zostawisz ją ze mną?

Bębnił palcami po stole.

– Kemp, wolałbym, żebyś nie mówił takich rzeczy. Jestem całkiem uczciwy, jeśli chodzi o wymienianie się dziewczynami, zwłaszcza w przypadku dziewczyny, którą lubię – powiedział to spokojnie, ale usłyszałem w jego głosie napięcie.

Potrząsnąłem głową.

– Niekonsekwentny z ciebie sukinsyn. To ostatnia rzecz, którą spodziewałbym się od ciebie usłyszeć.

– Nie zależy mi przesadnie na konsekwencji – powiedział znów zupełnie swobodnie. – Nie, po prostu głośno myślałem... niezbyt często to robię.

– Wiem – rzuciłem.

Pociągnął łyk drinka.

– Wczoraj myślałem nad tym cały dzień – powiedział. – Powinienem stąd wyjechać i nie wiem, co zrobić z Chenault.

– A gdzie zamierzasz się wybrać? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, może na inną wyspę, może do Europy.

– Europa nie jest zła – powiedziałem. – Jeśli masz pracę.

– Ja nie będę miał.

– Nie – zgodziłem się. – Pewnie nie będziesz.

– O tym właśnie myślałem. I zastanawiałem się, po jaką cholerę chciałem w ogóle jechać do Europy? Po co mi to?

Wzruszyłem ramionami.

– A dlaczego nie?

– Wiesz, nie było mnie w domu od trzech lat, ale ostatnim razem, kiedy tam byłem, spędziłem dużo czasu w lasach.

– Znów zaczynasz mi uciekać – powiedziałem. – Nawet nie wiem, skąd jesteś.

– Z miejsciny zwanej Londyn, w Kentucky – odparł. – Hrabstwo Laurel, świetne miejsce, by zniknąć.

– Planujesz zniknąć? – spytałem.

Przytaknął.

– Możliwe. Ale nie w hrabstwie Laurel – przerwał. – Mój ojciec postanowił zabawić się pieniędzmi i straciliśmy farmę.

Zapaliłem papierosa.

– Świetne miejsce – powiedział. – Mogłeś wyjść z domu, strzelać cały dzień, spuścić psy, robić, co ci się żywnie podoba, i nikomu w całym świecie nie przyszłoby do głowy cię niepokoić.

– Tak, sam trochę polowałem w okolicach Saint Louis.

Odchylił się i wpatrzył w szklanę.

– Zacząłem myśleć o tym wczoraj i doszedłem do wniosku, że być może idę niewłaściwą drogą.

– Jak to? – spytałem.

– Nie jestem pewien – odrzekł. – Ale mam poczucie, że podążam za kłątą, którą ktoś rzucił dawno, dawno temu... i że mam piekielnie dużo towarzyszy.

Podniosłem wzrok, spoglądając na jedną z pobliskich palm, i pozwoliłem mu kontynuować.

– Ty jesteś taki sam – powiedział. – Wszyscy jeździmy po tych samych przeklętych miejscach, robimy te same przeklęte rzeczy, które ludzie robią od pięćdziesięciu lat, i wciąż czekamy, aż coś się stanie. – Podniósł wzrok. – Wiesz, jestem buntownikiem, ruszyłem w drogę... i gdzie moja nagroda?

– Głupcze, nie ma żadnej nagrody, i nigdy nie było.

– Jezu, to okropne. – Podniósł butelkę do ust i wypił do dna.

– Wszyscy jesteście pijakami – powiedział. – Beznadziejnymi pijakami. Niech to diabli, wróć do jakiegoś przez Boga zapomnianego miasteczka i zostań strażakiem.

Roześmiałem się, a chwilę później wróciła Chenault. Siedzieliśmy na patio i piliśmy jeszcze przez kilka godzin, aż wreszcie Yeamon wstał i oznajmił, że jadą do domu.

– Pomyśl o tej imprezie w St. Thomas – rzekł. – Trzeba się bawić, póki jeszcze można.

– Czemu nie? – mruknąłem. – Pewnie się wybiorę. To może być ostatnia przyjemność, która mnie czeka.

Chenault pomachała na do widzenia i wyszła za Yeamonem na ulicę.

Siedziałem tam jeszcze przez chwilę, ale to było zbyt przygnębiające. Słowa Yeamona i moje zdjęcie w „El Diario” tworzyły mieszanekę, która powodowała, że zacząłem myśleć o samobójstwie. Dostałem gęsiej skórki i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem picie nie zaczyna mi się dawać we znaki. Potem przypomniałem sobie artykuł z „News” z zeszłego tygodnia na temat epidemii pasożytów w miejscowych zasobach wody, małych robaczków niszczących jelita. Jezu, pomyślałem, lepiej się wynosić. Zapłaciłem rachunek i wypadłem na ulicę. Spojrzałem w jedną i drugą stronę, zastanawiając się, dokąd pójść. Bałem się iść piechotą – przestraszony wizją bycia rozpoznanym i pobitym przez rozżłoszczony tłum – ale myśl o powrocie do gniazda pcheł i mend, w którym spałem przez ostatnie trzy miesiące, napełniała mnie prawdziwym przerażeniem. W końcu wzięłem taksówkę do Caribé Hilton. Siedziałem tam przy barze około godziny w nadziei, że spotkam dziewczynę, która zaprosiłaby mnie do swojego pokoju, ale jedyną osobą, którą spotkałem, był trener futbolu z Atlanty, który chciał, żebyśmy się przeszli po plaży. Powiedziałem mu, że z chęcią, ale najpierw muszę pożyczyć z kuchni różgę do mieszania sosów.

– Po co? – spytał.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

– Nie masz ochoty na chłostę?

Roześmiał się nerwowo.

– Poczekaj tutaj – powiedziałem. – Przyniosę różgę.

Wstałem i poszedłem do łazienki, a kiedy wróciłem, jego już nie było.

Przy barze nie siedziała ani jedna dziewczyna – tylko kobiety

w średnim wieku i łysi mężczyźni w smokingach. Trząsałem się. Jezu, pomyślałem, to pewnie delirka. Piłem najszybciej, jak mogłem, próbując się upić. Miałem wrażenie, że przygląda mi się coraz więcej i więcej ludzi. Ale nie byłem w stanie nic powiedzieć. Czułem się samotny i obnażony. Zataczając się, wyszedłem na ulicę i zatrzymałem taksówkę. Byłem zbyt oszalały, żeby nocować w hotelu. Nie miałem wyboru – musiałem wrócić do tego brudnego, pełnego karaluchów mieszkania. Jedyne go domu, jaki miałem.

Włączyłem światła i otworzyłem okna, potem zrobiłem sobie dużego drinka i wyciągnąłem się na łóżku polowym, żeby przeczytać swoje czasopismo. Wiała delikatna bryza, ale hałas z ulicy był tak okropny, że dałem sobie spokój z czytaniem i zgasłem światła. Ludzie wciąż przechodzili chodnikiem i teraz – gdy już mnie nie widzieli – spodziewałem się, że lada chwila przez okno zaczną wpęłzać złodzieje. Leżałem na łóżku z butelką rumu na brzuchu i knułem plan obrony.

Gdybym miał lugera, myślałem, mógłbym zrobić z sukinyńców sito. Podniosłem się na łokciu i wycelowałem palcem w okno, żeby ocenić pozycję do strzału. Doskonała. Z ulicy dopływało wystarczająco dużo światła, żeby widział sylwetkę. Wiedziałem, że stałoby się to szybko, nie miałbym wyboru: po prostu pociągnąć za spust i ogłuchnąć od okropnego hałasu, wrzawy krzyków i trzasków, po której nastąpiłyby upiornie głuchoy odgłos ciała upadającego na chodnik. Z pewnością nie byłby sam i pewnie musiałbym zabić jeszcze kilku w samoobronie. Potem przyjechałyby gliny i to byłby koniec. Rozpoznałiby mnie i pewnie zabili na miejscu w mieszkaniu.

Jezu, pomyślałem, jestem skazany. Nie wydam się stąd żywcem.

Wydawało mi się, że widziałem, jak coś porusza się na suficie, a głosy na ulicy wołają mnie po imieniu. Zacząłem się trząść i pocić, a potem pogrążyłem się w delirium.

Ta noc przypięczętowała moje rozstanie z grobowcem Sali. Następnego dnia wstałem wcześniej i pojechałem do Condado szukać mieszkania. Pragnąłem światła słonecznego, czystej pościeli, lodówki, w której mógłbym trzymać piwo i sok pomarańczowy, jedzenia w spiżarni i książek na półkach, żebym mógł od czasu do czasu posiedzieć w domu, bryzy wiejącej przez okno, za którym jest spokojna ulica, i wreszcie adresu, który brzmiałby po ludzku – zamiast poste restante albo dopisków: proszę przesłać dalej albo zatrzymać do przybycia adresata.

Dziesięcioletnie nawarstwienie takich koczowniczych adresów może zacząć człowiekowi ciążyć jak klątwa. Zaczyna się czuć jak Żyd Wieczny Tułacz. W każdym razie ja tak o sobie myślałem. Po zbyt wielu nocach przespanych na śmierzącym łóżku polowym w cuchnącej grocie, w której i tak nie chciałem mieszkać – i nie miałem żadnego powodu, by tam mieszkać, poza tym, że była tania i za granicą – stwierdziłem, że mam dość. Jeśli to miała być wolność absolutna, miałem jej po dziurki w nosie, i w tamtej chwili chciałem spróbować czegoś mniej czystego, ale za to o wiele wygodniejszego. Zamierzałem nie tylko mieć adres, ale także samochód, a gdyby istniało jeszcze cokolwiek innego, co wywiera kojące poczucie stabilizacji, pragnąłem także i tego.

W gazecie znalazłem sporo ogłoszeń dotyczących nieruchomości, ale pierwsze kilka mieszkań, które obejrzałem, było

zbyt drogie. Wreszcie trafiłem na jedno tańsze, nad czymś garażem. Dokładnie takie, jakiego potrzebowałem – dużo powietrza, duży bananowiec dający cień, bambusowe meble i nowa lodówka.

Właścicielka chciała stówę, ale kiedy zaproponowałem siedemdziesiąt pięć, zgodziła się od razu. Na samochodzie przed domem zauważyłem dużą nalepkę „51”. Wy tłumaczyła, że ona i jej mąż zrobią wszystko, żeby Puerto Rico zostało pełnoprawnym stanem. Byli właścicielami kawiarni La Bomba w San Juan. Czy ją znam? Oczywiście, że tak, jadam tam często, wspaniałe jedzenie, a jakie niskie ceny. Powiedziałem jej, że pracuję dla „New York Timesa” i spędzę w San Juan rok, pisząc serię artykułów o nowym stanie – Puerto Rico. Z tego powodu potrzebuję absolutnej prywatności.

Uśmiechnęliśmy się do siebie szeroko i dałem jej pieniądze za miesiąc z góry. Kiedy poprosiła mnie o kolejne siedemdziesiąt pięć dolarów kaucji, powiedziałem, że dostanę czek na wydatki w przyszłym tygodniu i wtedy jej zapłacę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, a ja wyszedłem, zanim zdążyła wyciągnąć ze mnie cokolwiek więcej.

Świadomość, że mam własny kąt, wielce mnie rozweseliła. Nawet gdyby mnie wylali, pieniędzy na koncie wystarczyłoby na trochę, a dopóki Sanderson bulił dwadzieścia pięć dolarów za dzień, nie miałem się o co martwić.

Wyszedłem na Avenida Ashford i wsiałem w autobus jadący do biura. W połowie drogi uświadomiłem sobie, że dziś mam wolne, ale chciałem sprawdzić pocztę, więc jednak wszedłem do środka. Gdy przechodziłem przez newsroom w kierunku skrytek pocztowych, z ciemni zawołał mnie Sala.

– Człowieku, żałuj, że nie było cię tu wcześniej. Lotterman dowiedział się, że Moberg wypisał czek na naszą kaucję... Próbował go wypatroszyć nożyczkami, gonił go aż na ulicę. – Pokiwał głową. – Straszne. Myślałem, że już po nim.

– Dobry Boże – mruknąłem. – A co z czekiem? Nadal w porządku?

– Tak mi się wydaje – odpowiedział. – Straci twarz, jeśli będzie bez pokrycia.

Przytaknąłem z powątpiewaniem. To pokrzyżowało mój plan zdobycia samochodu. Miałem zamiar pożyczyć pieniądze od Lottermana i spłacać z pensji, po dziesięć-piętnaście dolarów tygodniowo. Stałem tak przy ciemni, szukając w głowie alternatywy, kiedy Lotterman wyskoczył z gabinetu i mnie wezwał.

– Chcę cię widzieć – szczechnął. – Ciebie też, Sala, nie próbuj uników.

Sala zignorował go i wszedł do ciemni. Chwilę później pojawił się z paczką papierosów.

– Uniki! – prychnął wystarczająco głośno, by usłyszeli go wszyscy, z Lottermanem na czele. – W dniu, kiedy będę musiał unikać takiego gnojka, rzucę ręcznik i poddam się.

Wydawało się jednak, że Lotterman nic nie usłyszał. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Próbował robić wrażenie wściekłego, ale zdawał się raczej zdezorientowany, a po paru chwilach przysłuchiwania się mu odniosłem wrażenie, że lada moment dostanie udaru.

Zaczął od tego, jak to się strasznie źle stało, że ten „cholerny szaleniec Yeamon” wplątał nas w kłopoty.

– A potem Moberg – jęknął. – Moberg, ten szalony, beznadziejny opój, on mnie okrada. – Rąbnął pięścią w biurko. – Ten obleśny, pijany człowiek-karaluch, który tak sobie wychodzi i wsadza mnie do ciupy za dwa tysiące trzysta dolarów! – Utkwił w nas wzrok. – Czy rozumiecie, chłopcy, co to oznacza dla stanu mojego konta? Macie w ogóle pojęcie, ile kosztuje utrzymanie tej gazety? – Opadł na fotel. – Dobry Boże, zaryzykowałem oszczędności całego życia z tego prostego powodu, że kocham dziennikarstwo... A teraz ten ohydny, zaropiały karaluch wychodzi i próbuje mnie zniszczyć jednym ciosem. – I Yeamon! – krzyknął. – Jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem od razu! Powiedziałem sobie, Chryste, pozbądź się go jak najszybciej. Ten facet to kłopoty w czystej postaci. – Pogroził nam palcem. – Chcę, żebyście trzymali się od niego z daleka, zrozu-

miano? Co on tutaj w ogóle, do diabła, robi? Dlaczego nie wraca tam, skąd przyszedł? Z czego on żyje?

Obaj wzruszyliśmy ramionami.

– Chyba z funduszu powierniczego – powiedziałem. – Mówił coś o inwestowaniu pieniędzy.

– Boże wszechmogący! – wykrzyknął Lotterman. – Dla takich ludzi nie ma tu miejsca! – Potrząsnął głową. – I on miał czelność wmawiać mi, że nie ma centa! Pożyczył sto dolarów i wyrzucił je na motocykl. Słyszeliście coś podobnego?

Ani ja, ani Sala nie słyszeliśmy.

– A teraz chce mi wyrwać moją krwawicę – ciągnął dalej Lotterman. – Na Boga, zobaczymy. – Znów opadł na fotel. – To zbyt okropne, żeby w to uwierzyć. Właśnie zapłaciłem tysiąc dolarów, żeby go wydostać z więzienia... jego, niebezpiecznego świra, który groził, że mi kark skręci. A Moberg – mruknął. – Skąd on się wziął? – Potrząsnął głową i wskazał nam drzwi. – Idźcie, powiedzcie Mobergowi, że każę go zamknąć.

Kiedy ruszyliśmy do drzwi, przypomniał sobie kolejną rzecz.

– Zaczekajcie chwilę – zawołał. – Chłopcy, nie chciałbym, żebyście myśleli, że sam bym was nie wykupił z więzienia. Oczywiście, że bym to zrobił. Wiecie o tym, prawda?

Zapewniliśmy, że wiemy, i zostawiliśmy go mruczącego pod nosem przy biurku. Wróciłem do biblioteki, żeby chwilę pomyśleć. Musiałem mieć samochód, niezależnie od tego, co miałbym zrobić, by go zdobyć. Widziałem kabriolet volkswagena za pięćset dolarów, chyba w całkiem niezłym stanie. Biorąc pod uwagę zawrotne ceny samochodów w San Juan, prawdziwą okazją byłoby kupienie go za czterysta.

Zadzwoiłem do Sandersona.

– Tak sobie myślałem – zacząłem od niechcienia – ile co najmniej zarobię na tym zleceniu od Zimburgera?

– Czemu? – spytał.

– Chciałbym dostać zaliczkę. Potrzebuję samochodu.

Roześmiał się.

– Nie potrzebujesz samochodu, tylko chcesz go mieć. Ile potrzebujesz?

– Jakiś tysiąc. Nie jestem chciwy.

– Chyba zwariowałaś – odparł. – Jedyne, co mogę zrobić, to w najlepszym wypadku dwieście pięćdziesiąt.

– Zgoda – powiedziałem. – To kropla w morzu, ale dobre i to. Kiedy mogę je odebrać?

– Jutro rano. Jestem umówiony z Zimburgerem i myślę, że powinniśmy się zobaczyć i omówić kilka spraw. Nie chcę rozmawiać w domu – przerwał. – Możesz wpaść około dziesiątej?

– W porządku – odparłem. – Do zobaczenia.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zrozumiałem, że skaczę na głęboką wodę. Pod koniec tygodnia miałem się wprowadzić do własnego mieszkania, a na dodatek kupowałem samochód. San Juan zaciskało na mnie swoje pazury. Nie miałem samochodu od pięciu lat – od czasu starego citroëna, którego kupiłem w Paryżu za dwadzieścia pięć dolarów, a rok później sprzedałem za dziesięć, przejechawszy nim całą Europę. Teraz byłem gotów wyrzucić cztery stowy na volkswagena. W najgorszym razie dawało mi to poczucie awansu społecznego, na dobre czy złe.

Następnego dnia po drodze do Sandersona wstąpiłem do komisju, w którym zauważyłem samochód. Biuro było puste, a na ścianie powyżej jednego z biurek widniał napis: SPRZEDAWAJCIE – NIC SIĘ NIE STANIE, DOPÓKI KTOŚ CZEGOŚ NIE SPRZEDA.

Znalazłem sprzedawcę na zewnątrz.

– Przygotujcie go do jazdy – poleciłem, wskazując na kabriolet. – Dam za niego czterysta w południe.

Potrząsnął głową.

– Pięćset dolarów – powiedział, podnosząc tabliczkę na przedniej szybie, jakbym ją przegapił.

– Nonsens – odparłem. – Znasz zasady: nic się nie stanie, dopóki ktoś czegoś nie sprzeda.

Wyglądał na zaskoczonego, ale slogan odniósł sukces.

– Nie odwrócisz biegu wypadków – powiedziałem na odchodnym. – Wróć po niego w południe.

Wpatrywał się we mnie, gdy pospiesznie wychodziłem na ulicę.

Zimburger był już na miejscu, gdy dotarłem do biura Sandersona. Miał na sobie jasnoniebieski garnitur i czerwoną koszulę bez krawata. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak woskowa figurka w oknie zatęchłego kasyna wojskowego. Po dwudziestu latach służby Zimburger nie czuł się dobrze w cywilnym ubraniu.

– Workowate cholerstwo – wytłumaczył. – Tania robocizna, marny materiał.

Stanowczo pokiwał głową.

– Nikt już nie pilnuje, żeby rzeczy były jak należy. Gorszy pieniądz wypiera lepszy.

Sanderson wszedł z zewnętrznej części biura. Ubrany był, jak zwykle, niczym rezydujący gubernator Pago Pago. Tym razem miał na sobie czarny jedwabny garnitur z muszką.

Zimburger przypominał strażnika więziennego po służbie, spoconego weterana o pękającym brzuchu, który w jakiś dziwny sposób dochrapał się góry szmalu.

– W porządku – powiedział. – Przejdźmy do interesów. To ten pisarz? – Wskazał na mnie.

– To Paul Kemp – przedstawił mnie Sanderson. – Widziałeś go u mnie w domu.

Zimburger pokiwał głową.

– Tak, wiem.

– Pan Kemp pisze dla „New York Timesa”. Mamy szczęście, że z nami współpracuje.

Zimburger spojrzał na mnie z nowym zainteresowaniem.

– Prawdziwy pismak, co? To chyba oznacza problemy – roześmiał się. – Znałem paru pismaków w piechocie morskiej... byli z nimi same problemy. Cholera, sam byłem jednym z nich! Kazali mi pisać podręczniki treningowe przez pół roku. Nudniejszej roboty nigdy nie miałem.

Sanderson rozsiadł się na fotelu i oparł stopy na biurku.

– Kemp pojedzie z tobą do Vieques w dogodnym czasie – powiedział. – Chce rzucić okiem na prace.

– Jak cholera! – odparł Zimburger. – Oczy mu wyjdą z orbit... na całych Karaibach nie znajdzie lepszej plaży. – Zwrócił się do mnie. – Zbierzesz tam sporo dobrego materiału. Nikt jeszcze nie pisał o Vieques, zwłaszcza „New York Times”.

– Brzmi nieźle – powiedziałem. – Kiedy chcesz tam jechać?

– Może jutro? – spytał szybko.

– Za wcześnie – odparł Sanderson. – Kemp ma w tej chwili zlecenie dla „Daily News”. Może lepiej będzie w ten weekend?

– Nie mam nic przeciwko – odparł Zimburger. – Zorganizuję samolot na czwartek. – Spojrzał na zegarek i wstał. – Czas na mnie. Cholera, dochodzi południe, a ja nie zarobiłem jeszcze ani centa... straciłem pół dnia. – Spojrzał na mnie i zasalutował szybko, po czym z szerokim uśmiechem pospiesznie wyszedł.

Zjechałem zatłoczoną windą i wezwałem taksówkę. W komisie samochodowym czekał na mnie sprzedawca. Przywitałem go serdecznie, zapłaciłem gotówką za samochód i szybko odjechałem. Był żółty, miał czarny dach, dobre opony i dwuzakresowe radio.

Dochodziła pierwsza, więc pojechałem prosto do gazety, nie zatrzymując się już u Ala na lunch.

Całe popołudnie spędziłem na komendzie policji, rozmawiając z mężczyzną, który zabił swoją córkę.

– Dlaczego?

Podczas gdy pytałem, kilku gliniarzy przypatrywało się nam, a Sala zrobił kolejne zdjęcie.

Wykrzyczał coś po hiszpańsku, a gliniarze powiedzieli mi, że uważał, że córka jest „do niczego”. Chciała wyjechać do Nowego Jorku. Miała zaledwie trzynaście lat, ale on twierdził, że kurwiła się, by zarobić na bilet na samolot.

– Dobrze – powiedziałem w końcu. – *Muchas gracias*. – Zebrałem już wystarczająco dużo materiału na artykuł, więc gli-

niarze go wyprowadzili. Zastanawiałem się, jak długo pozostanie w areszcie przed procesem. Prawdopodobnie dwa do trzech lat, jeśli wziąć pod uwagę to, że już się przyznał. Cholera, jaki sens miał ten proces? Sądy i tak miały dużo roboty.

I to się cholernie dobrze składa, pomyślałem. Całe popołudnie miałem wrażenie, że gliniarze podejrzanie się nam przypatrują, ale nie mogłem być pewien.

Wskoczyliśmy do Ala na obiad. Na patio zastaliśmy Yeamona – opowiedzieliśmy mu o wybuchu Lottermana.

– Tak – powiedział. – Myślałem o tym w drodze do adwokata. – Potrząsnął głową. – Cholera, nawet tam nie dojechałem. Teraz ma mnie w garści... Wspominał coś o anulowaniu mojej kaucji?

– Nie zrobi tego – rzekł Sala. – Zepsułoby mu to wizerunek. Inna sprawa, jeśli pomyśli, że chcesz zwiąć.

– Chcę – powiedział Yeamon. – Wybieramy się do Ameryki Południowej.

– Oboje? – spytałem.

Przytaknął.

– W tej sytuacji pewnie będziemy musieli to odłożyć – rzekł. – Liczyłem na tę odprawę.

– Dzwoniłeś do Sandersona? – spytałem.

Potrząsnął głową.

– Zadzwoń – powiedziałem. – Ma dużo zielonych. Kupiłem dziś nowy samochód.

Roześmiał się.

– Niech mnie diabli. Jest tu?

– Jasne – powiedziałem.

Wyszliśmy na ulicę obejrzeć volkswagena. Yeamon przyznał, że ma ładną, sportową linię.

– Ale wiesz, co to oznacza? – spytał, uśmiechając się szeroko. – Zapuszczasz korzenie. Najpierw praca, teraz samochód... niedługo się ożenisz i usatkujeś na dobre – roześmiał się. – Będziesz jak staruszek Robert... zawsze stąd wyjeżdża, zawsze *mañana*.

– O mnie się nie martw – odparł Sala. – Wiem, kiedy wyjechać. Jeśli kiedykolwiek zostaniesz profesjonalistą, możesz wrócić i uczyć mnie, jak żyć.

Wróciliśmy do baru.

– A kto to taki profesjonalista w swoim zawodzie, Robert? – zapytał Yeamon. – Ktoś, kto ma pracę?

– Ktoś, kto potrafi znaleźć pracę – odparł Sala. – Dlatego, że wie, co robi.

Yeamon zamyślił się na chwilę.

– Chodzi ci o to, że wie, jak zrobić to, co chciałby ktoś inny?

Sala wzruszył ramionami.

– Tłumacz to, jak chcesz.

– To właśnie robię – rzekł Yeamon. – I nie mam zamiaru podważać twoich zdolności. Ale jeśli jesteś tak dobry, jak mówisz, i jeśli nienawidzisz San Juan tak bardzo, jak twierdzisz, to wydaje mi się, że bez problemu mógłbyś być profesjonalistą gdziekolwiek, gdzie ci się podoba.

– Nie wpięprzaj się w moje sprawy! – warknął Sala. – Jakoś nie widzę takiej logiki w twoim trybie życia! Najpierw rozwiąż swoje problemy, wtedy zapłacę ci za profesjonalną poradę, dobrze?

– Rany boskie – powiedziałem. – Dajcie sobie spokój.

– Dla mnie bomba – odparł Sala. – I tak wszyscy jesteśmy partaczami... tyle że ja jestem profesjonalistą.

Sweep przyniósł tacę hamburgerów.

– Kiedy wyruszacie? – spytałem Yeamona.

– Zależy od pieniędzy – odparł. – Pomyślałem, że wybadam w ten weekend w St. Thomas, czy nie udałoby się załapać na jakiś statek płynący na południe. – Spojrzał na mnie. – Oczywiście nadal jedziesz z nami?

– O Jezu! – wykrzyknąłem. Opowiedziałem mu o Zimburgerze i Vieques. – Mogłem to przełożyć, ale myślałem tylko o zdobyciu pieniędzy i samochodu.

– Cholera – powiedział. – Vieques jest w połowie drogi stąd do St. Thomas. Każdego dnia kursuje prom.

Uzgodniliśmy w końcu, że dołączę do nich w piątek. Lecieli na miejsce rano, a powrót planowali w niedzielę po południu.

– Trzymajcie się z dala od St. Thomas – ostrzegł Sala.

– W St. Thomas przytrafiają się ludziom złe rzeczy. Mogę wam opowiedzieć kilka niewiarygodnie makabrycznych historii.

– I co z tego? – spytał Yeamon. – Miło się tam można upić. Powinieneś wybrać się z nami.

– Nie, dzięki – odparł Sala. – Już raz się miło upiliśmy, pamiętasz? Nie tęsknię do dostawania w mordę.

Skończyliśmy jedzenie i zamówiliśmy kolejne drinki. Yeamon zaczął opowiadać o Ameryce Południowej, a ja gdzieś głęboko w środku poczułem podniecenie. Nawet Sala się ruszał.

– Chryste, chciałbym tam pojechać – powtarzał. – I dlaczego miałbym tego nie zrobić? Cholera, na życie mogę zarobić wszędzie.

Przysłuchiwałem się, ale nie mówiłem wiele, bo pamiętałem, jak czułem się tego ranka. Poza tym miałem samochód na ulicy, mieszkanie w Condado i złoty kranik u Zimburgera. Myślałem o tym. Samochód i mieszkanie zupełnie mi nie przeszkadzały, ale świadomość, że pracuję dla Zimburgera, przyprawiała mnie o gęsią skórkę. Słowa Yeamona pogarszały sprawę. Oni ruszali do Ameryki Południowej, ja ruszałem do Zimburgera. Czułem się dziwnie z tego powodu i przez resztę nocy nie mówiłem wiele, a tylko siedziałem i piłem, próbując zdecydować, czy robię się starszy i mądrzejszy, czy po prostu stary.

Najbardziej męczyło mnie to, że tak naprawdę nie chciałem wyjeżdżać do Ameryki Południowej. Nigdzie nie chciałem wyjeżdżać. A mimo to, kiedy Yeamon opowiadał o tym, że chce ruszyć w drogę, i tak poczułem podniecenie. Widziałem siebie schodzącego ze statku na Martynice i przechadzającego się po mieście w poszukiwaniu taniego hotelu. Wyobraziłem sobie siebie w Caracas i Bogocie, i w Rio, rozbijającego się po świecie, którego nigdy nie widziałem, ale w którym doskonale dawałem sobie radę, bo byłem najlepszy.

Ale to była czysta masturbacja, bo w głębi duszy nie pragnąłem niczego poza czystym łóżkiem, jasnym pokojem i czymś solidnym, co mógłbym nazwać własnym, przynajmniej do momentu, kiedy mi się nie znudzi. W mojej głowie powstało okropne podejrzenie, że teraz moje życie będzie już biegło z górki, a najgorsze było to, że wcale nie uznawałem swojego położenia za tragiczne, odczuwałem tylko zmęczenie i pewnego rodzaju wygodną obojętność.

Następnego dnia pojechałem z maksymalną prędkością do Fajardo. Relacjonowałem umowę dotyczącą nieruchomości, ale okazało się to przykrym przeżyciem i byłem zmuszony zrezygnować. W drodze powrotnej zatrzymałem się u przydrożnego sprzedawcy i kupiłem ananasa, którego mężczyzna pokroił dla mnie w kostkę. Jedząc, mozolnie przebijałem się między samochodami. Jechałem teraz wolno, prowadząc jedną ręką i odkrywając luksus decydowania, dla odmiany, o własnych ruchach. Postanowiłem, że w następnym weekend pojadę do Ponce na południowym wybrzeżu.

Kiedy dotarłem do budynku „News” z samochodu, właśnie wysiadał Moberg.

– Obyś miał broń – powiedziałem. – Stary *daddio* może wpaść w szal, jak cię zobaczy.

Roześmiał się.

– Dogadaliśmy się. Kazał mi podpisać oświadczenie, że oddam mu samochód, jeśli ktokolwiek zwieje.

– Jezu, Yeamon już myśli o wyjeździe.

Znów się roześmiał.

– Nie obchodzi mnie to. Niech się pieprzy. Podpiszę wszystko. Tak trzeba.

– Ach, Moberg – powiedziałem. – Porąbany z ciebie sukinyś.

– Owszem – odparł. – Tak porąbany, jak tylko się da.

Lotterman nie pojawił się przez całe popołudnie. Sala twierdził, że robi obchód banków, próbując załatwić pożyczkę na dalsze działanie gazety. Była to tylko plotka, ale wszyscy w redakcji rozmawiali tak, jakby nadszedł koniec.

Około trzeciej zadzwonił Yeamon, oznajmiając, że odwiedził Sandersona.

– Dał mi kilka gównianych artykułów. Mówi, że dostanę jakieś trzydzieści dolarów za każdy, ale zaliczki dać nie chciał.

– Nie najgorzej – powiedziałem. – Zrób je dobrze i zażądaj czegoś większego – facet ma więcej pieniędzy niż Pan Bóg.

– Tak – mruknął. – Chyba masz rację. Jakbym dostał coś za powiedzmy pięć stów, wystarczyłoby mi na wyjazd.

Sanderson zadzwonił jakąś godzinę później.

– Możesz być na lotnisku w czwartek o siódmej rano? – zapytał.

– Dobry Boże – powiedziałem. – Chyba tak.

– Nie masz wyboru – rzekł. – Przygotuj się na to, że będziesz musiał spędzić tam prawie cały dzień. Zimburger chce wracać przed zmrokiem.

– Ja nie wracam – powiedziałem. – Płynę do St. Thomas na karnawał.

Roześmiał się.

– Mogłem się spodziewać, że zainteresuje cię coś takiego. Na twoim miejscu trzymałbym się z dala od centrum. Miejscowych trochę ponosi. Najlepsze przyjęcia są na statkach... żeglarze urządzają własny karnawał.

– Nie mam żadnych planów – odparłem. – Po prostu tam popłynę i dam nura w sam środek... dobre, odprężające pijaństwo.

Po pracy wpadłem do Sali i zabrałem rzeczy, a potem pojechałem do swojego nowego mieszkania. Nie miałem żadnych sprzętów, więc musiałem tylko zawiesić kilka ubrań w szafie i włożyć piwo do lodówki. Wszystko inne było już na miejscu – pościel, ręczniki, sprzęt kuchenny – wszystko poza jedzeniem.

To było moje mieszkanie i podobało mi się. Przespałem się chwilę, a potem pojechałem do małego *colmado*, gdzie kupiłem jajka i bekon na śniadanie.

Następnego ranka zdążyłem już usmażyć bekon, gdy przypomniałem sobie, że nie kupiłem kawy. Pojechałem więc do hotelu Condado Beach i tam zjadłem śniadanie. Kupiłem „Timesa” i jadłem w samotności przy małym stole na trawniku. Restauracja była dość droga, więc z pewnością nie spotkałbym w niej nikogo z „News”. Pismacy, którzy nie byli u Ala, jedli w Holiday, zatłoczonej restauracji na plaży na skraju miasta.

Całe popołudnie spędziłem na nabrzeżu, próbując dowiedzieć się, czy gazeta zostanie zamknięta z powodu strajku. Przed samym wyjściem powiedziałem Schwartzowi, że nie przyjdę następnego dnia; czułem nadchodzący kryzys.

– Jezu Chryste – mruknął. – Zachowujecie się jak szczury na tonącym okręcie. Sala cały dzień zajmował ciemnię swoimi własnymi zdjęciami, a Vanderwitza złapałem, jak wykonywał zamiejskowy telefon do Waszyngtonu. – Potrząsnął głową. – Nie możemy sobie pozwolić na panikę. Może byście się uspokoili?

– Jestem spokojny – powiedziałem. – Potrzebuję tylko jednego dnia na załatwienie swoich interesów.

– Dobrze – powiedział ze znużeniem. – To nie moja sprawa. Rób, co tylko chcesz.

Pojechałem do Ala i zjadłem obiad w samotności, później wróciłem do domu i napisałem artykuł, który Sanderson chciał wysłać do „Timesa”. Pracy nie było dużo, opierałem się głównie na materiale, który mi dał – ceny spadają na okres letni, więcej młodych ludzi na wakacjach, różne oddalone miejsca warte odwiedzenia. Zajął mi to około dwóch godzin, a kiedy skończyłem, postanowiłem od razu mu go zawieźć i wypić jeszcze kilka drinków przed snem. Nazajutrz rano czekała mnie pobudka o szóstej, ale nadal było wcześniej i nie chciało mi się spać.

Kiedy zajechałem na miejsce, nie zastałem nikogo, więc wszedłem i zrobiłem sobie drinka, a potem zająłem jeden z leżaków na werandzie. Włączyłem wentylator i nastawiłem płytę na adapterze.

Postanowiłem, że kiedy zdobędę trochę pieniędzy, postaram się o takie lokum dla siebie. Obecne było dobre na początek, ale nie miało werandy ani ogrodu, ani plaży, a nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym stać się ich właścicielem.

Sanderson wszedł mniej więcej po godzinie. Przyprowadził ze sobą człowieka, który podawał się za brata słynnego trębacza. Nalaliśmy sobie po drinku, a Sanderson przeczytał mój artykuł i powiedział, że jest wspaniały.

– Mam nadzieję, że w tej chwili nie potrzebujesz pieniędzy – rzekł. – To może potrwać jakiś tydzień. – Wzruszył ramionami. – I tak nie będzie tego dużo... jakieś pięćdziesiąt dolarów.

– Dobrze, niech będzie – powiedziałem, siadając na leżaku.

– Zobaczę, co jeszcze mogę na ciebie zrzucić. Chwilowo mamy za dużo zleceń. Wpadnij, jak wrócisz z St. Thomas.

– Świetnie się składa. Przyszłość gazety rysuje się dość blado, być może niedługo moje życie zacznie zależeć właśnie od tego.

Pokiwał głową.

– Masz rację, że blado. W poniedziałek dowiesz się, jak bardzo jest źle.

– Co się stanie w poniedziałek? – spytałem.

– Nie mogę powiedzieć – odparł. Potem się uśmiechnął.

– I tak nic by nie pomogło, gdybyś wiedział. Bądź spokojny, nie będziesz głodował.

Mężczyzna, który miał słynnego brata, przez całą rozmowę patrzył w milczeniu na plażę. Na imię mu było Ted. Teraz zwrócił się do Sandersona i zapytał znudzonym głosem:

– A jak tam nurkowanie?

– Nieszczególnie – odparł Sanderson. – Prawie wszystko wyłowione.

Przez pewien czas rozmawialiśmy o nurkowaniu. Sanderson autorytatywnie wypowiadał się o „narkozie głębin” i nurkowa-

niu na rafie Palancar. Ted przez dwa lata mieszkał w południowej Francji i pracował raz dla Jacques'a Cousteau.

Chwilę po północy zdałem sobie sprawę, że zaczynam być pijany, więc wstałem, by wyjść.

– Cóż – powiedziałem. – O świcie mam randkę z Zimburgerem, lepiej się prześpię.

Następnego ranka wstałem późno. Nie było czasu na śniadanie, więc pospiesznie się ubrałem i chwyciłem pomarańczę, żeby ją zjeść po drodze na lotnisko. Zimburger czekał przy niewielkim hangarze na samym końcu pasa startowego. Kiwnął głową, kiedy wysiadłem z samochodu, a ja podszedłem do miejsca, w którym stał z dwoma innymi mężczyznami.

– To Kemp – powiedział im. – Jest naszym pisarzem, pracuje dla „New York Timesa”. – Uśmiechnął się szeroko i patrzył, jak podajemy sobie ręce.

Jeden z mężczyzn był restauratorem, drugi – architektem.

– Wrócimy po południu – powiedział Zimburger – bo pan Robbis, restaurator, musi iść na cocktail party.

Poleciliśmy małym apachem, którego pilot wyglądał jak uchodźca z Latających Tygrysów. Przez cały lot nie odezwał się ani słowem i wydawał się całkowicie nieświadom naszej obecności. Po nudnym, półgodzinnym locie nad chmurami, zniżyliśmy się niedaleko Vieques i szybko wylądowaliśmy na małym pastwisku, które służyło za lotnisko. Trzymałem się fotela, pewien, że się przewrócimy, jednak po kilku gwałtownych podskokach samolot szczęśliwie się zatrzymał.

Kiedy wyszliśmy, Zimburger przedstawił nas ogromnemu mężczyźnie o imieniu Martin, który wyglądał na zawodowego łowcę rekinów. Miał świeżo wyprasowane ubranie w kolorze khaki i motocyklowe okulary przeciwsłoneczne, a jego włosy były prawie zupełnie wybielone przez słońce. Zimburger mówił o nim jak o „swoim człowieku na wyspie”.

Ogólny plan polegał na zabraniu piwa i kanapek z baru Martina, a potem jeździe na drugą stronę wyspy, by zobaczyć po-

siadłość. Martin zawiózł nas do miasta swoim volkswagenem busem, ale Portorykańczyk, który miał zrobić kanapki, zniknął. Martin musiał zrobić je sam. Zostawił nas więc na pustym parkiecie i rozwścieczony poszedł do kuchni.

Trwało to około godziny. Zimburger żarliwie przemawiał do restauratora, więc postanowiłem wyjść i poszukać miejsca, gdzie mógłbym napić się kawy. Architekt powiedział, że zna bar w okolicy.

Pił bez przerwy od piątej rano, kiedy Zimburger z niewiadomego powodu wyrzucił go z łóżka. Nazywał się Lazard, a w tonie jego głosu słychać było gorycz.

– Ten Zimburger to kawał popaprańca – oznajmił. – Od sześciu miesięcy każe mi biegać w kółko.

– Niech tam – powiedziałem. – Najważniejsze, że płaci.

Spojrzał na mnie.

– Pierwszy raz dla niego pracujesz?

– Tak – powiedziałem. – A co? Oszukuje?

Lazard wyglądał na nieszczęśliwego.

– Sam nie wiem. Jest dobry, jeśli chodzi o darmowe drinki i tym podobne, ale czasem się zastanawiam.

Wzruszyłem ramionami.

– Mnie i tak płaci Adelante. Nie muszę się z nim rozliczać, pewnie tym lepiej.

Kiwnął głową i weszliśmy do baru. Menu stanowił pasek znaków Coca-Coli na ścianie. Poza tym były tam czerwone taborety obite sztuczną skórą, lada z laminatu i grube, brązowe kubki na kawę. Obsługiwała nas niechlujna, biała kobieta z mocno wyczuwalnym akcentem z południowych stanów.

– Zapraszam do środka – powiedziała. – Co podać, chłopcy?

Święta Matko Boska, pomyślałem. Co to za miasto?

Lazard kupił egzemplarz „News” za dwadzieścia centów i od razu zauważył artykuł na pierwszej stronie sygnowany moim nazwiskiem.

– Myślałem, że pracujesz dla „New York Timesa” – rzekł, wskazując palcem na mój tekst o strajku na nabrzeżu.

– Trochę im pomogłem – powiedziałem. – Mają za mało ludzi i poprosili, żebym napisał parę rzeczy, zanim będą mogli zatrudnić więcej osób.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Człowieku, to jest życie, wiesz... Pracujesz, podróżując, tak?

– Mniej więcej – powiedziałem.

– To świetny układ – odparł. – Jeździsz, gdzie dusza zapagnie... stała pensja... żadnych zmartwień.

– Cholera, sam też nie najgorzej się ustawieś – uśmiechnąłem się. – W końcu obaj siedzimy na tej przez Boga zapomnianej wyspie i jeszcze nam za to płacą.

– Mnie nie – odparł. – Dostaję, co prawda, pieniądze na bieżące wydatki, ale jeśli ta sprawa nie wypali, to będzie tak, jakbym się cofnął o dwa lata. – Z powagą pokiwał głową. – Nie mam zbyt mocnej pozycji. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby moje nazwisko łączono z nieudanymi projektami, nawet jeśli to nie z mojej winy. – Dopił kawę i postawił kubek na ladzie. – Pod tym względem masz lepiej – rzekł. – Ty musisz tylko napisać artykuł. Dla mnie każda robota to być albo nie być.

Współczułem Lazardowi. Najwyraźniej nie podobało mu się to, w co się wplątał, ale nie mógł sobie pozwolić na ostrożność. Był niewiele starszy ode mnie, a taki projekt mógłby się stać dla niego wielką szansą, gdyby się powiodł. A gdyby coś się nie udało, sytuacja zmieniłaby się na gorszą – ale nawet wtedy byłaby lepsza od mojej przez ostatnie pięć lat. Miałem ochotę to powiedzieć, jednak wiedziałem, że nie poprawiłoby mu to samopoczucia. Po prostu i on zacząłby mi współczuć, a wcale tego nie chciałem.

– Tak – powiedziałem. – Człowiek chce zbyt wiele naraz.

– Racja – odparł, przygotowując się do wyjścia. – Dlatego ci zazdroszczę... Masz naraz bardzo wiele.

Powoli zaczynałem wierzyć w to, co mówi. Z każdym jego słowem czułem się coraz lepiej. W drodze powrotnej do baru Martina rozejrzałem się po mieście. Było niemal opuszczone. Przy szerokich ulicach stały niskie budynki; większość z nich

była zbudowana z betonowych płyt i pomalowana na jasne, pastelowe kolory, ale wszystkie wydawały się puste.

Skręciliśmy na rogu i zaczęliśmy schodzić ze wzgórza do baru Martina przy nabrzeżu. Po obu stronach ulicy rosły chuderlawe palmy, a u podnóża wzniesienia długi pirs wbił się w port. Do jego końca były przycumowane cztery kuty, leniwie kołyszące się na falach wypływających z cieśniny Vieques.

Bar nazywał się Kingfish. Miał blaszany dach i bambusowy płot dookoła wejścia. Volkswagen bus stał zaparkowany przed drzwiami. W środku Zimburger nadal rozmawiał z Robbisem. Martin pakował piwo i kanapki do dużej przenośnej lodówki.

Zapytałem go, dlaczego miasto wygląda na opuszczone.

– W tym miesiącu nie ma manewrów – odparł. – Powinieneś tu wpaść, kiedy pięć tysięcy marines zjeżdża do miasta. Prawdziwy dom wariatów.

Potrząsnąłem głową, przypominając sobie, że Sanderson mówił mi, że dwie trzecie wyspy stanowiło poligon dla marines. Dziwne miejsce, by budować luksusowy kurort – chyba że chcesz go napęłnić emerytowanymi żołnierzami jako mięsem armatnim.

Dopiero po dziesiątej ruszyliśmy ku drugiej stronie wyspy. Miała zaledwie cztery mile szerokości, które przejechaliśmy dobrą drogą przez wysokie pola trzciny cukrowej i po wąskich ulicach, przy których rosły palmy. Wreszcie wjechaliśmy na wzniesienie, z którego był widok na Karaiby. W tamtej chwili zrozumiałem, że takiego właśnie miejsca szukałem. Przejechaliśmy przez kolejne pole, a potem przez palmowy zagajnik. Martin zaparkował busa, a my wyszliśmy obejrzeć plażę.

Pierwsze, co poczułem, to dzikie pragnienie, by wbić w piasek patyk i zaanektować ten teren. Plażę, białą jak sól, od całego świata odcinał pierścień stromych wzgórz spoglądających w morze. Staliśmy na skraju dużej zatoki, której wody miały czysty, turkusowy kolor, świadczący o białym, piaskowym dnie.

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Miałem ochotę zdjąć z siebie wszystkie ubrania i nie założyć ich już nigdy więcej.

Potem usłyszałem głos Zimburgera, ohydny trajkot, który przywrócił mnie do rzeczywistości. Nie przyjechałem tu po to, by podziwiać uroki tego miejsca, ale po to, by napisać tekst, który pomógłby je sprzedać. Zimburger przywołał mnie do siebie, bym obejrzał szczyt wzgórza, gdzie zamierzał wybudować hotel. Potem wskazywał na kolejne wzgórza, na których miały stanąć domki. Trwało to prawie godzinę – chodziliśmy tam i z powrotem po plaży, patrzyliśmy na bagna, które miały się zamienić w centra handlowe, na samotne, zielone wzgórza, które miały przebić rury kanalizacyjne, i na czystą, białą plażę, gdzie już wydzielono i oczyszczono miejsca na kabiny. Robiłem notatki, dopóki mogłem to wszystko wytrzymać, a później wróciłem do busa, przy którym Martin pił piwo.

– Musimy iść z duchem czasu – mruknąłem, sięgając do lodówki.

Uśmiechnął się.

– Tak, ten teren zamieni się w coś naprawdę wielkiego.

Otworzyłem piwo i wypilem je duszkiem, po czym sięgnąłem po następnę. Rozmawialiśmy przez pewien czas. Martin powiedział mi, że po raz pierwszy przybył do Vieques jako marine. Na pierwszy rzut oka ocenił, że to dobre miejsce, więc zamiast odsłużyć dwadzieścia lat, zgodnie z pierwotnym planem, wyszedł po dziesięciu i wrócił do Vieques założyć bar. Teraz, poza Kingfishem, należały do niego pralnia, pięć domów w Isabel Segunda i jedyna koncesja na gazetę – poza tym zakładał wypożyczalnię samochodów, by obsługiwać klientów Zimburgera. Na dodatek był „generalnym nadzorcą” posiadłości Zimburgera, co dawało mu jeszcze lepszą pozycję. Uśmiechał się, popijając piwo.

– Jak widzisz, to miejsce mi służy. Gdybym został w Stanach, byłbym po prostu kolejnym emerytowanym żołnierzem.

– Skąd pochodzisz? – spytałem.

– Z Norfolku – rzekł. – Ale nie tęsknię za bardzo. Przez sześć lat wyjechałem stąd najdalej do San Juan – przerwał, rozgląda-

jąc się po małej, zielonej wyspie, której tyle zawdzięczał. – Tak, dorastałem w Norfolku, ale niewiele stamtąd pamiętam... Wydaje się, że od wieków tam nie byłem.

Wypiliśmy jeszcze po piwie, potem Zimburger z Robbisem i Lazardem wrócili z plaży. Lazard był cały spocony, a Robbis wyglądał na bardzo zniecierpliwionego.

Zimburger po przyjacielsku klepnął mnie w ramię.

– No – powiedział z szerokim uśmiechem. – Jesteś gotów napisać artykuł? Nie mówiłem, że to miejsce to cudo?

– Jasne – powiedziałem. – Jestem przygotowany.

Potrząsnął głową z udawanym zawodem.

– Ech, pismaki, nigdy o niczym nie powiecie dobrego słowa.

– Roześmiał się nerwowo. – Cholerne pismaki, nigdy nie wiadomo, co zrobią.

W drodze powrotnej do miasta Zimburger bez ustanku mówił o swoich planach co do Vieques. Wreszcie przerwał mu Martin, by powiedzieć, że wszyscy zjemy lunch w jego klubie – wysłał chłopców po świeże homary.

– Chyba langusty – rzekł Zimburger.

Martin wzruszył ramionami.

– Cholera, zawsze, kiedy to mówię, muszę potem długo tłumaczyć różnicę, więc nazywam je homarami.

– To homary z Karaibów – wyjaśnił Zimburger Robbisowi. – Większe i smaczniejsze niż inne gatunki, a w dodatku nie mają szczypec. – Uśmiechnął się szeroko. – Stary Bóg musiał być w niezłym nastroju, kiedy stwarzał ten raj.

Robbis wyrzął przez okno, po czym odwrócił się do Martina.

– Muszę podziękować – rzekł sztywno. – Jestem umówiony w San Juan, a robi się późno.

– A niech to – powiedział Zimburger. – Jest dużo czasu do zabicia. Przecież jeszcze przed pierwszą.

– Nie mam zwyczaju zabijać czasu – odparł Robbis, ponownie odwracając się do okna.

Poznałem po jego tonie, że coś poszło nie tak tam, na plaży. Z porannej rozmowy zrozumiałem, że Robbis reprezentował

jakaś sieć restauracji, której nazwę powinienem pewnie rozpoznać. Najwyraźniej Zimburger liczył na dodanie oczka o nazwie Vieques do tej sieci.

Kątem oka spojrzałem na Lazarda. Zdawał się być w jeszcze gorszym nastroju niż Robbis. Sprawilo mi to wyraźną przyjemność, która zaczęła graniczyć z euforią, gdy Zimburger oświadczył gburowatym tonem, że natychmiast lecimy do San Juan.

– Ja raczej zostaję na noc – powiedziałem. – Jutro muszę być w St. Thomas, napisać coś o karnawale. – Spojrzałem na Martina. – O której odpływa prom?

Wjeżdżaliśmy już do miasta, a Martin szybko wrzucił dwójkę, by podjechać pod strome wzgórze.

– Prom płynął wczoraj – rzekł. – Ale jakaś łódź od nas płynie. Właściwie sam mogę cię zabrać.

– Tym lepiej – powiedziałem. – Nie ma sensu, żebym wracał do San Juan. Możesz mnie wysadzić przy hotelu.

– Później – odparł z szerokim uśmiechem. – Najpierw zjemy. Nie możemy pozwolić, żeby te wszystkie... ach... langusty się zmarnowały.

Zawieźliśmy Zimburgera z Robbisem i Lazardem na lotnisko, gdzie pilot spał spokojnie w cieniu samolotu. Gdy Zimburger wrzasnął na niego, wstał powoli, ani na chwilę nie zmieniając swojej znużonej miny. Najwyraźniej tego człowieka nie obchodziło kompletnie nic. Miałem ochotę szturchnąć Lazarda i powiedzieć mu, że obaj spóźniliśmy się na łódź.

Ale Lazard wyglądał na pogrążonego w złowieszczych myślach, więc powiedziałem tylko „do zobaczenia”. Kiwnął głową i wgramolił się do samolotu. Następny wszedł Robbis, a na końcu Zimburger, który zajął miejsce przy pilocie o kamiennej twarzy. Wszyscy patrzyli prosto przed siebie, gdy samolot nabierał szybkości na pasie startowym, by poszybować nad drzewami w kierunku Puerto Rico.

Kilka następnych godzin spędziłem w barze u Martina. Dołączył do nas jego znajomy, kolejny były marine, właściciel baru na wzgórzu za miastem.

– Pij, pij – powtarzał mi wciąż Martin. – Wszystko na koszt firmy. – Złośliwie wyszczerzył zęby. – A może powinienem powiedzieć: na koszt pana Zimburgera? W końcu jesteś jego gościem, prawda?

– Prawda – odparłem, przyjmując kolejną szklanekę rumu.

W końcu zaczęliśmy jeść homary. Poznałem, że od rana tały, ale Martin z dumą twierdził, że jego chłopcy przywieźli je świeżo z połowu. Wyobrażałem sobie, jak Martin zamawia homary w Maine, potem odrywa im szczypce i wrzuca do zamrażarki, w której czekają, aż zaserwuje je gościom Zimburgera – a potem wpisuje to bardzo starannie na rachunku wydatków. Jeden dziennikarz – czterdzieści dolarów dziennie, praca i rozrywka.

Po zjedzeniu dwóch langust, wychyleniu mnóstwa drinków i niemiłosiernym znudzeniu się ich gładzeniem zebrałem się do wyjścia.

– Gdzie jest hotel? – zapytałem, schylając się po swoją skórzaną torbę.

– Chodź – rzekł Martin, kierując się do drzwi. – Zabiorę cię do Carmen.

Poszedłem za nim do busa. Jechaliśmy pod górę mijając jakieś trzy przecznice do niskiego, różowego budynku z szyldem, na którym widniał napis HOTEL CARMEN. Hotel był pusty i Martin nakazał recepcjonistce dać mi najlepszy pokój – na jego koszt.

Zanim odjechał, powiedział, że jutro zabierze mnie do St. Thomas swoją motorówką.

– Musimy wyruszyć około dziesiątej – powiedział. – Jestem tam umówiony ze znajomym na dwunastą.

Wiedziałem, że kłamał, ale to nie miało znaczenia. Martin przypominał mechanika samochodowego, który właśnie odkrył istnienie firm ubezpieczeniowych, albo szczeniaka oszalałego na punkcie funduszu reprezentacyjnego swojej firmy. Z niecierpliwością oczekiwałem dnia, w którym zdemaskują się nawzajem z Zimburgerem.

Najlepszy pokój w Carmen kosztował trzy dolary i miał bal-

kon z widokiem na miasto i port. Przejedzony i niemal pijany zasnąłem, ledwo do niego wszedłem.

Dwie godziny później obudziło mnie pukanie do drzwi.

– *Señor* – odezwał się głos. – Ma pan obiad z *Señor Kingfish*, nie?

– Nie jestem głodny – powiedziałem. – Właśnie jadłem lunch.

– *Sí* – odparł głos, po czym usłyszałem szybkie kroki na schodach prowadzących na ulicę. Nadal było jasno, a ja nie mogłem zasnąć, więc wyszedłem kupić butelkę rumu i lód. W tym samym budynku, w którym mieścił się hotel, znajdował się też swego rodzaju magazyn z alkoholem. Szeroko uśmiechnięty Portorykańczyk sprzedał mi butelkę rumu za dolara i worek lodu za dwa. Zapłaciłem i wróciłem na górę do pokoju.

Zrobiłem sobie drinka i wyszedłem na balkon. Miasto nadal wyglądało na opuszczone. Daleko na horyzoncie dostrzegłem sąsiednią wyspę Culebra. To mniej stamtąd dochodził drżący huk eksplozji. Sanderson wspominał, że Culebra była poligonem dla bombowców U.S. Navy. Kiedyś była magicznym miejscem, ale te czasy już minęły.

Siedziałem na balkonie od dwudziestu minut, gdy na ulicy pojawił się Murzyn na niewielkim, szarym koniu. Uderzenia kopyt przeszywały ciszę miasta jak strzały z pistoletu. Patrzyłem, jak ze stukotem przejeżdża ulicą, znikając w końcu za małym wzniesieniem, ale długo jeszcze miałem w uszach odgłos kopyt.

Wtem usłyszałem kolejny dźwięk – stłumiony rytm uderzeń w blaszane bębny. Robiło się już ciemno i nie mogłem się zorientować, skąd dochodzi muzyka. Jej dźwięk był miękki i dziwnie fascynujący. Siedząc tak, pijąc i słuchając, czułem, że żyję w zgodzie ze sobą i ze światem. A wzgorza za mną stawały się złoto-czerwone w ostatnich promieniach chylącego się słońca.

Potem nastąpiła noc. W mieście zapaliło się kilka świateł. Muzyka rozbrzmiewała długimi wybuchami, jakby ktoś coś tłumaczył między zwrotkami – a później zaczynała się od nowa.

Słyszałem głosy na ulicy pode mną, a od czasu do czasu uderzenia kopyt kolejnych koni. Isabel Segunda wydawała się bardziej aktywna nocą niż podczas długiego, gorącego dnia.

W takim mieście czujesz się jak Humphrey Bogart: przylatujesz trzęsącym się samolocikiem i z jakiegoś tajemniczego powodu dostajesz prywatny pokój z balkonem i widokiem na miasto i port – a potem siedzisz i pijesz, dopóki coś się nie zdarzy. Wyczuwałem ogromny dystans między mną a wszystkim, co prawdziwe. Oto ja, jestem na Vieques, wyspie tak mało znaczącej, że nawet o niej nie słyszałem, zanim nie kazano mi się tu pojawić – przywiózł mnie tu jeden świr i czekam, aż wywiezie mnie następny.

Zbliżał się maj. Wiedziałem, że w Nowym Jorku robi się ciepło, Londyn jest mokry, a Rzym gorący – a ja jestem na zawsze gorącej wyspie Vieques, gdzie Nowy Jork, Londyn i Rzym wydają się tylko nazwami na mapie.

Potem przypominałem sobie marines – w tym miesiącu nie ma manewrów – i powód mojego pobytu. Zimburgerowi potrzebna broszura... skierowana do inwestorów... masz pomóc sprzedać ten teren... nie spóźnij się, bo on...

Dostawałem dwadzieścia pięć dolarów dziennie, by zniszczyć jedyne miejsce, gdzie w ciągu ostatnich dziesięciu lat znalazłem spokoju. W pewnym sensie płacono mi za sikanie do własnego łóżka, a znalazłem się tu tylko dlatego, że się upiłem i zostałem aresztowany, przez co stałem się pionkiem w jakiejś gównianej kampanii ratowania twarzy na wysokim szczeblu.

Siedziałem długo i rozmyślałem o wielu rzeczach. Wśród nich na plan pierwszy wysuwało się podejrzenie, że moje dziwne i nieopanowane popędy mogą zwrócić się przeciwko mnie, zanim będę miał szansę się wzbogacić. Nieważne, jak bardzo chciałem tych wszystkich rzeczy, na które potrzebowałem pieniędzy, zawsze istniał jakiś diabelski prąd spychający mnie w przeciwnym kierunku – w stronę anarchii, nędzy i szaleństwa. To nieznośne urojenie, że człowiek może żyć godnie i nie wykorzystywać innych.

Wreszcie upiłem się i poszedłem spać. Rankiem obudził mnie Martin i po wspólnym śniadaniu w barze, wyruszyliśmy do St. Thomas. Dzień był jasny i niebieski, więc przeprawa była prosta. Zanim dopłynęliśmy do portu Charlotte Amalie, zdążyłem zapomnieć o Vieques, Zimburgerze i wszystkim innym.

Nadal byliśmy na otwartych wodach, kiedy usłyszałem hałas. Wyspa wyłoniła się niczym wyrastające z oceanu trawiaste wzgórze – płynęły z niej melodyjne dźwięki uderzeń w blaszane bębny, nieprzerwany ryk samochodów i pokrzykiwania. Wszystko stało się głośniejsze, gdy wpłynęliśmy do portu, a kiedy od miasta dzieliło nas nadal pół mili wody, usłyszałem pierwszą eksplozję. Po niej nastąpiło kilka kolejnych, jedna po drugiej. Docierały do mnie krzyki, dźwięk trąbki i miarowy rytm bębnow.

W porcie stało trzydzieści czy czterdzieści jachtów. Gdy znaleźliśmy się między nimi, Martin zwolnił i skierował łódź ku pustemu miejscu na pomoście. Chwyciłem torbę i wyskoczyłem z łodzi, mówiąc, że się spieszę – muszę się spotkać z pewnymi ludźmi. Martin przytaknął i odparł, że również się spieszy – musi płynąć do St. John, żeby zobaczyć się z kimś w sprawie łodzi.

Cieszyłem się, że mam go z głowy. Był jednym z tych ludzi, którzy w Nowym Jorku mogliby wydawać się „fascynujący”, ale tu, we własnym świecie był tylko tanim funkcjonariuszem, słabo znającym się na swoim fachu.

W miarę, jak zbliżałem się do centrum miasteczka, hałas stawał się ogłuszający. Ulica rozbrzmiewała rykiem silników, więc za-

cząłem przeciskać się do przodu, żeby zobaczyć, co to oznacza. Kiedy dotarłem do skrzyżowania, tłum był tak gęsty, że z ledwością mogłem się poruszać. Przez środek ulicy przebiegał bar, długi na ponad trzy przecznice – rząd drewnianych budek pełnych rumu i whiskey. W każdej z nich pracowało gorączkowo kilku barmanów, zaopatrując tłum w alkohol. Zatrzymałem się przed jedną z nich, gdzie napis głosił „Rum 25¢”. Drinki serwowano w papierowych kubekach, każdy składał się z grudki lodu i sporego łyka rumu.

Idąc dalej ulicą, dotarłem do środka tłumy. Przesuwałem się cal po calu, aż wreszcie znalazłem się na otwartej przestrzeni otoczonej tysiącami gapiów. Obserwowali wyścigi gokartów o maleńkich silniczkach przymocowanych do drewnianych podwozi, prowadzonych przez pijaków z obłędem w oczach, ślizgających się z piskiem opon po torze wyznaczonym w miejscu wyglądającym na główny plac miasta.

Z tak niewielkiej odległości hałas był nie do zniesienia. Ludzie popychali mnie we wszystkie strony, a rozlewający się drink plamił mi koszulę, ale nie mogłem nic zrobić. Otaczające mnie twarze na ogół były czarne, ale w tłumie widziałem też amerykańskich turystów, białych i spoconych, w większości w karnawałowych kapeluszach.

Po drugiej stronie placu stał ogromny budynek, którego balkon zdawał się dobrym miejscem do obserwacji wyścigu. Postanowiłem się tam udać. Droga nie była dłuższa niż sto jardów, jednak przecisnięcie się przez tłum zajęło mi ponad pół godziny. Kiedy wreszcie usiadłem na balkonie, byłem słaby i zlany potem.

Drinka już dawno wytrącono mi z ręki, więc poszedłem do baru po kolejnego. Za pięćdziesiąt centów dostałem kroplę rumu i mnóstwo wody – ale za to w szklance, z normalnymi kostkami lodu, co dawało pewność, że mogę wypić go w spokoju. Byłem w Grand Hotelu – starej, szarej budowli z białymi filarami, wiatrakami na sufitach i balkonem ciągnącym się wzdłuż całej ulicy.

Zastanawiałem się, w jaki sposób mam zlokalizować Yeamona. Umówiliśmy się na spotkanie w południe pod pocztą, ale byłem już ponad godzinę spóźniony, a poczta była zamknięta. Widziałem ją z balkonu, więc postanowiłem tam pozostać, dopóki nie zauważę Yeamona, a później spróbować zwrócić na siebie jego uwagę. Tymczasem mogłem pić, odpoczywać i zastanawiać się nad znaczeniem tej sytuacji.

Wyścig zdążył się już skończyć, a ludzie zwrócili się ku muzykom w poszukiwaniu rozrywki. Pojawił się kolejny zespół, a potem następne w różnych miejscach placu – za każdym podążał sznur tancerzy. Cztery grupy grające tę samą szaloną melodię na blaszanych bębnach spotkały się w środku placu. Brzmienie było niewiarygodne; ludzie tańczyli, tupali i wrzeszczeli. Gdzieś tam widać było turystów próbujących się stąd wydostać, jednak większość z nich została uniesiona dalej przez tłum. Zespoły ruszyły razem w dalszą drogę wzdłuż głównej ulicy. Tłum idący za nimi złapał się za ramiona, po trzydziestu w szeregu, całkowicie blokując ulicę i oba chodniki – ze śpiewem na całe gardło, szarpiąc się i chwiejnie posuwając do przodu.

Siedziałem dłuższą chwilę, kiedy podszedł do mnie mężczyzna i oparł się o barierkę przede mną. Kiwnąłem mu głową na powitanie. Odpowiedział uśmiechem.

– Nazywam się Ford – rzekł, wyciągając rękę. – Mieszkam tu. Przyjechałeś na karnawał?

– Chyba tak – odparłem.

Ponownie wyrzwał przez barierkę i potrząsnął głową.

– Brutalna rzecz – powiedział z powagą. – Uważaj, nigdy nie wiadomo, co może się stać.

Pokiwałem głową.

– Przy okazji, może znasz jakieś inne hotele w tym mieście? Barman mówi, że ten jest już pełen.

Roześmiał się.

– Nie, na całej wyspie nie ma ani jednego wolnego pokoju.

– Cholera – rzekłem.

– Nie ma się czym przejmować – odparł. – Śpij na plaży. Wielu ludzi tak robi... warunki są lepsze niż w większości hoteli.

– Ale gdzie? – spytałem. – Znajdę coś niedaleko miasta?

– Jasne – odparł. – Ale będzie na nich dużo ludzi. Najlepiej spróbować na plaży Lindbergh, niedaleko lotniska. Tam jest najprzyjemniej.

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż, pewnie na tym się skończy.

Uśmiechnął się.

– Powodzenia. – Sięgnął do kieszeni koszuli. – Zapraszam na obiad, jeśli masz czas. Nie jest drogo, tylko tak brzmi. – Roześmiał się i pomachał ręką na do widzenia.

Spojrzałem na wizytówkę – pod reklamą hotelu Zamek Piracki widniało nazwisko Owen Ford, właściciel.

– Dzięki – mruknąłem, wyrzucając podarunek przez barierkę. Kusiło mnie, żeby tam pójść, zjeść wielki obiad, a potem podać mu wizytówkę z tekstem: Światowy Kongres Niepłacących Dziennikarzy – Paul Kemp, właściciel.

Poczułem klepięcie w ramię. To Yeamon – z obłądem w oczach niosący dwie butelki rumu.

– Wiedziałem, że tu cię znajdę – powiedział, szczerząc zęby.

– Cały dzień szukaliśmy cię przy poczcie, aż nagle uświadomiłem sobie, że profesjonalny dziennikarz udałby się w najwyższe i najbezpieczniejsze miejsce w mieście. – Opadł na wiklinowy fotel. – Gdzieżby indziej niż na balkon Grand Hotelu?

Skinąłem głową.

– Ładnie tu, ale nie rozsiadaj się. Jak wszędzie, wszystkie miejsca wyprzedane. – Potem się rozejrzałem. – Gdzie Chenault?

– Zostawiłem ją w sklepie z upominkami na dole – powiedział. – Przyjdzie do nas za chwilę. Dostaniemy tu lód?

– Chyba tak – powiedziałem. – Drinki w każdym razie mają.

– Na Boga – odparł. – Nie kupuj tu rumu. Znalazłem miejsce, gdzie sprzedają go po siedemdziesiąt pięć centów za galon. Tak naprawdę potrzeba nam tylko lodu.

– Niech będzie – powiedziałem. – Idź spytaj o lód.

Gdy ruszył do baru, pojawiła się Chenault.

– Tutaj! – zawołał i Chenault podeszła do barierki. Yeamon poszedł do baru, a ona usiadła.

Opadła na fotel i jęknęła.

– Mój Boże! – powiedziała. – Przetańczyliśmy cały dzień. Ledwo żyję.

Wyglądała na szczęśliwą. Poza tym nigdy nie widziałem, żeby wyglądała tak ładnie. Miała na sobie sandały, spódniczkę z madrasu i białą bluzkę bez rękawów, jednak prawdziwa różnica tkwiła w jej twarzy – teraz czerwonej, zdrowej i mokrej od potu. Jej włosy opadały swobodnie na ramiona, a oczy błyszczały z podniecenia. Było w niej coś wyjątkowo erotycznego. Wydawało się, że to ciało, wciąż smakowicie zapakowane w płótno i biały jedwab, lada chwila eksploduje od nadmiaru energii.

Yeamon wrócił z trzema szklankami lodu, przeklinając kelnera, który zażądał trzydziestu centów za każdą. Postawił je na podłodze i napełnił rumem.

– Sukinsyny – mruknął. – Dorobią się na sprzedawaniu lodu... Zobaczcie, jak to cholerstwo się topi.

Chenault roześmiała się i klepnęła go figlarnie w plecy.

– Przestań narzekać, głuptasie – powiedziała. – Zepsujesz całą zabawę.

– Brednie – odparł.

Chenault uśmiechnęła się i pociągnęła łyk ze szklanki.

– Gdybyś nie był taki spięty, bawiłbyś się dobrze.

Skończył nalewać drinki i wstał.

– Nie wciskaj mi kitu – powiedział. – Nie potrzeba mi tłumy, żeby dobrze się bawić.

Wydawało się, że nie usłyszała.

– Szkoda – rzekła. – Fritz po prostu nie potrafi dobrze się bawić, bo nie umie się rozluźnić. – Spojrzała na mnie. – Zgadzasz się?

– Nie wciągaj mnie w to. Przyjechałem tu pić.

Zachichotała i podniosła szklankę.

– Tak jest – powiedziała. – Przyjechaliśmy się napić... bawić się dobrze i być sobą!

Yeamon zmarszczył brwi i odwrócił się do nas plecami, oparł się o barierkę i patrzył w dół na plac, który teraz był prawie pusty i tylko z daleka słychać było bębny i wycie tłumu.

Chenault dopiła drinka i wstała.

– Chodźcie – powiedziała. – Mam ochotę potańczyć.

Yeamon potrząsnął głową ze znużeniem.

– Nie wiem, czy jeszcze wytrzymam.

Zaczęła go ciągnąć za ramię.

– Chodź, dobrze ci to zrobi. Ty też, Paul. – Wyciągnęła drugą rękę i szarpnęła mnie za koszulę.

– Czemu nie? Mogę spróbować.

Yeamon wyprostował się i sięgnął po szklanki.

– Moment – powiedział. – Bez rumu znowu się z tym nie zmierzę. Przyniosę więcej lodu.

Czekaliśmy na niego na szczycie schodów prowadzących na ulicę. Chenault spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem.

– Będziemy musieli spać na plaży – powiedziała. – Fritz już ci mówił?

– Nie – odparłem. – Ale i tak się dowiedziałem. Znam jedną, która ma niezłe notowania.

Złapała mnie za ramię i mocno ścisnęła.

– To dobrze. Bo ja chcę spać na plaży.

Przytaknąłem, widząc, że Yeamon nadchodzi z drinkami. Chenault podobała mi się w tym lekko oszalałym stanie, ale robiłem się nerwowy. Przypomniałem sobie ostatni raz, gdy widziałem ją po alkoholu, a myśl, że coś podobnego mogłoby się powtórzyć, zwłaszcza w takim miejscu, nie była radosną perspektywą.

Zeszliśmy po schodach i przechadziliśmy się po ulicach, popijając drinki. Później dogoniliśmy tłum. Chenault złapała za biodra kogoś w ostatnim rzędzie tancerzy, a Yeamon dołączył za nią. Wcisnąłem butelkę do kieszeni spodni i przyłączyłem się do nich. Po chwili zostaliśmy szczelnie zamknięci przez ko-

lejnycy ludzi za nami. Poczulem ręce na biodrach i przeraźliwy głos krzyczący:

- Dostyć! Dostyć!

Spojrzałem przez ramię i ujrzałem białego mężczyznę, który wyglądał na sprzedawcę używanych samochodów. Nagle tłum gwałtownie ruszył w lewo i zobaczyłem, że mężczyzna potyka się i pada. Tancerze stratowali go, nie gubiąc rytmu.

Zespoły krążyły po mieście, a tłum stawał się coraz większy. Spływałem potem i prawie padałem ze zmęczenia tańcem, ale nie było możliwości wyjścia. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem Yeamona uśmiechającego się ponuro podczas wykonywania tego rwącego, tanecznego kroku, który nas unosił. Chenault śmiała się wesoło i kołysała biodrami w równym rytmie bębnow.

Wreszcie moje nogi zagroziły, że dłużej już nie wytrzymają. Próbowałem zwrócić na siebie uwagę Yeamona, ale hałas był ogłuszający. Desperacko rzuciłem się przez łańcuch tancerzy, wybijając ludzi z równowagi, i złapałem go za ramię.

- Wychodzimy! - wrzasnąłem. - Dłużej nie wytrzymam.

Kiwnął głową i wskazał na boczną uliczkę, kilkaset jardów dalej. Potem złapał Chenault za ramię i zaczął posuwać się ku bocznym liniom. Pokrzykiwałem nieprzytomnie, kiedy przebijaliśmy się przez tłum.

Kiedy udało nam się wydostać, poczekaliśmy, żeby ludzie przeszli obok nas, a potem ruszyliśmy w kierunku restauracji, którą Yeamon zauważył wcześniej tego dnia.

- Przynajmniej wyglądała na przyzwoitą - powiedział. - Oby tylko była tania.

Restauracja nazywała się U Olivera. Była to prowizoryczna, kryta strzechą nadbudówka na szczycie betonowego budynku o oknach zabitych deskami. Z trudem wdrapaliśmy się po schodach i znaleźliśmy wolny stolik. Ludzi było tak dużo, że musiałem przepychać się do baru. Singapore Slings kosztowały pięćdziesiąt centów, ale warto było tyle zapłacić, by tu wejść.

Siedząc przy naszym stoliku, dokładnie widzieliśmy nabrzeże, ciasno napakowane bardzo różnymi łódkami - eleganckimi wy-

cieczkowcami i chuderlawymi, pełnymi bananów słupami miejscowych, przycumowanymi przy smukłych kadłubach wyścigowych jachtów z Newport i Bermudów. Poza bojami kanału stało kilka dużych jachtów motorowych, o których mówiono, że są pływającymi kasynami. Słońce powoli zachodziło za wzgórzem po drugiej stronie portu, a w budynkach przy nabrzeżu zaczęły migotać światła. Gdzieś po drugiej stronie miasta nadal słyszeliśmy szalony rytm tańca przemierzającego się po ulicach.

Pojawił się kelner w żeglarskiej czapce Old Spice'a. Wszyscy zamówiliśmy półmiski owoców morza.

– I trzy szklanki lodu – dodał Yeamon. – Jak najszybciej, jeśli można.

Kelner kiwnął głową i zniknął. Po dziesięciominutowym oczekiwaniu Yeamon poszedł do baru i przyniósł trzy szklanki lodu. Nalaliśmy sobie drinki pod stołem i postawiliśmy butelkę na podłodze.

– Potrzeba nam galonowego naczynia – rzekł Yeamon. – I jakieś plecaka na lód.

– A na co nam to naczynie? – zapytałem.

– Na ten rum za siedemdziesiąt pięć centów – odparł.

– Do diabła z nim, pewnie jest niewiele wart. – Wskazałem głową butelkę na podłodze. – Ten jest wystarczająco tani. Nie pobijesz dobrego rumu po dolarze za butelkę.

Potrząsnął głową.

– Nie ma nic gorszego niż podróżowanie z bogatym dziennikarzem... rozrzuca dolary, jakby siał fasolę.

Roześmiałem się.

– Nie tylko ja pracuję teraz dla Sandersona – powiedziałem. – Wielkie pieniądze czekają tuż za rogiem, nie trać wiary.

– Nie dla mnie – odparł. – Mam napisać artykuł o tym karawale, dowiedzieć się co nieco w biurze obsługi turystów i takie tam. – Wzruszył ramionami. – Nie ma mowy. Nie potrafię węszyć w poszukiwaniu informacji, kiedy wszyscy są pijani.

– Nikt nie jest pijany – rzekła Chenault. – Po prostu próbujemy się być sobą.

Uśmiechnął się leniwie.

– Właśnie tak, wierzgamy na lewo i prawo, robimy niezłą zadymę. Może byś napisała ładną, sztywną notkę dla absolwentów Smith College i wytłumaczyła im, jaki statek przegapili?

Roześmiała się.

– Fritz zazdrości mi pochodzenia. Mam o wiele więcej rzeczy, przeciw którym mogę się buntować.

– Brednie – rzekł Yeamon. – Nie masz powodu, by się buntować.

Zjawił się kelner z jedzeniem i przerwaliśmy rozmowę. Zanim skończyliśmy jeść, zdążyło się już zrobić ciemno i Chénault miała ochotę jak najszybciej wrócić na ulice. Mnie się nie spieszyło. Teraz, gdy klienci się przerzedzili, restauracja była spokojna, a jednocześnie pozostawaliśmy wystarczająco blisko karnawałowego chaosu, by włączyć się w niego, gdy tylko przyjdzie nam na to ochota.

Wreszcie zaciągnęła nas na ulicę, ale taniec zdążył już się zakończyć. Przeszliśmy się po mieście, kupując w monopolowym jeszcze dwie butelki rumu, a później wróciliśmy do Grand Hotelu, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Na jednym końcu balkonu odbywało się przyjęcie. Jego uczestnicy nie wyglądali na turystów – raczej na wygnańców, mieszkających na tej wyspie lub przynajmniej gdzieś na Karaibach. Wszyscy byli bardzo opaleni. Nieliczni nosili brody, lecz większość była świeżo ogolona. Brodaci mieli na sobie szorty i stare koszulki polo – standardowy zestaw żeglarski. Pozostali ubrani byli w lniane marynarki i skórzane buty, pobłyskujące w przyćmionym świetle balkonowych żyrandoli.

Nie pytając nikogo o pozwolenie, usiedliśmy przy jednym ze stolików. Zdążyłem już się nieco upić i niewiele mnie obchodziło, czy ktoś nas stąd wyrzuci, czy nie. Przyjęcie skończyło się akurat kilka minut po naszym przyjściu. Nikt nie powiedział do nas ani słowa i poczułem się trochę niemądrze, gdy zostawiono nas na balkonie samych. Posiedzieliśmy jeszcze chwilę i wróciliśmy na ulicę. Parę przecznic dalej słyszeliśmy zespół

przygotowujący się do gry. Wkrótce ulice ponownie wypełniły się ludźmi, trzymającymi się za ręce i tańczącymi w dziwnym rytmie, którego nauczyliśmy się już wcześniej.

Dogadzaliśmy Chenault przez kilka godzin w nadziei, że tańiec ją znudzi, jednak skończyło się na tym, że Yeamon musiał siłą wyciągnąć ją z tłumu. Dąsała się do momentu, kiedy znaleźliśmy się w klubie pełnym pijanych Amerykanów. Pogrywała kapela i parkiet był pełen tancerzy. Wtedy byłem już pijany. Osunąłem się na krzesło i patrzyłem, jak Yeamon i Chenault próbują tańczyć. Podszedł do mnie bramkarz i powiedział, że należy się piętnaście dolarów za wstęp. Zapłaciłem mu, nie mając ochoty na kłótnie.

Yeamon wrócił do stolika sam. Zostawił Chenault tańczącą z Amerykaninem wyglądającym na nazistę.

– Ty pieprzony rzeźniku! – krzyknąłem, wygrażając mu pięścią. Nie widział mnie jednak, a zespół grał zbyt głośno, by mógł mnie usłyszeć. Wreszcie Chenault zostawiła go i wróciła do stolika.

Yeamon poprowadził mnie przez tłum. Ludzie dookoła krzyczeli i próbowali mnie łapać, a ja nie wiedziałem, dokąd mnie zabiera. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, położyłem się w jakiejś bramie, a Yeamon i Chenault kłócili się o to, co dalej robić.

Yeamon chciał pojechać na plażę, ale Chenault miała ochotę dalej tańczyć.

– Nie rozkazuj mi, cholerny purytaninie! – krzyczała. – Dobrze się bawię, a ty wciąż stroisz fochy!

Powalił ją szybkim uderzeniem w głowę. Słyszałem jej jęki gdzieś przy moich stopach, gdy on krzyczał, by wezwać taksówkę. Pomogłem mu wnieść ją na tylne siedzenie i wytłumaczyliśmy kierowcy, że chcemy jechać na plażę Lindbergh. Uśmiechnął się niezwykle szeroko i ruszył. Miałem ochotę pochylić się na siedzeniu i mu przywalić. Myśli pewnie, że chcemy ją zgwałcić. Myśli, że porwaliśmy ją z ulicy i teraz zabieramy na plażę, żeby wyruchać ją jak psy. I tego sukinsyna to śmieszyło. Pozbawiony zasad degenerat.

Plażę Lindbergh dzieliła od lotniska droga. Otaczał ją wysoki płot z drutu kolczastego, ale kierowca zabrał nas w miejsce, gdzie mogliśmy przejść na drugą stronę po drzewie. Chenault nie miała ochoty nawet próbować, więc wciągnęliśmy ją na górę i pozwoliliśmy upaść na piasek. Potem znaleźliśmy dobre miejsce, częściowo otoczone drzewami. Noc była bezksiężycowa, ale słyszałem szum fal kilka jardów przed nami. Zrobiłem sobie poduszkę z mojego brudnego, sztruksowego płaszczka i natychmiast zasnąłem.

Następnego ranka zbudziło mnie słońce. Usiadłem i jęknąłem. Rzeczy miałem pełne piasku. Po mojej lewej stronie, dziesięć stóp dalej, na swoich ubraniach spali Yeamon i Chenault. Oboje nadzy, a jej ręka była przerzucona przez jego plecy. Gapiłem się, myśląc, że nikt nie mógłby mnie winić, gdybym straciwszy rozum, rzucił się na nią, obezwładniony wcześniej Yeamonem uderzeniem w tył czaszki.

Rozważałem przykrycie ich jej płaszczem, ale obawiałem się, że mogliby się zbudzić w chwili, kiedy się nad nimi pochylam. Nie chciałem, by tak się stało, więc postanowiłem iść popływać i zbudzić ich krzykami z wody.

Rozebrałem się i spróbowałem wytrząsnąć piasek, po czym nagi wsunąłem się do zatoki. Woda była zimna, a ja turlałem się w niej jak morświn, próbując się umyć. Potem podpłynąłem do drewnianej tratwy, dryfującej sto jardów w głąb morza. Yeamon i Chenault nadal spali. Po drugiej stronie plaży stał długi, biały budynek, wyglądający na salę taneczną. Na brzeg niedaleko niego wyciągnięto canoe z pływakiem, a pod drzewami dostrzegłem krzesła i stoliki z trzciniowymi parasolami. Było około dziewiętej, ale nigdzie nie widziałem żywej duszy. Długo leżałem na tratwie, próbując nie myśleć.

Chenault zbudziła się z krzykiem, natychmiast narzuciła na siebie płaszcz i zaczęła rozglądać się po plaży.

– Tutaj – zawołałem. – Chodźcie do wody!

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, trzymając płaszcz między nami jak zasłonę. Chwilę później obudził się Yeamon. Wyglądał na zdziwionego i złego na cokolwiek, co przerwało jego sen.

– Chodźcie! – wołałem. – Czas na poranną kąpiel.

Wstał i zaczął powoli schodzić w kierunku wody. Chenault zawołała za nim, machając jego szortami.

– Wracaj! – powiedziała surowo. – I załóż coś na siebie!

Czekałem na nich na tratwie. Pierwszy zbliżył się Yeamon, rzucając się w wodzie jak krokodyl. Później zobaczyłem, jak w naszą stronę płynie Chenault, w majtkach i staniku. Zacząłem się czuć nieswojo. Poczekalem, aż dotrze do tratwy, i zsunąłem się do wody.

– Jestem cholernie głodny – powiedziałem, pływając w miejscu. – Przejdę się na lotnisko zjeść jakieś śniadanie.

Gdy dotarłem na plażę, zacząłem szukać swojej torby. Pamiętałem, że zeszłej nocy zostawiłem ją na drzewie, ale zapomniałem, na którym. Wreszcie ją znalazłem – leżała wciśnięta w rozgałęzienie pnia zaraz nad miejscem, gdzie spałem. Nałożyłem czyste spodnie i pogniecioną, jedwabną koszulę.

Zanim odszedłem, rzuciłem jeszcze okiem ku tratwie i zobaczyłem, jak Yeamon skacze nago do wody. Chenault roześmiała się, zerwała z siebie stanik i majtki, po czym wskoczyła tuż przy nim. Patrzyłem przez chwilę, później przerzuciłem torbę przez płot i wspiąłem się za nią na drugą stronę.

Szedłem drogą równoległą do pasa startowego i po przejściu jakiejś pół mili dotarłem do głównego hangaru – wielkiego, tętniącego życiem baraku pokrytego dachem z falistej blachy. Samoloty lądowały co kilka minut. W większości były to małe cessny i pipery, ale co jakieś dziesięć minut trafiał się DC-3, ze świeżą dostawą hulaków z San Juan na pokładzie.

Ogoliłem się w toalecie, po czym przepchnąłem się przez tłum do restauracji. Ludzie, którzy właśnie wysiedli z samolotów, odbierali swoje darmowe drinki, a w jednym z rogów hangaru stała grupa pijanych Portorykańczyków, wygrywając na swoim bagażu rytm pieśni, której nie mogłem zrozumieć. Brzmiała trochę jak doping futbolowy: „Busha boomba, balla wa! Busha boomba, balla wa!”. Podejrzywałem, że nie uda im się dotrzeć do miasta.

Kupiłem „Miami Herald” i zjadłem duże śniadanie złożone z naleśników i bekonu. Yeamon zjawił się jakąś godzinę później.

– Chryste, ale jestem głodny – powiedział. – Potrzeba mi ogromnego śniadania.

– Czy Chenault nadal jest z nami? – spytałem.

Przytaknął.

– Jest na dole, goli nogi.

Dochodziło już południe, gdy wsiedliśmy do autobusu jadącego do miasta. Wysadził nas przy publicznym targowisku i ruszyliśmy w stronę Grand Hotelu. Zatrzymaliśmy się co pewien czas, by spojrzeć na te nieliczne wystawy sklepowe, których nie zabito deskami.

Zbliżając się do centrum, słyszeliśmy narastający hałas. Tym razem jednak brzmiał on inaczej – nie były to szczęśliwe okrzyki tańczących ani melodyjne uderzenia w bębny, a dzikie krzyki

niewielkiej grupki ludzi. Brzmiały jak wojna gangów, przerywana gardłowymi krzykami i odgłosami rozbijanego szkła.

Pobiegliśmy w tamtym kierunku, skręcając w boczną uliczkę prowadzącą do dzielnicy sklepowej. Gdy wyrzeliśmy zza rogu, zobaczyłem rozszalały tłum, tłoczący się na ulicy i blokujący oba chodniki. Zwolniliśmy i zbliżyliśmy się ostrożnie.

Około dwustu ludzi włamało się do jednego z największych sklepów z alkoholem. Większość stanowili Portorykańczycy. Skrzynki szampana i szkockiej leżały porozbijane na ulicy, a wszyscy wokół trzymali przynajmniej po jednej butelce. Krzyczeli i tańczyli, a pośrodku tłumu wielki Szwed w niebieskim suspensorium głośno grał na trąbce.

Na naszych oczach tłusta Amerykanka uniosła nad głowę dwie wielkie butle szampana i rozbiła je o siebie, śmiejąc się dziko, podczas gdy deszcz szkła i alkoholu spływał na jej nagie ramiona. Oddział pijaczków grał puszkami po piwie na pustych skrzynkach po szkockiej jak na perkusji. Śpiewali tę samą pieśń, którą wcześniej słyszałem na lotnisku: „Busha boomba, balla wa! Busha boomba, balla wa!”. Ulica roiła się od tańczących ludzi, którzy podrygiwali i pokrzykiwali w rytm pieśni.

Ze sklepu z alkoholem pozostała tylko skorupa – ogołoczone pomieszczenie z rozbitymi przednimi oknami. Ludzie wciąż po nim biegali, chwytając poniewierające się jeszcze tu i ówdzie butelki i próbując wypić możliwie najwięcej, zanim ktoś inny im je wyrwie. Puste butelki rzucono po prostu na ulicę, tworząc z nich morze rozbitego szkła, utkane tysiącami puszek po piwie.

Trzymaliśmy się z boku całego zamieszania. Kusiło mnie, by wziąć sobie trochę kradzionego alkoholu, ale bałem się policji. Yeamon spokojnie wszedł do sklepu i kilka sekund później wyłonił się z wielką butelką szampana. Uśmiechnął się z zażenowaniem i w milczeniu schował ją do torby. Wreszcie pożądanie alkoholu pokonało mój strach przed więzieniem i rzuciłem się ku skrzynce szkockiej leżącej w rynsztoku niedaleko sklepu. Była pusta, rozejrzałem się więc w poszukiwaniu innych. Pośród lasu tańczących nóg zauważyłem kilka całych jeszcze butelek whi-

skey. Popędziłem w ich kierunku, odpychając stojących mi na drodze ludzi. Hałas był ogłuszający i w każdej chwili spodziewałem się ciosu butelką w głowę. Udało mi się uratować trzy ćwiartki Old Crow – tyle tylko pozostało ze skrzynki. Reszta butelek została rozbita, a gorąca whiskey sączyła się na ulicę. Ścisnąłem w rękach mój łup i ponownie wbiłem się w tłum, szukając miejsca, gdzie zostawiłem Yeamona i Chenault.

Szybko weszliśmy w boczną uliczkę, mijając niebieskiego jeepa z napisem „Poleece”. W środku, na wpół śpiąc, siedział żandarm w korkowym hełmie, leniwie drapiąc się w krocze.

Zatrzymaliśmy się w restauracji, w której jedliśmy dzień wcześniej. Schowałem whiskey do torby i zamówiłem trzy drinki, przy których rozważaliśmy kolejne posunięcia. Według programu, za kilka godzin na stadionie miało się odbyć jakieś widowisko. Brzmiało to dość niegroźnie, ale z drugiej strony, program nie przewidywał niczego na tę godzinę, kiedy obrabowano sklep z alkoholem. Działo się to w ramach „czasu na odpoczynek”. Kolejny „czas na odpoczynek” przewidziano między imprezą na stadionie a „Paradą dla wszystkich”, oficjalnie zaplanowaną dokładnie na ósmą wieczorem.

Było w tym coś złowieszczonego. Wszystkie pozostałe „parady” miały podane pory rozpoczęcia i zakończenia. Czwartkowa parada „Ptaszków i pszczołek” rozpoczynała się o ósmej, a kończyła o dziesiątej. Parada „Łatwopalna”, czyli ta, na którą trafiliśmy poprzedniego wieczora, trwała od ósmej do północy. Ale program informował tylko, że „Parada dla wszystkich” rozpocznie się o ósmej, a w tej samej linii, w nawiasie, widniała informacja „kulminacja karnawału”.

– Dzisiaj sprawy mogą się wymknąć spod kontroli – powiedziałem, rzucając program na stół. – Przynajmniej taką mam nadzieję.

Chenault roześmiała się i puściła do mnie oko.

– Musimy upić Fritza, żeby lepiej się bawił.

– Brednie – mruknął Yeamon, nie podnosząc oczu znad programu. – Jak dziś znowu tyle wypijesz, zostawię cię na ulicy.

Roześmiała się raz jeszcze.

– Nie próbuj mi wmawiać, że byłam pijana. Pamiętam, kto mnie uderzył.

Wzruszył ramionami.

– To zdrowe, oczyści ci głowę.

– Nie ma sensu się o to kłócić – powiedziałem. – I tak wszyscy musimy się upić. Spójrzcie na tę whiskey. – Poklepałem moją torbę.

– I na to – rzekła Chenault, wskazując na butlę szampana pod krzesłem Yeamon.

– Chryste, ratuj nas – mruknął Yeamon.

Dopiliśmy drinki i poszliśmy do Grand Hotelu. Z balkonu widzieliśmy ludzi idących w kierunku stadionu.

Yeamon chciał odwiedzić port jachtowy i znaleźć statek, który niedługo płynąłby do Ameryki Południowej. Nie miałem szczególnej ochoty dołączać do tłumu na stadionie i pamiętałem, że według Sandersona większość dobrych imprez odbywa się na łodziach, więc postanowiłem wybrać się z nimi.

Droga była długa, a słońce grzało niemiłosiernie, więc bardzo szybko zacząłem żałować, że nie zaproponowałem, że zapłacę za taksówkę. Pociłem się okrutnie, a moja torba zdawała się ważyć czterdzieści funtów. Wejście do portu stanowił wysadzony palmami podjazd prowadzący do basenu, a za basenem schodziło się w dół ku przystani. Cumowało w niej ponad sto łodzi, od niewielkich, portowych słupów po ogromne szkunery, a ich nagie maszty kołysały się leniwie na tle zielonych wzgórz i niebieskiego karaibskiego nieba. Zatrzymałem się przy pomocy i spojrzałem w dół na czterdziestostopowy, regatowy słup. Moją pierwszą myślą było: muszę taki mieć. Miał ciemnoniebieski kadłub i lśniący pokład z drewna tekowego. Nie zdziwiłbym się, gdybym na dziobie ujrzał napis: „Na sprzedaż – za jedną duszę, nie mniej”.

Pokiwałem głową w zamyśleniu. Cholera, właścicielem samochodu i mieszkania może być każdy, ale taka łódź – to dopiero coś. Chciałem ją mieć, a zważywszy na to, jak wysoko ce-

niłem wtedy swoją duszę, zrobiłbym świetny interes, gdyby ten napis rzeczywiście widniał na dziobie.

Całe popołudnie spędziliśmy w porcie jachtowym, desperacko przeszukując doki w nadziei znalezienia wypływającego statku, na który Yeamon i Chenault mogliby się zaciągnąć bez zbędnych pytań. Pewien człowiek zaproponował, że za jakiś tydzień zabierze ich do Antigui, inny płynął na Bermudy, wreszcie znaleźliśmy wielkiego jola, który płynął do Los Angeles przez Kanał Panamski.

– Świetnie – powiedział Yeamon. – Ile byśmy musieli panu zapłacić, żeby tam popłynąć?

– Nic – odparł właściciel jola, mały mężczyzna o niewzruszonym wyrazie twarzy, w białych kąpielówkach i wyciągniętej koszuli. – Nie zabiorę was.

Yeamon wyglądał na zaszokowanego.

– Płacę mojej załodze – powiedział mężczyzna. – A poza tym mam żonę i troje dzieci... dla was nie ma miejsca. – Wzruszył ramionami i odszedł.

W większości żeglarze byli uprzejmi, ale trafiło się kilku otwarcie niegrzecznych. Jeden kapitan – czy może pierwszy oficer – roześmiał się Yeamonowi w twarz i rzekł:

– Wybacz, stary. Ścierwa na mój statek nie biorę.

Daleko na końcu pomostu zauważyliśmy lśniący, biały kadłub z francuską flagą, kołyszący się nieśpiesznie w głębokiej wodzie.

– To najwspanialsza jednostka w porcie – powiedział człowiek stojący niedaleko. – Wielka łódź motorowa, siedemdziesiąt pięć stóp długości, osiemnaście węzłów, kopuła radarowa, elektryczne wciągarki i wielkie łóżko.

Poszliśmy dalej i dotarliśmy do łodzi zwanej Blue Peter, gdzie mężczyzna, który później przedstawił się jako Willis, zaprosił nas na drinka. Po pewnym czasie Yeamon poszedł sprawdzić inne łodzie, a Chenault i ja zostaliśmy i piliśmy dalej. Kilkakrotnie zauważyłem, że Willis gapi się na Chenault, a kiedy

wspomniałem, że śpimy na plaży, powiedział, że możemy zostawić nasze torby na łodzi, zamiast taszczyć je ze sobą.

– Wybaczcie, że nie zaproponuję wam koi, ale mam tylko dwie – uśmiechnął się szeroko. – Oczywiście jedna z nich jest podwójna, ale miejsca i tak nie wystarczy dla wszystkich.

– Jasne – odparłem.

Zostawiliśmy tam nasze torby i zanim ruszyliśmy do miasta, wszyscy byliśmy już pijani. Willis zawiózł nas taksówką do Grand Hotelu i powiedział, że pewnie zobaczymy się później w jednym z barów.

Jakiś czas po północy znaleźliśmy się przed Blue Grotto, załoczoną salą taneczną niedaleko przystani, z opłatą za wstęp wynoszącą dwa dolary. Próbowałem zapłacić, ale ludzie dookoła zaczęli się śmiać, a jakaś przysadzista baba złapała mnie za ramię.

– O, nie – powiedziała. – Wy chodźcie z nami. Pójdziemy na prawdziwe przyjęcie.

Rozpoznałem naszych znajomych z ulicznego tańca. Duży facet klepał Yeamona po plecach, bełkocząc coś o walce na bicze i kilku brązowych ze skrzynką ginu.

– Znam tych ludzi – powiedziała Chenault. – Chodźmy z nimi.

Pobiegliśmy ulicą do miejsca, gdzie stał ich samochód – oprócz nas stłoczyło się w nim jeszcze sześć osób. Na końcu głównej ulicy skręciliśmy w stronę wzgórz otaczających miasto, wspinając się i skręcając po ciemnej dróżce prowadzącej najwyraźniej przez dzielnicę mieszkalną. U stóp wzgórza stały drewniane domy z łuszczącą się farbą, ale im wyżej wjeżdżaliśmy, tym więcej pojawiało się budynków zbudowanych z betonowych płyt. Pod koniec stały się niemal wyszukane, z werandami z siatki i trawnikami.

Zatrzymaliśmy się przed domem pełnym świateł i muzyki. Wszędzie stało pełno samochodów i nie było gdzie zaparkować.

Kierowca wysadził wszystkich i powiedział, że dołączy do nas, kiedy znajdzie miejsce. Przysadzista dziewczyna wydała głośny okrzyk i pobiegła ku schodom prowadzącym do frontowych drzwi. Z wahaniem podążyłem za nią i zobaczyłem, jak rozmawia z grubą kobietą w jasnozielonej sukience. Później wskazała na mnie. Yeamon z Chenault i pozostałymi dogonili nas, gdy dotarłem do drzwi.

– Poproszę sześć dolarów – powiedziała kobieta, wyciągając rękę.

– Chryste – powiedziałem. – Za ile to osób?

– Dwie – odparła. – Pan i tamta młoda pani. – Ruchem głowy wskazała dziewczynę, która siedziała mi na kolanach w drodze z miasta.

Zakląłem pod nosem i dałem jej sześć dolarów. Dziewczyna, za którą zapłaciłem, odwdzięczyła mi się wstydliwym uśmiechem i wzięła mnie za rękę, gdy wchodziliśmy do środka. Mój Boże, pomyślałem, ta świnka ma na mnie chrapkę.

Yeamon szedł zaraz za nami, narzekając na sześci dolarową opłatę.

– Oby impreza była dobra – mówił do Chenault. – Swoją drogą powinnaś pomyśleć o jakiejś pracy, kiedy wrócimy do San Juan.

Roześmiała się, a jej radość nie miała nic wspólnego z uwagą Yeamona. Spojrzałem na nią i zauważyłem błysk podniecenia w jej oczach. Kąpiel w porcie nieco mnie otrzeźwiła, Yeamon też trzymał się niezłe, ale Chenault wyglądała na alkoholika gotowego pójść na całość.

Przeszliśmy ciemnym korytarzem do pokoju pełnego muzyki i hałasu. Był zapchany po brzegi, a w kącie grał zespół. Nie było blaszanych bębnow, których się spodziewałem, ale trzej trębacz i perkusista. Brzmienie wydawało się znajome, ale nie mogłem go uchwycić. Potem, gdy spojrzałem na sufit, na żarówki powleczone niebieską żelatynową substancją, rozpoznałem je wreszcie. To była muzyka z licealnej imprezy w jakimś wynajętym klubie na Środkowym Zachodzie. Nie chodziło zresztą tyl-

ko o muzykę; zatłoczony, niski pokój, prowizoryczny bar, drzwi prowadzące na taras z cegieł, ludzie chichoczący, pokrzykujący i pijący wodę z papierowych kubków – wszystko wyglądało tak samo, tyle że w tym pokoju wszystkie twarze były czarne.

Zauważywszy to, poczułem się nieswojo i zacząłem się rozglądać za ciemnym kątem, w którym mógłbym pić w samotności, nie rzucając się w oczy. Moja dziewczyna nadal trzymała mnie za ramię, ale pozbyłem się jej i poszedłem w upatrzonym kierunku. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, gdy ostrożnie przedzierałem się przez tłum, tu i ówdzie wpadając na tancerzy, trzymając głowę nisko i przemieszczając się ostrożnie na miejsce, które wydawało się wolne.

Po lewej stronie, kilka stóp ode mnie, były drzwi – skręciłem ku nim, wpadając na kolejnych tańczących. Gdy wreszcie wydostałem się na zewnątrz, czułem się tak, jakbym uciekł z więzienia. Powietrze było zimne, a taras prawie pusty. Podszedłem do jego krawędzi i spojrzałem w dół na Charlotte Amalie u podnóża wzniesienia. Słyszałem muzykę unoszącą się z nad barów wzdłuż Queen Street. Z lewej i prawej strony widziałem land rovery i otwarte taksówki pełne ludzi, jeżdżące wzdłuż brzegu, wiozące ludzi na inne przyjęcia, inne jachty i do hoteli, nad którymi unosiła się tajemnicza, czerwononiebieska luna. Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie jeszcze kazano nam iść na „prawdziwą zabawę”, i zastanawiałem się, czy rzeczywiście byłoby tam lepiej niż tu.

Pomyślałem o Vieques i przez chwilę zapragnąłem się tam znaleźć. Przypomniałem sobie, jak siedziałem na balkonie hotelu i słyszałem odgłos kopyt na ulicy pode mną. Potem przypomniałem sobie o Zimburgerze, Martinie i marines – budowniczych imperium, stawiających sklepy z mrożonym żarciem, wyznaczających poligony dla bombowców i rozprzestrzeniających się na cały świat jak wielka kałuża szczyń.

Postanowiłem popatrzeć na tańczących, myśląc, że skoro zapłaciłem za wstęp sześć dolarów, mogę chociaż spróbować dobrze się bawić.

Taniec stawał się coraz dzikszyszy. Skończyły się kołyszące fokstrociki. Rytm muzyki zdawał się napędzać tancerzy; ruchy na parkiecie były nerwowe i pełne pożądania, agresywnemu kołysaniu biodrami towarzyszyły nagłe okrzyki i jęki. Poczulem pokusę, by do nich dołączyć, choćby dla śmiechu. Wcześniej jednak musiałem się bardziej upić.

Po drugiej stronie pokoju odnalazłem Yeamona, stojącego przy wejściu do przedpokoju.

- Jestem gotów do tańca – powiedziałem ze śmiechem.
- Czas spuścić się ze smyczy i oszaleć.

Sporunował mnie wzrokiem, pociągając długi łyk z kubka.

Wzruszyłem ramionami i ruszyłem w stronę wnęki w przedpokoju, gdzie barman bez polotu ciężko pracował nad drinkami.

- Rum z lodem! – krzyknąłem, trzymając kubek w górze.
- Dużo lodu.

Chwycił kubek mechanicznie, wrzucił kilka kostek lodu, chlusnął rumem i oddał. Wepchnąłem mu w dłoń ćwierćdolarówkę i wróciłem do drzwi. Yeamon patrzył na tańczących z posępnym wyrazem twarzy.

Gdy zatrzymałem się przy nim, wskazał głową na parkiet.

- Spójrz na tę sukę.

Zobaczyłem Chenault tańczącą z niskim mężczyzną z bródką w szpic, którego poznaliśmy wcześniej. Niezły był z niego tancerz, nieznane mi kroki wydawały się dość skomplikowane. Chenault wyciągnęła ramiona jak tancerka hula, a jej twarz zdradzała napiętą koncentrację. Od czasu do czasu robiła piruet, wirując swoją madrasową spódniczką jak wiatrakiem.

- Tak – powiedziałem. – Niezłe tańczy.
- Jest w części czarnuchem – odparł niezbyt łagodnym tonem.

- Spokojnie – powiedziałem szybko. – Uważaj, co mówisz w takim miejscu.

- Brednie – odezwał się głośno.

Dobry Jezu, pomyślałem. Zaczyna się.

- Spokojnie – powtórzyłem. – Może wrócimy do miasta?

– Ja jestem za – odparł. – Ale spróbuj jej to powiedzieć. – Skinał na Chenault, tańczącą jak w gorączce zaledwie kilka stóp od nas.

– Cholera – powiedziałem. – Po prostu ją złap i idziemy.

Potrząsnął głową.

– Próbowałem. Krzyczała, jakbym ją mordował.

W jego głosie brzmiała nuta, której nigdy wcześniej nie słyszałem, dziwne wahanie, które nagle wzbudziło mój niepokój.

– Jezu – mruknąłem, rozglądając się po tłumie.

– Będę jej musiał po prostu dać w łeb – powiedział.

Właśnie w tym momencie poczułem rękę na ramieniu. To była moja świnia, moja przysadzista dziewczyna.

– Chodźmy, chłoptasiu – zapiała, ciągnąc mnie na parkiet.

– Zróbmy to!

Kwiknęła i zaczęła tupać nogami.

Dobry Boże, pomyślałem. Co teraz? Przyglądałem się jej, trzymając w jednej ręce drinka, a w drugiej papierosa.

– Dalej! – krzyknęła. – Wymagluj mnie! – Pochyliła się w moją stronę, podciągnęła spódniczkę, odsłaniając uda, i kołysała biodrami w przód i w tył. Zacząłem kiwać się i przestępować z nogi na nogę. Z początku ruszałem się niepewnie, później osiągnąłem poziom nieobecnego zapamiętania. Ktoś wpadł na mnie i upuściłem drinka na podłogę. Otaczającym nas, rozszalałym parom nie robiło to żadnej różnicy.

W pewnym momencie znalazłem się obok Chenault. Wzruszyłem bezradnie ramionami i kołysałem się dalej. Roześmiała się i trąciła mnie biodrami. Później wróciła do swojego partnera, zostawiając mnie z moją świnia.

Wreszcie potrząsnąłem głową i poddałem się, pokazując na migi, że jestem zbyt zmęczony. Poszedłem do baru po nowego drinka. Straciłem z oczu Yeamona – przypuszczałem, że został wchłonięty przez tańczących. Przebiłem się przez stłoczone ciała na taras, licząc na wolne miejsce do siedzenia. Yeamon siedział na barierce i rozmawiał z nastoletnią dziewczyną. Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– To Ginny – rzekł. – Naucz mnie tańczyć.

Kiwnąłem głową i przywitałem się. Za moimi plecami muzyka stawała się coraz głośniejsza, a chwilami prawie nikła pod krzykami ludzi. Próbowałem to ignorować. Patrzyłem z góry na spokojne miasto, chcąc jak najszybciej się tam znaleźć.

Ale muzyka płynąca z wnętrza stawała się coraz bardziej szalona. Wyczuwało się w niej jakąś nieobecną wcześniej niecierpliwość, a i krzyki tłumu przybrały inny ton. Yeamon i Ginny weszli do środka, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ludzie cofali się, robiąc miejsce dla kogoś lub czegoś, a ja zbliżyłem się, by zobaczyć, co to takiego.

Utworzono wielkie koło, a w środku Chenault i mały mężczyzna o szpiczastej brodzie wykonywali swój taniec. Chenault zrzuciła spódniczkę, tańczyła teraz w majtkach i białej bluzce bez rękawów. Jej partner zdjął koszulę, ukazując swój lśniący, czarny tors. Miał na sobie tylko obcisłe, czerwone spodnie torreadora. Stopy obojga były bose.

Spojrzałem na Yeamona. Jego twarz była napięta, gdy stał na palcach, by lepiej widzieć. Nagle wykrzyknął jej imię:

– Chenault!

Ale ludzie robili tak duży hałas, że ledwo go słyszałem, choć stał dwa kroki ode mnie. Ona zdawała się nie zważać na nic prócz muzyki i maniaka, który prowadził ją na parkiecie. Yeamon krzyknął ponownie, ale nikt go nie usłyszał.

W pewnym momencie, jakby w transie, Chenault zaczęła zdejmować bluzkę. Rozpięła guziki powoli, jak doświadczona striptizerka, potem cisnęła ją w bok i kołysała się dalej tylko w biustonoszu i majtkach. Wydawało mi się, że publiczność oszaleje. Wyli i walili pięściami w meble, przepychając się i wdrapując na siebie nawzajem, żeby mieć lepszy widok. Budynek drżał w posadach i miałem wrażenie, że podłoga lada chwila się zapadnie. Gdzieś w pomieszczeniu usłyszałem brzęk rozbijanego szkła.

Ponownie spojrzałem na Yeamona. Wymachiwał rękami, próbując zwrócić na siebie uwagę Chenault. Ale wyglądał po

prostu na kolejnego widza, który dał się ponieść temu spektaklowi.

Tańczący teraz zblżyli się do siebie i zobaczyłem, jak mężczyzna obejmuje Chenault i rozpina jej biustonosz. Zrobił to szybko i wprawnie – zdawała się nie mieć pojęcia, że ma na sobie już tylko cienkie, jedwabne majtki. Biustonosz zsunął się z jej ramion i opadł na podłogę. Jej piersi podskakiwały gwałtownie w rytm szarpanych tanecznych ruchów. Pełne kulki jędrnego ciała o różowych sutkach, nagle uwolnione z bawelnianej skromności nowojorskiego stanika.

Patrzyłem na to zafascynowany i przerażony. Nagle usłyszałem, że obok mnie Yeamon rzuca się w stronę parkietu. Zrobiło się zamieszanie, a potem zobaczyłem, jak wielki barman zachodzi go od tyłu i łapie za ramiona. Kilku innych mężczyzn odepchnęło go jak nieszkodliwego pijaka, by zrobić miejsce dla tańczących.

Yeamon krzyczał histerycznie, próbując utrzymać równowagę.

– Chenault! – wrzeszczał. – Co robisz, do cholery?!

Brzmiało to desperacko, ale czułem się sparaliżowany.

Tymczasem oni znów się do siebie zblżyli, powolnym, kołyszącym krokiem kierując się do środka koła. Towarzyszył im obezwładniający ryk dwustu rozszalałych gardeł. Na twarzy Chenault nadal widniał wyraz oszołomienia i ekstazy, a mężczyzna wyciągnął ręce i delikatnie zsunął jej majtki z bioder aż do kolan. Pozwoliła im opaść na podłogę i zrobiła krok w tył. Płynnie wracając do tańca, przystąpiła do mężczyzny, zamarła na chwilę – nawet muzyka się zatrzymała – potem oddaliła się tanecznym krokiem, otwierając oczy i rzucając włosami na lewo i prawo.

Nagle Yeamon zdołał się oswobodzić. Wskoczył do koła, a tamci natychmiast rzucili się za nim – tym razem jednak był na to przygotowany. Widziałem, jak uderzył barmana w twarz, próbował opędzić się od pozostałych pięściami i łokciami, krzycząc z taką furią, że ciarki przechodziły mi po plecach – w końcu jednak uległ fali napierających ciał.

Bijatyka przerwała taniec. Przez mgnienie oka widziałem Chenault – stała sama, wyglądając na zaskoczoną i oszołomioną, z kępką brązowych włosów kontrastującą z bielą jej skóry i długimi blond włosami spływającymi na ramiona. Była mała, naga i bezbronna, a potem nagle ujrzałem, jak mały mężczyzna łapie ją za ramię i zaczyna ciągnąć ku drzwiom.

Przebijałem się przez tłum, przeklinając, rozpychając się i próbując dotrzeć do przedpokoju, zanim znikną. Z tyłu słyszałem Yeamona – wciąż krzyczał, wiedziałem jednak, że już go dopadli, i myślałem tylko o tym, żeby znaleźć Chenault. Zanim dotarłem do drzwi, otrzymałem kilka ciosów, jednak nie zwracałem na nie uwagi. W pewnym momencie wydawało mi się, że słyszę, jak Chenault krzyczy, ale mógł to być ktokolwiek.

Kiedy wreszcie wydostałem się na zewnątrz, zobaczyłem, że u podnóża schodów zebrała się grupa ludzi. Zbiegłem na dół i ujrzałem leżącego na ziemi, jęczącego Yeamona. Jego usta krwawiły. Najwyraźniej wywlekli go jakimś innym wyjściem. Nad nim pochylał się barman i wycierał mu usta chusteczką.

Zapomniałem o Chenault i zacząłem przedzierać się przez krąg ludzi, mruczając pod nosem przeprosiny i próbując jak najszybciej dostać się do miejsca, gdzie leżał Yeamon. Gdy tam dotarłem, barman podniósł się i zapytał:

– To twój znajomy?

Przytaknąłem i pochyliłem się nad nim, by zobaczyć, czy jest ranny.

– Nic mu nie jest – powiedział ktoś. – Próbowaliśmy być z nim delikatni, ale wciąż walczył.

– Jasne – odparłem.

Yeamon zdążył w tym czasie usiąść. Obejmował głowę rękami.

– Chenault – wymamrotał. – Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Już w porządku. Uspokój się.

– Ten parszywy sukinsyn – powiedział głośno.

Barman klepnął mnie w ramię.

– Niech pan go lepiej stąd zabierze – rzekł. – Tym razem nic mu się nie stało, ale jeśli tu zostanie, może nie mieć tyle szczęścia.

– Możemy zamówić taksówkę? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Załatwię wam samochód. – Odwrócił się i zawołał coś w kierunku tłumu. Ktoś odpowiedział, a on wskazał na mnie.

– Chenault! – krzyknął Yeamon, próbując podnieść się z ziemi.

Zepchnąłem go z powrotem, wiedząc, że jak tylko wstanie, czeka nas kolejna bijatyka. Spojrzałem na barmana.

– Gdzie jest dziewczyna? – zapytałem. – Co się z nią stało?

Uśmiechnął się słabo.

– Dobrze się bawiła.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że odeślą nas bez Chenault.

– Gdzie ona jest? – zapytałem zbyt głośno, próbując ukryć panikę w głosie.

Nieznamy mężczyzna podszedł do mnie i warknął:

– Lepiej się stąd zabierajcie!

Szurałem nerwowo nogami w piasku, patrząc na barmana, który wydawał się tu rządzić. Uśmiechnął się złośliwie, wskazując na coś za mną. Odwróciłem się i ujrzałem samochód powoli przedzierający się przez tłum.

– Oto wasza taksówka – powiedział. – Pomogę pańskiemu znajomemu. – Podszedł do Yeamona i gwałtownym ruchem postawił go na nogi. – Duży pan wróci do miasta – powiedział, szczerząc zęby. – I zostawi małą panienkę tutaj.

Yeamon zesztynniał i zaczął wrzeszczeć:

– Sukinsyny!

Zamachnął się wściekle na barmana, który z łatwością uniknął jego ciosu i ze śmiechem obserwował, jak czterej mężczyźni wpychają Yeamona do samochodu. Gdy tylko wepchnęli mnie za nim, wychyliłem się przez okno i krzyknąłem do barmana.

– Wróć tu z policją! Oby tej dziewczynie nic się nie stało.

Nagle poczułem okropny cios w twarz i zdążyłem schować się na tyle szybko, by następne uderzenie przemknęło przed moim nosem. Bez świadomości tego, co robię, zamknąłem okno i opadłem na siedzenie. Słyszałem, jak wszyscy się śmiali, kiedy zjeżdżaliśmy ze wzgórza.

Myślałem tylko o tym, żeby jak najszybciej dostać się na policję, ale kierowca nie chciał zawieźć nas na posterunek, ani nawet powiedzieć nam, gdzie się znajduje.

– Lepiej dajcie sobie z tym spokój – powiedział cicho. – Wszyscy powinni pilnować własnych interesów.

Wysadził nas w centrum miasta i powiedział, że wystarczy, jeśli damy mu dwa dolary za benzynę. Przekląłem gorzko i podałem mu banknoty, ale Yeamon odmówił wyjścia z samochodu. Upierał się, żebyśmy natychmiast wrócili na górę po Chenault.

– Chodź – powiedziałem, ciągnąc go za ramię. – Pójdziemy po gliny. Zawiozą nas tam. – Wreszcie udało mi się nakłonić go, by wysiadł i samochód odjechał.

Znaleźliśmy posterunek, ale pusty. Światła były włączone, więc postanowiliśmy poczekać w środku. Yeamon zasnął na ławce, a ja byłem tak wycieńczony, że ledwo udawało mi się utrzymać otwarte oczy. Po jakiejś godzinie stwierdziłem, że lepiej zrobimy, szukając policjanta na ulicy. Obudziłem Yeamona i ruszyliśmy w kierunku barów. Karnawał zdążył się już rozprószyć, a ulice pełne były pijaków, głównie turystów i Portorykańczyków. Gromadki ludzi przemieszczały się od baru do baru, mijając ciała leżące w bramach, i tych, którzy po prostu rozłożyli się na ulicy. Dochodziła czwarta, ale w barach nadal było pełno ludzi. Wyglądało to tak, jakby całe miasto było nawalone.

Nigdzie nie było ani śladu gliniarza, a obaj padaliśmy już z wyczerpania. Wreszcie poddaliśmy się i pojechaliśmy tak-sówką na plażę Lindbergh, gdzie z trudem przegramoliliśmy się przez płot, padliśmy na piasek i od razu zasnęliśmy.

W nocy zaczęło padać i obudziłem się całkowicie przemoczo-ny. Myślałem, że właśnie świta, ale spojrzałem na zegarek i okazało się, że była już dziewiąta. Wydawało mi się, że moja głowa spuchła tak bardzo, że powiększyła się dwukrotnie, a w okolicach ucha pulsował wielki, bolesny siniak. Rozebrałem się i poszedłem popływać w zatoce, ale nie poprawiło to mojego samopoczucia. Ranek był zimny i ponury, a krople delikatnego deszczu uderzały w powierzchnię wody. Usiadłem na chwilę na tratwie i myślałem o minionej nocy. Im więcej sobie przypominałem, tym bardziej stawałem się przygnębiony i drżałem na samą myśl o tym, że będziemy musieli wrócić do miasta szukać Chenault. W tamtej chwili nie obchodziło mnie zupełnie, czy żyje, czy nie. Tak naprawdę chciałem tylko przejść na drugą stronę drogi i złapać samolot do San Juan, zostawiając Yeamona samego na plaży, z nadzieją, że nigdy już nie zobaczę ani jego, ani dziewczyny.

Po pewnym czasie popłynąłem do brzegu i obudziłem go. Wyglądał na chorego. Na lotnisku zjedliśmy śniadanie, potem autobusem pojechaliśmy do miasta. Przebraliśmy się w porcie jachtowym i poszliśmy na komisariat, gdzie dyżurny żandarm układał pasjansa z talii kart przedstawiających nagie kobiety w różnych lubieżnych pozach.

Gdy Yeamon skończył opowiadać, spojrzał na nas z szerokim uśmiechem.

– Stary – powiedział powoli. – Co mogę poradzić, jeśli twoja dziewczyna woli innego?

– Nikogo nie woli! – krzyknął Yeamon. – Wywłókł ją stamtąd siłą!

– Dobrze – odparł, wciąż się uśmiechając. – Żyję tu od dziecka i wiem, jak dziewczyny znikają podczas karnawałów. – Roześmiał się delikatnie. – Mówisz, że tańczyła nago przed tymi wszystkimi ludźmi... i twierdzisz, że ją zgwałcono?

Po kilku kolejnych uwagach gliniarza, utrzymanych w tym samym tonie, oczy Yeamona zabłyszczały szaleńczo i zaczął krzyczeć głosem pełnym gniewu i desperacji:

– Jeśli nam nie pomożesz, przysięgam, że sam pójde do tego domu z rzeźnickim nożem i powyrzynam wszystkich, których tam zobaczę!

Gliniarz wyglądał na zaskoczonego.

– Spokojnie, kolego! Napytasz sobie biedy, jak nie będziesz panował nad tym, co mówisz.

– Słuchaj – powiedziałem. – Chcemy tylko, żebyś pojechał tam z nami i znalazł tę dziewczynę... czy to tak wiele?

Spojrzał na swoje karty, jakby miały mu objaśnić znaczenie naszego pojawienia się i tego, jak sobie z tym poradzić. Wreszcie potrząsnął ze smutkiem głową i podniósł wzrok.

– Ech, nieznośni z was ludzie – powiedział cicho. – Nigdy nie zmądrzejecie.

Zanim zdołaliśmy odpowiedzieć, wstał i nałożył swój hełm.

– Niech będzie – rzekł. – Przejedziemy się tam i zobaczymy, co da się zrobić.

Wyszliśmy za nim na ulicę. Jego zachowanie mnie irytowało, czułem się prawie zawstydzony, że robimy mu tyle kłopotu.

Kiedy dotarliśmy do domu, miałem ochotę wyskoczyć z samochodu i uciec jak najdalej. Cokolwiek na nas czekało, zapowiadało się źle. Być może zabrali ją gdzie indziej, na inne przyjęcie, i tam przykuli do łóżka – ostatnie nagie trofeum, by z pompą pożegnać karnawał. Drżąc, wspinałem się po schodach, potem spojrzałem na Yeamona. Wyglądał jak skazaniec w drodze na gilotynę.

Gliniarz zadzwonił do drzwi. Otworzyła potulnie wyglądająca Murzynka, która jękając się, nerwowo przysięgła, że nie ma tu nawet śladu białej dziewczyny i nie miała pojęcia o wczorajszym przyjęciu.

– Brednie! – warknął Yeamon. – Wczoraj była tu całkiem duża impreza i zapłaciłem sześć dolarów za wejście.

Kobieta zaprzeczała, że odbyło się jakiegokolwiek przyjęcie. Powiedziała, że w środku śpi kilka osób, ale nie ma wśród nich białej dziewczyny.

Gliniarz zapytał, czy może wejść do domu i się rozejrzeć. Wzruszyła ramionami i wpuściła go, ale kiedy Yeamon próbował pójść za nim, zdenerwowała się i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Po kilku minutach gliniarz wrócił.

– Ani śladu białej dziewczyny – rzekł, patrząc Yeamonowi prosto w oczy.

Nie chciałem mu wierzyć, bo nie chciałem stawiać czoła innym możliwościom. Miało być łatwo – znaleźć ją, obudzić i zabrać stąd. Ale nic już nie było łatwe. Mogła być wszędzie, za drzwiami któregoś z tych domów na wyspie. Spojrzałem na Yeamona, spodziewając się, że puszcza mu nerwy i rzuci się na policjanta lub kobietę. Ale on stał oparty o barierkę werandy, bliski płaczu.

– Boże Wszzechmogący – mamrotał, patrząc na czubki swoich butów. Jego rozpacz była tak szczera, że gliniarz położył mu rękę na ramieniu.

– Przykro mi, kolego – powiedział cicho. – Chodźcie już. Idziemy.

Zjechaliśmy ze wzgórza z powrotem na posterunek, a gliniarz obiecał, że będzie szukał dziewczyny odpowiadającej rysopisowi Chenault.

– Powiem pozostałym. Pojawi się. – Uśmiechnął się przyjaźnie do Yeamona. – I tak na nic ci kobieta, która tak cię traktuje.

– Racja – odparł Yeamon. Potem położył płaszcz i niewielką walizkę Chenault na biurku. – Daj jej to, kiedy się pojawi. Nie mam ochoty tego ze sobą taszczyć.

Gliniarz kiwnął głową i odłożył jej rzeczy na półkę na tyłach pomieszczenia. Zapisał też mój adres w San Juan, żeby nas powiadomić, gdyby dziewczyna się znalazła. Pożegnaliśmy się i poszliśmy w dół na śniadanie do Grand Hotelu.

Zamówiliśmy rum z lodem i hamburgery, które zjedliśmy w ciszy, czytając gazety. W końcu Yeamon spojrzął na mnie i rzekł beztrąsko:

– To tylko dziwka. Nie wiem, czemu mam się tym przejmować.

– Nie martw się – powiedziałem. – Po prostu jej odbiło, zupełnie odbiło.

– Masz rację – odparł. – Jest dziwką. Od samego początku to zauważyłem. – Rozparł się na kanapie. – Poznaliśmy się na przyjęciu na Staten Island jakiś tydzień przedtem, zanim tu przyjechałem. W chwili, gdy ją ujrzałem, powiedziałem sobie, że ta dziewczyna to dziwka jak się patrzy... nie z tych, co lecą na pieniądze, ona po prostu chciała się bzykać. – Pokiwał głową. – Zabrałem ją do siebie i rzuciłem się na nią jak byk. Została cały tydzień, nie chodziła nawet do pracy. W tym czasie mieszkalem u znajomego mojego brata, kazałem mu spać na łóżku polowym w kuchni... W pewnym sensie wyrzuciłem go z jego własnego domu. – Uśmiechnął się smutno. – Kiedy potem poleciałem do San Juan, chciała do mnie dołączyć. Jedyne, co mogłem zrobić, to kazać jej poczekać kilka tygodni dłużej.

Miałem wtedy w głowie kilka portretów Chenault: szykownej kobietki, skrywającej pożądanie pod ubraniami Lord & Taylor; opalonej, długowłosej blondyneczki przechadzającej się po plaży w białym bikini; pijanej diablicy z głośnego baru w St. Thomas; i dziewczyny, którą widziałem poprzedniej nocy – tańczącej w tych cienkich majtkach, z podskakującymi piersiami o różowych sutkach i delikatnie kołyszącej biodrami, podczas gdy oszalały zbir ściąga jej majtki... I wreszcie ta ostatnia chwila, gdy stała na środku pokoju, sama przez jedną chwilę, ze swoją kępką brązowych włosów, kontrastującą z białą skórą jej brzucha i ud... ta święta kępka, skrupulatnie pielęgnowana i strzeżona przez jej rodziców, którzy aż zbyt dobrze znali jej moc i wartość, wysłana do Smith College, by się rozwijała i by poczuła nieco wiatru i pogody życia, w ciągu dwudziestu lat doglądana przez cały legion rodziców, nauczycieli, przyja-

ciół i doradców, w końcu oddana pod opiekę Nowemu Jorkowi na skrzydłach modlitwy.

Skończyliśmy śniadanie i pojechaliśmy autobusem na lotnisko. Hol był dosłownie zapchany przez żalonych pijaków: mężczyźni wciągających się nawzajem do toalet, kobiety wymiotujące prosto na podłogę pod ławkami i turystów bełkoczących ze strachu. Już na pierwszy rzut oka oceniłem, że pewnie będziemy czekać dzień i noc, zanim znajdzie się dla nas miejsce w samolocie. Bez biletów mogliśmy spędzić tu nawet trzy dni. Wyglądało beznadziejnie.

Potem nam się poszczęściło. Poszliśmy do kawiarni i rozglądaliśmy się w poszukiwaniu wolnych miejsc, gdy zauważyłem pilota, z którym w czwartek leciałem do Vieques. Wydawało się, że mnie poznał, kiedy podszedłem do niego.

– Witam – powiedziałem. – Pamiętasz mnie? Kemp, „New York Times”.

Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

– Jasne – powiedział. – Byłeś z Zimburgerem.

– To czysty przypadek – powiedziałem, szczerząc zęby. – Słuchaj... Nie zabrałyś nas do San Juan? Jesteśmy zdesperowani.

– Nie ma sprawy – odparł. – Wracam o czwartej. Mam dwóch pasażerów i dwa wolne miejsca. – Pokiwał głową. – Masz szczęście, że znalazłeś mnie wcześniej, nie pozostałyby wolne długo.

– Jezu – powiedziałem. – Uratowałeś nam życie. Policz nam, ile chcesz... wyślę rachunek do Zimburgera.

Uśmiechnął się szeroko.

– Miło to słyszeć. Nie wyobrażam sobie, od kogo przyjemniej byłoby wyciągnąć taką sumę. – Dopił kawę i odstawił kubek na ladę. – Muszę uciekać. Do zobaczenia na pasie o czwartej, to ten sam czerwony apache.

– Jasne – odparłem. – Będziemy.

Tłum stawał się coraz gęstszy. Samoloty do San Juan odchodziły co pół godziny, ale wszystkie miejsca były zajęte. Ludzie czekający, aż coś się zwolni, znów zaczęli się upijać – wyciągali butelki szkockiej i puszczali je w obieg.

W tym miejscu nie dało się myśleć. Pragnąłem spokoju, zacisza mojego własnego mieszkania, szklanki zamiast papierowego kubka i czterech ścian oddzielających mnie od napierającego na nas ze wszystkich stron cuchnącego tłumu pijaków.

O czwartej udaliśmy się na pas startowy i szybko znaleźliśmy apache'a, już grzejącego silniki. Lot powrotny trwał około pół godziny. Leciała z nami para młodych ludzi z Atlanty, którzy przybyli z San Juan wcześniej tego samego dnia i już nie mogli się doczekać powrotu. Byli kompletnie zbulwersowani zachowaniem dzikich i zadzierających nosa *nigras*.

Kusiło mnie, żeby opowiedzieć im o Chenault, nie opuszczając żadnego szczegółu i kończąc przerażającą wizją tego, gdzie była teraz i co się z nią działo. Zamiast tego jednak siedziałem w ciszy i obserwowałem płynące w dole białe chmury. Czuję się, jakbym przetrwał jakieś długie i niebezpieczne szaleństwo, i wracał wreszcie do domu.

Mój samochód czekał na mnie na lotniskowym parkingu, gdzie go zostawiłem, a skuter Yeamona stał przypięty do barierki przy budce strażnika. Odpiął zabezpieczenie i powiedział, że wraca do siebie, mimo moich rad, by pojechał do mnie, żeby móc odebrać dziewczynę, gdyby pojawiła się w nocy.

– A niech tam – powiedziałem. – Może jest już na miejscu. Pomyślała, że zostawiliśmy ją zeszłej nocy, i pojechała na lotnisko.

– Tak – zgodził się, opuszczając skuter z podpórki. – Na pewno właśnie tak się stało, Kemp. Możliwe, że już czeka na mnie z kolacją.

Pojechałem za nim długim podjazdem i pomachałem na do widzenia, skręcając na drogę do San Juan. Wróciwszy do mieszkania, natychmiast poszedłem spać i nie obudziłem się aż do południa następnego dnia.

Po drodze do biura zastanawiałem się, czy powinienem opowiedzieć o Chenault, ale jak tylko wszedłem do newsroomu, natychmiast o niej zapomniałem. Sala zawołał mnie do swoje-

go biurka, gdzie z przejęciem rozmawiał ze Schwartzem i Mobergiem.

– To koniec! – krzyknął. – Trzeba było zostać w St. Thomas.

Segarra odszedł z pracy, a Lotterman dzień wcześniej wyjechał do Miami, najprawdopodobniej podejmując rozpaczliwą próbę zdobycia nowych funduszy. Sala był przekonany, że gazeta upadnie, ale Moberg twierdził, że to fałszywy alarm.

– Lotterman ma pieniądze – zapewniał nas. – Poleciał zobaczyć się z córką... rozmawiał ze mną przed wyjazdem.

Sala roześmiał się gorzko.

– Obudź się, Moberg. Myślisz, że Śliski Nick rzuciłby taką robotę, gdyby nie musiał? Spójrz prawdzie w oczy... jesteśmy bezrobotni.

– Niech to diabli! – wykrzyknął Schwartz. – Ledwo zdążyłem się urządzić... To pierwsza od dziesięciu lat robota, której nie chciałem stracić.

Schwartz miał około czterdziestki i mimo że właściwie widywaliśmy się tylko w pracy, lubiłem go. W redakcji wykonywał swoją pracę dobrze, nigdy nie robił nikomu problemów, a cały wolny czas spędzał, pijąc w najdroższych barach, jakie udało mu się znaleźć. Nie cierpiał baru Ala, mówił, że jest tam zbyt klubowo, a poza tym brudno. Wolał Marlin Club, bar w Caribé i inne hotelowe restauracje, gdzie człowiek mógł usiąść w krawacie, pić w spokoju i od czasu do czasu obejrzeć dobry program rozrywkowy. Pracował ciężko, a gdy kończył pracę, pił. Potem szedł spać i z powrotem do pracy. Dziennikarstwo dla Schwartza było jak układanie puzzli – prostą czynnością składania gazety tak, żeby wszystko pasowało. Niczym więcej. Uważał je za zaszczytną profesję i opanował doskonale; sprowadził je do prostego wzoru i miał zamiar się do niego ograniczać. Nic nie denerwowało go bardziej od świrów czy maniaków. Utrudniali mu życie i powodowali, że stale się zamartwiał.

Sala uśmiechnął się do niego szeroko.

– Nie przejmuj się, Schwartz, dostaniesz rentę, pewnie dorzucą ci też czterdzieści akrów i muła.

Pamiętam, jak Schwartz po raz pierwszy pojawił się w „News”. Swobodnym krokiem wszedł do redakcji i poprosił o pracę tak samo, jakby wchodził do fryzjera i kazał się ostrzyć – zupełnie nie spodziewając się odmowy. Teraz, gdyby działała w tym mieście inna anglojęzyczna gazeta, bankructwo „News” oznaczałoby dla niego nie więcej niż śmierć jego ulubionego fryzjera. To nie utrata pracy go martwiła, ale fakt, że jego rutyna była zagrożona. Gdyby gazeta splajtowała, byłby zmuszony podjąć różne dziwne i nieschematyczne działania. A tego Schwartz nie lubił. Był zdolny do zrobienia czegoś dziwnego i nieschematycznego, ale pod warunkiem, że sam to zaplanował. Każde działanie podjęte pod wpływem nagłego impulsu było według niego nie tylko głupie, ale i niemoralne. Jak pójście do Caribé bez krawata. Styl życia Moberga wydawał mu się go-dzien pogardy i więzienia – nazywał go nawet „skaczącym po posadach degeneratem”. Wiedziałem, że to właśnie Schwartz wmówił Lottermanowi, że Moberg to złodziej.

Sala spojrział na mnie.

– Schwartz boi się, że odetną mu kredyt w Marlinie i że straci swoje wyjątkowe miejsce przy końcu baru... tam, gdzie sadzają dziekana białych dziennikarzy.

Schwartz potrząsnął ze smutkiem głową.

– Ty cyniczny głupcze! Zobaczmy, jak się będziesz czuł, kiedy sam zaczniesz szukać pracy.

Sala wstał i ruszył w kierunku ciemni.

– Tutaj w każdym razie pracy już nie ma – rzekł. – Kiedy Śliski Nick opuszcza statek, możesz być pewien, że komenda brzmi: wyjeżdżać.

Kilka godzin później poszliśmy na drinka do baru po drugiej stronie ulicy. Opowiedziałem Sali o Chenault, a on kręcił się nerwowo na krześle, słysząc moje słowa.

– Cholera, to okropne! – wykrzyknął, gdy skończyłem. – Chryste, niedobrze się robi! – Walnął pięścią w stół. – Niech to szlag, wiedziałem, że coś takiego się stanie... nie mówiłem?!

Przytaknąłem, wbijając wzrok w lód na dnie szklanki.

– Dlaczego, do cholery, nic nie zrobiliście? – drążył. – Yeamon całkiem nieźle sobie radzi w mordobiciu... Gdzie on się wtedy podziewał?

– To stało się zbyt szybko – odparłem. – Próbował coś zrobić, ale go zatrzymali.

Zamyślił się na chwilę.

– Dlaczego ją tam zabrałeś?

– Przestań – powiedziałem. – Nie pojechałem tam, żeby bawić się w przyzwoitkę dla oszalałej dziewczyny. – Spojrzałem na niego ponad stołem. – A dlaczego ty nie zostałeś w domu, żeby poczytać jakąś dobrą książkę, w dniu, kiedy pobili cię gli-niarze?

Potrząsnął głową i opadł na miejsce. Po dwóch czy trzech minutach ciszy spojrzął na mnie.

– Dokąd my, do cholery, zmierzamy, Kemp?! Naprawdę zaczynam myśleć, że wszyscy jesteśmy przeklęci. – Podrapał się nerwowo po twarzy i ściszył głos. – Mówię poważnie – powiedział. – Wciąż się upijamy i cały czas dzieje się coś okropnego, a każdy kolejny przypadek jest gorszy od poprzedniego... – Machnął ręką w geście rozpaczy. – Cholera, to już przestaje być zabawne – wszystkim nam kończy się szczęście w tym samym czasie.

Kiedy wróciliśmy do redakcji, zacząłem myśleć o tym, co powiedział, i doszedłem do wniosku, że może mieć rację. Sala mówił o szczęściu, przeznaczeniu i liczbach, jakie wypadną w następnym losowaniu, ale nigdy nie postawił ani centa w kasynie, bo wiedział, że jedynie właściciel robi na tym interes. A pod całym jego pesymizmem, pod ponurym przekonaniem, że cała maszyna świata skierowana jest przeciwko niemu, w zakamkach jego duszy kryła się wiara, że zdoła to wszystko przechytrzyć, że jeśli tylko będzie obserwował znaki, dowie się, kiedy zrobić unik i jak zostać oszczędzonym. Wyznawał fatalizm z luką – jedyne, co trzeba było zrobić, by z niej skorzystać, to nie przegapić żadnego znaku. Przetrawanie dzięki koordynacji, by tak rzec. Wyścig nie jest dla szybkich, walka nie dla najsil-

niejszych, przetrwają ci, którzy potrafią dostrzec nadchodzące niebezpieczeństwo i odskoczyć. Jak żaba uciekająca przed pałą na bagnie o północy.

Chcąc zastosować się do tej teorii, tego samego wieczoru poszedłem zobaczyć się z Sandersonem, w nadziei, że uda mi się przedostać z bagna grożącego mi bezrobocia na wysoką i suchą gałąź dobrze płatnych zleceń. To była jedyna gałąź, jaką widziałem w promieniu tysiąca mil, i gdybym przegapił okazję, oznaczałoby to daleki skok do następnego suchego miejsca – a nie miałem pojęcia, gdzie mogłoby się ono znajdować.

Przywitał mnie czekiem na pięćdziesiąt dolarów, który wziąłem za dobrą monetę.

– Za tamten artykuł – wyjaśnił. – Chodź na werandę, zrobimy ci drinka.

– Co mi po drinku – powiedziałem. – Szukam polisy przeciw bezrobociu.

Roześmiał się.

– Mogłem się domyślić, zwłaszcza po dzisiejszym dniu.

Zatrzymaliśmy się w kuchni po lód.

– Oczywiście wiedziałeś, że Segarra odejdzie – powiedziałem.

– Oczywiście – odrzekł.

– Jezu – mruknąłem. – Powiedz, Hal, co przyniesie mi przyszłość? Będę bogaty czy zejde na psy?

Roześmiawszy się ruszył w kierunku werandy, skąd dobiegało kilka głosów.

– Nie przejmuj się – powiedział przez ramię. – Wyjdź na zewnątrz, tam jest chłodniej.

Nie miałem ochoty rozmawiać z nowymi ludźmi, ale i tak wyszedłem na werandę. Byli młodzi i właśnie przybyli z jakiegoś niewiarygodnego miejsca – bardzo interesowało ich Puerto Rico i jego możliwości. Poczulem się człowiekiem sukcesu i *au courant*. Po kilku dniach bycia miotanym przez wichur zdarzeń dobrze było poczuć się znów bezpiecznie.

Następnego ranka obudziło mnie pukanie do drzwi, ciche, lecz natarczywe. Nie otwieraj, pomyślałem, nie pozwól, by to się znowu stało. Usiadłem na łóżku i przez minutę wgapiałem się w drzwi. Jęcząc, objąłem głowę dłońmi – chciałem znaleźć się gdziekolwiek na świecie, byle nie w tym miejscu, byle nie mieć z tym nic wspólnego. Potem powoli podszedłem do drzwi.

Była ubrana tak samo, jak wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni, ale teraz wyglądała mizernie i była brudna. Delikatnych iluzji, które towarzyszą naszemu życiu, nie można jednak zbyt często zderzać z rzeczywistością – i teraz, patrząc na Chenault, miałem ochotę trzasnąć drzwiami i wrócić do łóżka.

– Dzień dobry – przywitałem ją.

Milczała.

– Wejść – powiedziałem w końcu, robiąc krok w tył i przepuszczając ją.

Wpatrywała się we mnie z wyrazem twarzy, który sprawił, że poczułem się tak nieswojo, jak jeszcze nigdy w życiu. Rozpoznałem poniżenie i szok, z pewnością, ale i coś jeszcze – cień smutku i rozbawienie, niemal uśmiech.

To był przerażający widok, a im dłużej się jej przypatrywałem, tym większą miałem pewność, że straciła rozum. Po chwili weszła do środka i położyła swoją słomkową torbę na stole w kuchni.

– Ładnie tu – powiedziała cichym głosem, rozglądając się po mieszkaniu.

– Tak – odparłem. – Nie najgorzej.

– Nie wiedziałam, gdzie mieszkasz. Musiałam zadzwonić do gazety.

– Jak się tu dostałaś? – zapytałem.

– Taksówką. – Kiwnęła głową w kierunku drzwi. – Kierowca czeka na zewnątrz. Nie mam pieniędzy.

– Jezu – powiedziałem. – Cóż, pójdę mu zapłacić. Ile mu jesteś winna?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem.

Znalazłem portfel i ruszyłem w kierunku drzwi. Zaraz jednak dotarło do mnie, że mam na sobie tylko bokserki. Wróciłem do szafy i wciągnąłem spodnie, niemal desperacko pragnąc wreszcie stąd wyjść i ułożyć myśli.

– Nie martw się – powiedziałem. – Załatwię to.

– Wiem – odparła ze zmęczeniem w głosie. – Mogłabym się położyć?

– Jasne – powiedziałem szybko, doskakując do łóżka. – Proszę, tylko poprawię ci pościel. To takie łóżko, że jak je złożysz, zamienia się w kanapę.

Rozprostowałem prześcieradło i rozłożyłem na nim kołdrę, wyglądając fałdy niczym sprzątaczką w hotelu.

Usiadła na łóżku, przyglądając się, jak wciągam na siebie koszulę.

– Wspaniałe mieszkanie – rzekła. – Tyle tu słońca.

– Tak – odpowiedziałem, przesuwając się w kierunku drzwi.

– Pójdę zapłacić za taksówkę, zobaczymy się za chwilę.

Zbiegłem po schodach na ulicę. Kierowca uśmiechnęła się radośnie, kiedy do niego podszedłem.

– Ile mam zapłacić? – zapytałem, otwierając portfel.

Ochoczo pokiwał głową.

– *Sí, bueno. Señorita* mówi, że pan płaci. *Bueno, gracias. Señorita* nie jest w porządku. – Wskazał znacząco na głowę.

– To prawda – powiedziałem. – *Cuánto es?*

– *Ah, sí* – odparł, podnosząc siedem palców. – Siedem *dóla-res, sí*.

– Zwariowałaś?!

– *Sí* – powiedział szybko. – My jeździmy wszędzie dookoła, tu stop, tam stop... – Znów potrząsnął głową. – *Ah, sí*, dwie godziny, *loco*, *señorita* mówi, że pan płaci.

Dałem mu siedem dolarów, przypuszczając, że kłamię – ale wierzyłem, kiedy opisywał swój poranek słowem *loco*. Tak niewątpliwie było – a teraz przyszła kolej na mnie. Patrzyłem, jak taksówka odjeżdża, potem skryłem się pod palmą, w miejscu niewidocznym z okien. Co, do cholery, mam z nią zrobić?, myślałem. Stałem boso, czując chłodny piasek pod stopami. Spojrzałem w górę, na drzewo, a potem na okno mojego mieszkania. Była w środku, pewnie już w łóżku. Właśnie kiedy „News” mają splajtować, zwała mi się na głowę dziewczyna bez grosza przy duszy – na dodatek wariatka. Co powiedzieć Yeamonowi, albo nawet Sali? Ta sytuacja mnie przerastała. Postanowiłem, że muszę pozbyć się Chenault, nawet gdyby miało to oznaczać opłacenie jej lotu do Nowego Jorku.

Wszedłem na górę i otworzyłem drzwi. Czuję się znacznie spokojniejszy teraz, po podjęciu decyzji. Dziewczyna leżała rozciągnięta na łóżku i wpatrywała się w sufit.

– Jadłaś jakieś śniadanie? – spytałem, próbując nadać swojemu głosowi radosny ton.

– Nie – odparła tak cicho, że ledwo ją usłyszałem.

– U mnie jest wszystko. Jajka, bekon, kawa, cały zestaw. – Podeszedłem do zlewozmywaka. – Może masz ochotę na sok pomarańczowy?

– Poproszę sok pomarańczowy – rzekła, wciąż patrząc w sufit.

Usmażyłem całą patelnię bekonu i jajecznicę z kilku jaj, zadowolony, że mam się czym zająć. Co pewien czas spoglądałem na łóżko. Leżała na plecach, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu.

– Chenault – powiedziałem w końcu. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze – odpowiedziała tym samym bezbarwnym głosem.

Odwróciłem się.

– Może powinienem wezwać lekarza?

– Nie – powiedziała. – Nic mi nie jest. Chcę tylko odpocząć.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem do kuchenki. Przełożyłem jajka i bekon na dwa talerze i nalałem dwie szklanki mleka.

– Proszę – powiedziałem, niosąc jej talerz do łóżka. – Zjedz, może poczujesz się lepiej.

Nie ruszyła się, więc postawiłem talerz na stoliku przy łóżku.

– Lepiej zjedz. Nie wyglądasz zbyt zdrowo.

Nadal wpatrywała się w sufit.

– Wiem – szepnęła. – Po prostu daj mi chwilę odpocząć.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – I tak muszę iść do pracy.

Poszedłem do kuchni i wypiliśmy dwa łyki ciepłego rumu, potem wziąłem prysznic i ubrałem się. Kiedy wyszedłem z łazienki, jej jedzenie stało nietknięte na stoliku.

– Do zobaczenia około ósmej – powiedziałem. – Jakbyś czegoś potrzebowała, dzwoń do gazety.

– Zadzwonię – odparła. – Do widzenia.

Większość dnia spędziłem w bibliotece, robiąc notatki na temat poprzednich antykomunistycznych śledztw i zbierając informacji na temat osób uczestniczących w przesłuchaniach, które miały rozpocząć się w czwartek. Unikałem Sali, mając nadzieję, że nie będzie mnie szukać, by dowiedzieć się czegoś nowego o Chenault. O szóstej z Miami zadzwonił Lotterman, polecając Schwartzowi dalej zajmować się gazetą i zapowiadając, że wróci w piątek z „dobrymi nowinami”. Mogło to oznaczać jedynie, że znalazł jakieś fundusze; gazeta wytrzyma jeszcze trochę, a ja wciąż mam pracę.

Wyszedłem około siódmej. Nie było już nic do roboty, a nie chciałem natrafić na jakichś ludzi idących do Ala. Zszedłem tylnymi schodami i wślizgnąłem się do swojego samochodu jak zbieg. Gdzieś w Santurce przejechałem psa, ale się nie za-

trzymałem. Kiedy wróciłem do mieszkania, Chenault nadal spała.

Przygotowałem kilka kanapek i dzbanek kawy, a hałas w kuchni obudził Chenault.

– Cześć – powiedziała cicho.

– Cześć – odpowiedziałem, nie odwracając się. Otworzyłem puszkę zupy pomidorowej i postawiłem na ogniu. – Chcesz coś zjeść? – spytałem.

– Chyba tak – rzekła, siadając na łóżku. – Ale to ja ugotuję.

– Już jest gotowe. Jak się czujesz?

– Lepiej. Znacznie lepiej.

Wzięłem kanapkę z szynką i miskę zupy i zaniósłem do łóżka. Jajka i bekon ze śniadania wciąż tam tkwiły, zimne i zaschnięte. Zdjąłem talerz ze stolika i zastąpiłem go innym ze świeżym jedzeniem.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Paul.

– Nie jestem dobry – odparłem, idąc z powrotem do kuchni.

– Tylko trochę zagubiony.

– Dlaczego? – spytała. – Chodzi o to, co się wydarzyło?

Przyniosłem swój posiłek do stolika przy oknie i usiadłem.

– Tak – powiedziałem po chwili milczenia. – Twoje... hmm... twoje manewry podczas ostatnich kilku dni były... hmm... dość niejasne, delikatnie mówiąc.

Spojrzała w dół na swoje dłonie.

– Dlaczego mnie wpuściłeś? – spytała w końcu.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem... Myślałaś, że nie wpuszczę?

– Nie byłem pewna – odrzekła. – Nie miałam pojęcia, jak się będziesz czuł.

– Ani ja – powiedziałem.

Nagle podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– Nie wiedziałam, co zrobić! – wyrzuciła z siebie. – Kiedy weszłam do samolotu, miałam nadzieję, że się rozbije! Chciałam, żeby wybuchł i zatonął w oceanie!

– Skąd wzięłaś bilet? Myślałem, że nie miałaś pieniędzy – zapytałem bez zastanowienia i gdy tylko wypowiedziałem te słowa, pożałowałem ich.

Spojrzała na mnie z przestachem, potem zaczęła płakać.

– Ktoś mi go kupił – mówiła przez łzy. – Byłam bez grosza przy duszy, ja...

– Nieważne – powiedziałem szybko. – Nie chciałem o to pytać. Bawiłem się w dziennikarza.

Ukryła twarz w dłoniach i płakała dalej.

Jadłem, dopóki się nie uspokoiła, później znów spojrzałem w jej stronę.

– Słuchaj – powiedziałem. – Zaczniemy wszystko jeszcze raz. Po prostu przyjmę, że przeżyłaś coś nieprzyjemnego, i nie będę zadawał więcej pytań, dobrze?

Przytaknęła, nie patrząc na mnie.

– Chcę tylko wiedzieć, co zamierzasz teraz zrobić.

Spojrzała na mnie, jakby znów miała zacząć płakać, więc dodałem szybko:

– Żebym mógł ci pomóc.

Zaszlochała, a potem spytała:

– Co myśli Fritz?

– Cóż – powiedziałem. – Nie był szczególnie zadowolony, kiedy go ostatnio widziałem. Oczywiście to było w niedzielę wieczorem, kiedy obaj nie czuliśmy się zbyt dobrze. Może teraz ma się lepiej.

Podniosła wzrok.

– Co się działo? Pobił się z kimś?

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

– Nie patrz tak na mnie! – krzyknęła. – Nie pamiętam!

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż...

– Ostatnie, co pamiętam, to jak wchodziliśmy do tego domu – powiedziała, znów zaczynając płakać. – Nie pamiętam nic więcej, aż do następnego dnia!

Opadła na łóżko i długo płakała. Poszedłem do kuch-

ni i nalałem sobie kubek kawy. Kusiło mnie, żeby zawieźć ją do Yeamona i zastawić na drodze pod jego domem. Myślałem o tym przez chwilę, ale postanowiłem, że lepiej będzie, jeśli najpierw z nim porozmawiam i dowiem się, w jakim jest nastroju. Na tyle, na ile go znałem, równie dobrze mógłby połamać jej rękę, gdyby pojawiła się w środku nocy, mając do opowiedzenia tylko tę złowieszczo brzmiącą historię. Te kilka słów, które wywiedziała, wystarczyło, żeby zabić nadzieję, że to było tylko nieporozumienie – i nie chciałem już słyszeć nic więcej. Im szybciej zdołałem się jej pozbyć, tym lepiej. Gdybym nie zobaczył się z Yeamonem w mieście następnego dnia, postanowiłem pojechać do jego domu po pracy.

Dziewczyna w końcu przestała płakać i zasnęła. Siedziałem przy oknie i czytałem przez kilka godzin, sącząc rum, aż zachciało mi się spać. Przesunąłem ją na jedną stronę łóżka, a sam bardzo ostrożnie położyłem się obok.

Kiedy następnego ranka obudziłem się, Chenault była już w kuchni.

– Teraz moja kolej, żeby coś zrobić – powiedziała z promiennym uśmiechem. – Siedz spokojnie i pozwól mi się obsłużyć.

Najpierw przyniosła szklankę soku pomarańczowego, a potem ogromny omlet, i oboje jedliśmy, siedząc na łóżku. Wydawało się, że jest rozluźniona. Zapowiadała, że wysprząta całe mieszkanie, zanim wrócę z pracy. Wcześniej zamierzałem ją poinformować, że mam zamiar zobaczyć się z Yeamonem i pozbyć się jej przed zmrokiem, ale teraz na samą myśl, że mógłbym coś takiego powiedzieć, poczułem się jak ogr. Co mi tam, zastanawiałem się. Nie ma sensu jej mówić – po prostu tak zrobię.

Przyniosła kawę na niewielkiej tacy.

– Jak wypijemy, pójde pod prysznic – powiedziała. – Masz coś przeciwko temu?

Roześmiałem się.

– Tak, Chenault, zabraniam ci korzystać z prysznica.

Uśmiechnęła się, a kiedy skończyła pić, poszła do łazienki i usłyszałem, jak puszcza wodę. Poszedłem do kuchni dolać sobie kawy. Czułem się trochę nieprzyzwoicie, mając na sobie tylko bokserki, więc postanowiłem się ubrać, zanim wyjdzie spod prysznica. Najpierw zszedłem na dół po gazetę. Kiedy wracałem, z łazienki dobiegł jej głos:

– Paul, możesz przyjść na chwilę?

Poszedłem i otworzyłem drzwi, myśląc, że zasłoniła zasłonkę. Nie zrobiła tego i przywitała mnie z wielkim uśmiechem.

– Znowu czuję się jak człowiek! – wykrzyknęła. – Czyż nie jestem piękna?

Wyszła spod strumienia wody i stanęła naprzeciw mnie, unosząc ramiona jak modelka demonstrująca jakiś nowy i niezwykły rodzaj mydła. W jej postawie było tyle samouwielbienia nimfetki, że nie mogłem się nie roześmiać.

– Chodź do wody – powiedziała wesoło. – Tu jest wspaniale!

Przestałem się śmiać i nastąpiła dziwna cisza. Usłyszałem gdzieś z tyłu głowy dźwięk gongu i melodramatyczny głos, który mówił: „I tu kończą się »Przygody Paula Kempa, pijanego dziennikarza«. Czytał znaki i wiedział, że to nadchodzi, ale zbyt wielkim był rozpustnikiem, by w porę zejść z drogi”. Potem była muzyka organowa, coś na kształt gorączkowej pieśni żałobnej, a potem zdjąłem bokserki i wszedłem pod prysznic z Chenault. Pamiętam uczucie, jak jej namydlone, małe dłonie myją moje plecy. Trzymałem oczy mocno zaciśnięte, podczas gdy moja dusza toczyła beznadziejną walkę z moimi lędźwiami, a potem poddałem się jak tonący człowiek i nasze nagie ciała zmoczyły łóżko.

Kiedy wreszcie wyszedłem do pracy, wciąż leżała ze spokojnym uśmiechem na twarzy, nadal mokra od prysznica. Przez całą drogę do San Juan prowadziłem na oślep, mamrocząc i potrząsając głową jak człowiek, którego po długiej walce osaczono.

Kiedy dotarłem do gazety, znalazłem na swoim biurku dwa przedmioty: jednym była książeczka zatytułowana *72 niez-*

wodne sposoby na dobrą zabawę, a drugim liścik informujący mnie, że mam zadzwonić do Sandersona.

Zapytałem Schwartza, czy nie ma jakichś zleceń. Zaprzeczył, więc wyszedłem na kawę, pokonując kilka przecznic w kierunku nabrzeża, by uniknąć spotkania Sali. Poza tym spodziewałem się, że Yeamon lada chwila wpadnie do redakcji. Potrzebowałem trochę czasu, żeby się uspokoić, ale ostatecznie zadecydowałem, że ten poranek w ogóle się nie wydarzył. Nic się nie zmieniło. Zobaczę się z Yeamonem i pozbędę dziewczyny. Jeśli nie przyjedzie do miasta, pojedę do niego po pracy.

Kiedy uspokoiłem się na tyle, by odzyskać panowanie nad sobą, wróciłem do redakcji. O wpół do trzeciej miałem jechać do Caribé na spotkanie z jednym z kongresmanów w sprawie antykomunistycznego śledztwa. Pojechałem tam i rozmawiałem z nim przez dwie godziny. Piliśmy rumowy poncz na tarasie, a kiedy wychodziłem, podziękował mi za „wartościowe informacje”, których mu udzieliłem.

– Panie senatorze – odpowiedziałem. – Dziękuję za opowieść, będzie świetny artykuł.

Kiedy wróciłem do biura, miałem duże kłopoty, żeby wycisnąć z całej rozmowy cztery akapity.

Potem zadzwoniłem do Sandersona.

– Jak ci idzie z tą broszurą? – zapytał.

– O Jezu – mruknąłem.

– Cholera, Paul, obiecałeś mi, że w tym tygodniu dostarczysz pierwszy szkic! Jesteś gorszy niż ten twój kolega Yeamon.

– Dobrze – powiedziałem ze znużeniem. – W tej chwili jestem w wariackiej sytuacji, Hal. Dostarczę ci tekst w ten weekend, może w poniedziałek.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nieważne – odparłem. – Dziś do wieczora powinienem mieć to z głowy... Potem zajmę się broszurą, dobrze?

Gdy tylko odłożyłem słuchawkę, Schwartz wezwał mnie do swojego biurka.

– Duży wypadek na Bayamon Road – rzekł, wręczając mi odręcznie zabazgraną stronicę. – Sali nie ma w pobliżu, umiesz obsługiwać aparat?

– Jasne – powiedziałem. – Wezmę z ciemni kilka Nikonów.

– Dobry pomysł, weź wszystkie.

Pędziłem Bayamon Road, aż nie ujrzałem migających, czerwonych świateł stojącej karetki. Dotarłem w ostatniej chwili, by zrobić zdjęcie jednego z ciał, leżące w piasku obok przewróconej ciężarówki wiozącej warzywa. Z jakiegoś nikomu nieznanego powodu gwałtownie zjechała ze swojego pasa i zderzyła się czołowo z autobusem. Zadałem kilka pytań, porozmawiałem chwilę z policjantami i popędziłem do redakcji, żeby napisać artykuł. Moje palce wściekle uderzały w klawisze maszyny, chciałem skończyć ten cholerny tekst jak najszybciej i wyjść, żeby wreszcie...

Nagle zdałem sobie sprawę, że wcale nie wybieram się do Yeamona. Spieszyłem się, bo przez cały dzień nie mogłem się doczekać powrotu do mojego mieszkania. Cały dzień na to czekałem i teraz, gdy popołudnie miało się ku końcowi, jęczałem w duchu, czując, jak prawda wypływa na światło dzienne i zagląda mi prosto w twarz.

Oddałem artykuł i schodziłem do samochodu, myśląc, że pewnie powinienem sprawdzić, czy Yeamona nie ma u Ala. Jednak siła, która ciągnęła mnie do mojego mieszkania, była wielka i potężna. Ruszyłem w kierunku Ala, ale nagle skręciłem w stronę Condado i próbowałem nie myśleć o niczym, dopóki nie zaparkowałem przed swoim mieszkaniem.

Chenault miała na sobie jedną z moich koszul, wisiąca na niej jak krótka koszulka nocna. Uśmiechnęła się radośnie, kiedy wszedłem, i wstała z łóżka, żeby zrobić mi drinka. Koszulka lubieżnie powiewała dokoła jej ud, gdy sprężystym krokiem wchodziła do kuchni.

Zostałem pokonany. Przez pewien czas przemierzałem nerwowo mieszkanie, ledwo słysząc jej radosną paplaninę, potem całkowicie się poddałem, podszedłem do łóżka i zdjąłem

ubranie. Rzuciłem się na nią z taką gwałtownością, że uśmiech szybko zniknął z jej warg i sprawa stała się rozpaczliwa. Wierzała nogami w powietrzu, krzyczała i wyginała plecy, i wciąż próbowała, gdy eksplodowałem wewnątrz niej i padłem całkowicie wycieńczony. Wreszcie poddała się, objęła moje uda nogami i szyję rękami, i zaczęła płakać.

Oparłem się na łokciach i spojrzałem na nią.

– Co się stało? – spytałem.

– Nie mogę – powiedziała przez łzy. – Jestem tak blisko, ale nie mogę.

Przyglądałem się jej przez moment, zastanawiając się, co powinienem powiedzieć, wreszcie położyłem głowę na łóżku i jęknąłem. Leżeliśmy tak przez dłuższy czas. Potem wstaliśmy i ona gotowała obiad, a ja czytałem „Miami Herald”.

Następnego ranka pojechałem do Yeamona. Nie wiedziałem dokładnie, co mu powiem, choć wciąż myślałem o złych cechach jego charakteru, żeby móc go okłamywać bez poczucia winy. Ale trudno było mi wmówić sobie, że na końcu drogi czeka na mnie kawał sukinsyna. Gorące, spokojne piękno oceanu, piasek i złotozielone palmy kompletnie wyprowadziły mnie z równowagi, więc gdy podjeżdżałem pod jego dom, czułem się jak podły intruz.

Siedział nago na patio, pił kawę i czytał książkę. Zaparkowałem niedaleko domu i wysiadłem. Odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

– Jaki wynik?

– Chenault wróciła – powiedziałem. – Jest w moim mieszkaniu.

– Kiedy?

– Wczoraj... Chciałem ją przywieźć od razu, ale pomyślałem, że najpierw z tobą pogadam.

– Co się stało? – zapytał. – Zdradziła ci wszystko?

– Tylko fragmenty. Nie brzmiało to dobrze.

Wciąż wpatrywał się we mnie.

– No i co zamierza zrobić?

– Nie wiem – powiedziałem, czując się coraz bardziej nie-swojo. – Chcesz, żebym ją tu przywiózł?

Na moment spojrział na morze, potem znów na mnie.

– Nie, do cholery! – warknął. – Jest twoja... z moimi pozdrowieniami.

– Daj spokój – powiedziałem. – Po prostu zjawiała się u mnie w mieszkaniu... była w złym stanie.

– A kogo to obchodzi?

– Cóż – powiedziałem wolno. – Chce, żebym wziął jej ubrania.

– Jasne – powiedział, wstając z fotela. Wszedł do chaty i zaczął wyrzucać przez drzwi jej rzeczy. Były to przede wszystkim ubrania, ale zdarzały się lusterka, pudełeczka i szklane przedmioty, które rozbijały się o patio.

Podszedłem do drzwi.

– Spokojnie! – krzyknąłem. – Co ci jest, do cholery?!

Wyszedł z walizką w ręku i rzucił ją w kierunku samochodu.

– Wynos się stąd, do cholery! – wrzasnął. – Stanowicie świetną parę, ty i ta dziwka!

Ubrania leżały bezładnie na ulicy. Załadowałem je do samochodu, a on tylko się przyglądał. Kiedy wszystko spakowałem, otworzyłem drzwi i wsiałem.

– Zadzwoń do mnie do redakcji – powiedziałem. – Ale dopiero jak się uspokoisz. I tak mam wystarczająco dużo problemów.

Sporunował mnie wzrokiem, więc szybko wycofałem samochód na drogę. Było dokładnie tak źle, jak się spodziewałem, i chciałem uciec, zanim zrobi się jeszcze gorzej. Wcisnąłem gaz do dechy i samochodzik odbijał się od wzniesień jak jeep, wznosząc za sobą tuman kurzu. Dochodziło południe i słońce grzało niemiłosiernie. Morze wtaczało się na wydmy, a znad bagien unosiła się lepka mgiełka, która paliła mnie w oczy i przysłaniała słońce. Przejechałem obok Colmado de Jesús Lopo i zobaczyłem starego, jak stał oparty o ladę i patrzył

na mnie, jakby dokładnie znał całą historię i w ogóle nie był zaskoczony.

Kiedy wróciłem do mieszkania, Chenault myła naczynia. Spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się, gdy wchodziłem.

– Wróciłeś – odezwała się. – Nie byłam pewna, czy ci się uda.

– Nie był zadowolony – powiedziałem, rzucając na łóżko ładunek jej ubrań.

Roześmiała się, ale smutno i poczułem się jeszcze gorzej.

– Biedny Fritz – westchnęła. – Nigdy nie dorośnie.

– Tak – przytaknąłem. Potem wróciłem do samochodu po resztę ubrań.

Następnego ranka po drodze do pracy wpadłem do Ala i spotkałem na patio Salę. Pił piwo i przeglądał najnowsze wydanie „Life en Español”. Wziąłem z kuchni dzban rumu z lodem i podszedłem do jego stolika.

– Są tam? – zapytałem, wskazując głową magazyn.

– Jasne, że nie ma – burknął. – Nigdy ich nie zamieszczą. Sanderson mówił mi, że miały pójść zeszłej jesieni.

– I co z tego? Dostałeś pieniądze.

Odrzucił magazyn i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– To nie najważniejsze – powiedział. – Pieniądze mogą dostać kiedykolwiek.

Siedzieliśmy chwilę w ciszy, po czym spojrzał na mnie.

– Ech, to gówniane miejsce, Kemp, najbardziej gówniane, jakie kiedykolwiek widziałem. – Sięgnął do kieszeni koszuli po papierosa. – Tak, chyba nadszedł czas, żeby stary Robert wziął dupę w troki.

Uśmiechnąłem się.

– Nie, długo to już nie potrwa – powiedział. – Lotterman wraca dziś i nie będę zaskoczony, jeśli zamknie gazetę do północy. – Pokiwał głową. – Jak tylko rozdadzą czeki, biegnę do banku, żeby zrealizować swój.

– Nie wiem – odparłem. – Schwartz powiedział, że dostał pieniądze.

Potrząsnął głową.

– Biedny Schwartz, będzie nadal przychodził do pracy, gdy zamienią redakcję w kręgielnię – zachichotał. – A czemu nie? Pałac Kręgli El Czołówka, z Mobergiem jako barmanem. Może zatrudnią Schwartza w reklamie?

Krzyknął w kierunku kuchni, żeby przynieśli dwa piwa i spojrzał na mnie pytająco. Kiwnąłem głową.

– Cztery! – wrzasnął. – I włączcie w końcu tę cholerną klimatyzację!

Znow opadł na fotel.

– Muszę się stąd wydostać. Znam parę osób w Mexico City... możliwe, że spróbuję. – Wyszczrzył zęby. – Wiem, że w każdym razie mają tam kobiety.

– Cholera – powiedziałem. – Kobiet jest pełno dookoła, trzeba tylko ruszyć dupę.

Spojrzał na mnie.

– Kemp, sądzę, że jesteś dziwkarz.

Roześmiałem się.

– Dlaczego?

– Dlaczego! – wykrzyknął. – Pojąłem twoje podstępne zwyczaje, Kemp. Cały czas to podejrzewałem... a teraz wywabieś tę dziewczynę od Yeamona.

– Co?! – wykrzyknąłem.

– Nie zaprzeczaj. Był tu dziś rano i opowiedział mi całą tę ciemną historię.

– Ty sukinsynu! Chenault po prostu zjawiła się u mnie w mieszkaniu. Nie miała dokąd pójść.

Uśmiechnął się szeroko.

– Mogła wprowadzić się do mnie... przynajmniej jestem przyzwoity.

Prychnąłem.

– Chryste, ty byś ją wykończył.

– Rozumiem, że sypiasz na podłodze – odparł. – Znam to mieszkanie, Kemp. Wiem, że jest tam tylko jedno łóżko. Nie wciskaj mi tu chrześcijańskich bredni.

– Przestań pieprzyć – powiedziałem. – Taki z ciebie wygłodiały sukinsyn, że nie ma sensu niczego ci mówić.

Roześmiał się.

– Uspokój się, Kemp, wpadasz w histerię... Wiem, że nie tknąłbyś tej dziewczyny, nie jesteś taki. – Roześmiał się raz jeszcze i zamówił następne cztery piwa.

– Dla twojej wiadomości – powiedziałem. – Odsyłam ją do Nowego Jorku.

– Pewnie to najlepsze rozwiązanie – odparł. – Dziewczyna uciekająca z bandą buszmenów to nie najlepsza partia.

– Mówiłem ci, co tam się stało. Z nikim nie uciekła.

Potrząsnął głową.

– Daj spokój – powiedział ze znużeniem. – I tak mnie to nie obchodzi. Rób, co chcesz. Mam własne problemy.

Przyniesiono piwo, a ja spojrzałem na zegarek.

– Dochodzi południe – oznajmiłem. – Nie planujesz iść do pracy?

– Pójdę, jak będę wystarczająco pijany – odparł. – Wypij jeszcze jedno piwo – w poniedziałek wszystkich nas już tu nie będzie.

Piliśmy bez przerwy przez trzy godziny, a potem pojechaliśmy do redakcji. Lotterman wrócił, ale gdzieś wyszedł. Zjawił się wreszcie koło piątej i zwołał nas wszystkich na środku pokoju. Potem wspiął się na biurko.

– Panowie – powiedział. – Z pewnością ucieszy was wiadomość, że ten cholerny, nic niewarty Segarra wreszcie odszedł. Był najgorszym dekonnikiem, jaki kiedykolwiek tu pracował, a poza tym był pedałem. Teraz, gdy już go nie ma, myślę, że będzie dobrze.

Rozległo się kilka chichotów, potem cisza.

– To jeszcze nie wszystkie dobre wieści – ciągnął, uśmiechając się od ucha do ucha. – Sądzę, że wszyscy wiedzą, że gazeta nie zarabiała ostatnimi czasy wielkich pieniędzy... i dzięki Bogu, nie musimy się już o to martwić! – przerwał i rozejrzał się dookoła. – Myślę, że wszyscy słyszeliście o Danielu

Steinie. To mój stary znajomy, a od poniedziałku... współwłaściciel gazety. – Uśmiechnął się. – Wszedłem do jego biura i powiedziałem: „Dan, chcę utrzymać moją gazetę przy życiu”, a on na to: „Ed, ile ci potrzeba?”, i oto cała historia. Jego prawnicy szykują dokumenty, w poniedziałek mają być gotowe do podpisu. – Poruszył się nerwowo na biurku i ponownie uśmiechnął. – Wiem, chłopcy, że spodziewaliście się dostać wypłaty już dziś, i nie chcę wam przeszkadzać w świętowaniu weekendu, ale zgodnie z moją umową z Danem nie mogę wydać wam żadnych czeków, zanim nie podpiszę tych papierów... więc dostaniecie pieniądze dopiero w poniedziałek. – Szybko pokiwał głową. – Oczywiście jeśli ktoś potrzebuje kilku dolców, żeby przetrwać do tego czasu, niech wali do mnie po pożyczkę. Nie chcę przecież, chłopcy, żebyście byli przeze mnie spragnieni.

Nastąpiła kaskada śmiechu, a potem usłyszałem głos Sali dobiegający gdzieś z drugiej strony pomieszczenia.

– Słyszałem o tym facecie, tym Steinie – powiedział. – Jesteś pewien, że nie zawali?

Lotterman zbył pytanie machnięciem ręki.

– Oczywiście, że jestem pewien, Bob. Dan i ja to starzy znajomi.

– Cóż – odparł Sala. – Mam przed sobą trudny weekend i jeśli to ci nie robi różnicy, wolałbym pożyczyc całą wypłatę od razu, wtedy nie będziesz musiał mi nic dawać w poniedziałek.

Lotterman spojrział na niego.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Bob?

– Mówię najprościej, jak się da – odparł Sala. – Chcę tylko, żebyś pożyczyc mi sto dwadzieścia pięć dolarów do poniedziałku.

– To niedorzeczne! – krzyknął Lotterman.

– Niedorzeczne jak niedorzeczne – odparł Sala. – Pracowałem w Miami, pamiętasz? Znam Steina. Został skazany za malwersacje. – Zapalił papierosa. – A poza tym, w poniedziałek może mnie już tu nie być.

– Co masz na myśli?! – wrzasnął Lotterman. – Chyba nie zamierzasz odejść?!

– Tego nie powiedziałem – odparł Sala.

– Słuchaj, Bob! – krzyknął Lotterman. – Nie wiem, co chcesz osiągnąć, mówiąc mi, że może odejdziesz, a może nie! Za kogo ty się masz?!

Sala uśmiechnął się mgliście.

– Nie krzycz, Ed. To wprowadza nerwową atmosferę. Prosiłem o pożyczkę, to wszystko.

Lotterman zeskoczył z biurka.

– Możemy o tym porozmawiać w moim biurze – powiedział przez ramię. – Kemp, ciebie chcę widzieć następnego. – Pomachał ręką w powietrzu. – To wszystko, chłopcy, wracamy do pracy.

Sala poszedł za nim do biura. Pozostałem na miejscu i usłyszałem, jak Schwartz mówi:

– To straszne... Nie wiem już, w co wierzyć.

– W najgorsze – odparłem.

Podbiegł do nas Moberg.

– On nie może tego zrobić! – krzyknął. – Żadnej pensji, żadnej odprawy... Tego się nie da wytrzymać!

Drzwi gabinetu Lottermana otworzyły się i wyszedł Sala, wyglądający na bardzo nieszczęśliwego. Lotterman pojawił się zaraz potem i przywołał mnie do siebie. Poczekał, aż wejść do środka, i zamknął za nami drzwi.

– Paul – powiedział. – Co ja mam zrobić z takimi ludźmi?

Spojrzałem na niego, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Znalazłem się w opałach – powiedział. – Jesteś jedynym, z którym mogę pogadać. Pozostali to sępy.

– Dlaczego ja? – spytałem. – Jestem skończonym sępem.

– Nie, to nieprawda – powiedział szybko. – Jesteś leniwy, ale nie jesteś sępem... nie jak ten śmierdziel Sala! – charczał gniewnie. – Słyszałeś te bzdury, które mi wciskał? Słyszałeś kiedyś coś takiego?

Wzruszyłem ramionami.

– Cóż...

– Dlatego chcę pogadać z tobą – powiedział. – Muszę sobie poradzić z tymi facetami. Mamy duże problemy... ten Stein przyparł mnie do muru. – Spojrzał na mnie i pokiwał głową. – Jeśli nie uda mi się wprowadzić gazety z powrotem na właściwe tory, zamknie ją i sprzeda na złom. Pójdę do więzienia dla dłużników.

– Brzmi nieciekawie.

Roześmiał się bezbarwnie.

– Nie wiesz nawet połowy. – Jego głos stał się szczerzy i pełen determinacji. – Chcę, żebyś uświadomił chłopakom, że trzeba się wziąć w garść. Chcę, żebyś im powiedział, że musimy wszyscy działać wspólnie albo zatoniemy.

– Zatoniemy? – spytałem.

Przytaknął stanowczo.

– Widzę, że załapałeś.

– Cóż – powiedziałem powoli. – To dość przerażająca propozycja, jak myślisz, co Sala by powiedział, gdybym tam poszedł i powiedział mu, że w „Daily News” mają teraz do wyboru wóz albo przewóz? – zawahałem się. – Albo Schwartz, albo Vanderwicz – nawet Moberg.

Wbił wzrok w blat biurka.

– Tak – powiedział w końcu. – Myślę, że wszyscy mogą uciec... jak Segarra. – Walnął pięścią w stół. – Ten śliski zboczeniec! Nie dość, że po prostu odszedł... rozgłosił to po całym San Juan! Ze wszystkich stron słyszałem, że gazeta zbankrutuje. Dlatego musiałem jechać do Miami... Nie mogę pożyczyć ani centa w tym mieście. Ten zakłamaný gad rżnie mnie za moimi plecami.

Kusiło mnie, by go zapytać, dlaczego w ogóle zatrudnił Segarrę albo dlaczego wydawał gazetę piątej kategorii, gdy mógł chociaż spróbować wydawać dobrą. Nagle miałem dosyć Lottermana – był fałszywy i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Wciąż paplał o wolności prasy i trzymaniu gazety przy życiu, ale gdyby miał milion dolarów i tyle wolności, ile mu się podoobało, nadal kierowałby bezwartościową gazetą, bo nie był wystarczająco inteligentny, by prowadzić dobrą. Był tylko kolej-

nym małym, hałaśliwym gnojkiem z wielkiego legionu małych, hałaśliwych gnojków, którzy maszerują między sztandarami większych i lepszych ludzi. Wolność, prawda, honor – można wysmażyć setkę takich słów, a pod każdym z nich podpisałoby się z tysiąc gnojków, napuszonych pierdzieli, w jednej ręce dzierzących sztandar, a drugą sięgających pod stół.

Wstałem.

– Ed – powiedziałem, po raz pierwszy nazywając go po imieniu. – Sądzę, że odejdę.

Spojrzał na mnie, jego twarz była blada.

– Tak, wróćę w poniedziałek po czek, a potem myślę, że trochę odpocznę.

Wyskoczył z fotela i rzucił się w moim kierunku.

– Ty tani uniwersytecki sukinsynu! – krzyknął. – Dość już tolerowania twojej arogancji! – Popchnął mnie w kierunku drzwi. – Już tu nie pracujesz! – wrzasnął. – Wynoś się z budynku, zanim każę cię zamknąć! – Wypchnął mnie do newsroomu, potem wrócił do gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Poszedłem do swojego biurka i zacząłem się śmiać, a Sala zapytał mnie, co się stało.

– Kompletnie zbzikował – odparłem. – Powiedziałem mu, że odchodzę, a on stracił panowanie nad sobą.

– Cóż – powiedział Sala. – I tak wszystko skończone. Obiecał mi miesięczną pensję, gdybym rozgłosił, że wyrzucił Segarrę, bo był pedałem. Powiedział, że zapłaci z własnej kieszeni, jeśli Stein się nie wywiąże.

– Skąpy sukinsyn, mnie nie zaproponował ani centa. – Roześmiałem się. – Oczywiście gadał, jakby był gotów dać mi pracę Segarry... do poniedziałku.

– Tak, poniedziałek to ten dzień – powiedział. – Będzie nam musiał zapłacić, jeśli chce wydawać gazetę. – Pokręcił głową. – Ale nie sądzę, że chce... Myślę, że sprzedał się Steinowi.

Parsknął.

– I co z tego? Jeśli nie może zapłacić ludziom, jest skończony, nieważne, czego chce. Wiem jedno, jeśli nie dostanę w ponie-

działek mojego czeku, będzie prowadził najbardziej bezbarwną gazetę na całej zachodniej półkuli. Jutro rano tu przyjdę i wyczyszczę całą bibliotekę zdjęć... jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent należy do mnie.

– O tak – powiedziałem. – Porwij je dla okupu. – Potem się uśmiechnąłem. – Oczywiście, gdyby się postarał, wsadziliby cię za kradzież mienia o dużej wartości... Mógłby sobie nawet przypomnieć o twojej tysiąc dolarowej kaucji.

Potrząsnął głową.

– Jezus, wciąż o niej zapominam... Myślisz, że naprawdę zapłacili?

– Nie wiem – powiedziałem. – Pewnie jest spora szansa, że odzyskał pieniądze, ale nie chciałbym musieć na to liczyć.

– Ech, do diabła z tym – odrzekł. – Jedźmy do Ala.

Była gorąca, parna noc i miałem ochotę spić się w trupa. Byliśmy w barze około godziny, wychylając kieliszki w niezłym tempie, kiedy do środka wtoczył się Donovan. Całe popołudnie spędził na turnieju golfowym i właśnie usłyszał wieści.

– Święta matko wszystkich sukinsynów! – wrzasnął. – Wróciłem do gazety i nie było tam nikogo, prócz Schwartz, który zapracowywał się po samą dupę. – Zwalił się na krzesło. – Co się stało... już po nas?

– Owszem – przytaknąłem. – Jesteś skończony.

Pokiwał głową z powagą.

– Wciąż mam termin – powiedział. – Muszę skończyć rubrykę sportową. – Ruszył w kierunku ulicy. – Wrócę za godzinę – zapewnił nas. – Wystarczy, że napiszę ten artykuł o turnieju. Niech diabli wezmą resztę... Wstawię komiks na całą stronę.

Sala i ja piliśmy dalej, a kiedy Donovan wrócił, przyspieszyliśmy tempo. Do północy wszyscy zdążyliśmy się porządnie upić i zacząłem marzyć o Chenault. Pomyślałem jeszcze z godzinę, po czym wstałem i oznajmiłem, że idę do domu.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w Condado i kupiłem butelkę rumu. Kiedy wróciłem do mieszkania, siedziała na łóżku, czytając *Jądro ciemności*, nadal ubrana w tę samą koszulę.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i poszedłem do kuchni zrobić sobie drinka.

– Obudź się i pomyśl o przyszłości – powiedziałem przez ramię. – Odszedłem dziś z pracy, a jakieś dwie minuty później mnie wylali.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– Nie będzie więcej pieniędzy?

– Nie będzie więcej niczego – odparłem, napełniając dwie szklanki rumem. – Robię porządki. Mam tego dość.

– Dość czego? – spytała.

Zaniosłem jednego drinka do łóżka.

– Proszę – powiedziałem. – Oto jedna z tych rzeczy, których mam dość. – Wepchnąłem jej szklankę do ręki i wyjrzałem przez okno na ulicę. – Mam dość bycia gnojkiem, człowiekiem-podnawką – stłumiłem śmiech. – Słyszałaś o podnawkach?

Potrząsnęła głową.

– Mają na brzuchach małe przyssawki – powiedziałem. – I przyczepiają się do rekinów... Kiedy rekin zje coś dobrego, one dostają resztki.

Zachichotała i pociągnęła łyk drinka.

– Nieśmiej się – warknąłem. – Jesteś dowodem numer jeden... najpierw Yeamon, potem ja. – To było podłe, ale wpadłem we wściekłość i nie obchodziło mnie to. – Cholera, sam nie jestem lepszy. Jeśli ktoś by do mnie podszedł i zapytał: „Niech pan mi powie, panie Kemp, jaki ma pan zawód?”, odpowiedziałbym: „Cóż, widzi pan, pływam w mętnych wodach i szukam czegoś dużego i groźnego, by się do niego przyczepić... dobrego żywiciela, że tak powiem, czegoś z dużymi zębami i małym żołądkiem” – roześmiałem się. – To właśnie kombinacja, której szuka podnawka! Za wszelką cenę unikaj dużego żołądka!

Spojrzała na mnie, ze smutkiem potrząsając głową.

– Właśnie tak! – krzyknąłem. – Jestem pijany i nienormalny... i nie ma już dla mnie nadziei, czy tak? – Zatrzymałem się i spojrzałem na nią. – Dla ciebie też nie ma za dużo nadziei, na Boga. Jesteś tak cholernie głupia, że nie poznasz podnawki, nawet gdyby

ktos podsunął ci ją przed nos! – Znow zacząłem chodzić po pokoju. – Rzuciłaś jedyną osobę w okolicy, która nie ma przyssawek na brzuchu, i chwyciłaś się mnie. Spośród wszystkich ludzi wybrałaś właśnie mnie! – Potrząsnąłem głową. – Chryste, przecież ja mam przyssawki na całym ciele. Tak długo żywiłem się resztkami, że już nawet nie wiem, jak wygląda normalne jedzenie!

Płakała już na dobre, ale nie kończyłem.

– I co teraz zrobisz, Chenault?! Co zrobisz? – Wróciłem do kuchni po następnego drinka. – Lepiej zacznij się zastanawiać – powiedziałem. – Twoje dni tutaj są policzone... chyba, że chcesz płacić za mieszkanie, jak odejść.

Płakała nadal, a ja znow podszedłem do okna.

– Nie ma nadziei dla starej podnawki – mruknąłem, nagle czując wielkie zmęczenie. Pochodziłem jeszcze chwilę, potem podszedłem do łóżka i usiadłem.

Przestała płakać i usiadła, opierając się na łokciu.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała.

– Nie wiem – odparłem. – Pewnie w przyszłym tygodniu.

– Dokąd?

– Nie wiem... w jakieś nowe miejsce.

Milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

– Cóż, ja chyba wrócę do Nowego Jorku.

Wzruszyłem ramionami.

– Kupię ci bilet. Nie stać mnie, ale co tam.

– Nie musisz – powiedziała. – Mam pieniądze.

Wlepiłem w nią wzrok.

– Myślałem, że nie mogłaś nawet wrócić z St. Thomas.

– Wtedy nie miałam – powiedziała. – Były w tej walizce, którą przywoziłeś od Fritza. Schowałam je, żeby coś nam zostało.

– Uśmiechnęła się słabo. – To tylko sto dolarów.

– Cholera – powiedziałem. – Będziesz ich potrzebowała, jak wrócisz do Nowego Jorku.

– Nie, nie będę – odparła. – Zostanie mi pięćdziesiąt i... – zawahała się. – I myślę, że pojedę na pewien czas do domu. Moi rodzice mieszkają w Connecticut.

– Cóż – powiedziałem. – To chyba dobrze.

Pochyliła się i oparła głowę o moją pierś.

– To okropne – powiedziała przez łzy. – Ale nie wiem, dokąd jeszcze mogłabym pójść.

Objąłem ją ramieniem. Ja też nie wiedziałem, dokąd ma pójść i dlaczego, ani co miałyby robić, gdy dotrze do celu.

– Mogę tu zostać, dopóki nie wyjedziesz? – zapytała.

Przyciągnąłem ją mocniej do siebie.

– Jasne – powiedziałem. – Jeśli sądzisz, że wytrzymasz ze mną.

– Co wytrzymam?

Uśmiechnąłem się i wstałem.

– Szaleństwo – powiedziałem. – Czy masz coś przeciw temu, żebym się rozebrał i upił?

Zachichotała.

– A ja też mogę?

– Jasne – powiedziałem, zdejmując ubranie. – Czemu nie?

Nalałem nowe drinki i przyniosłem butelkę do stolika przy łóżku. Potem włączyłem wentylator i zgasilem światła. Piliśmy drinki. Wyciągnąłem się na poduszkach, a ona położyła głowę na mojej piersi. Panowała cisza tak idealna, że miałem wrażenie, że pobrzękiwanie kostek lodu w mojej szklance słychać na ulicy. Księżyc świecił jasno przez frontowe okno, a ja przypatrywałem się twarzy Chenault, zastanawiając się, jak może wyglądać na tak spokojną i zadowoloną.

Po chwili sięgnąłem do stolika i znów napełniłem szklankę. Byłem niezdarzy i rozlałem sobie trochę rumu na brzuch, a ona pochyliła się, by go zlizać. Dotknięcie jej języka sprawiło, że przeszły mnie dreszcze. Po chwili namysłu znów podniosłem butelkę i wylałem sobie odrobinę rumu na nogę. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, jakbym zrobił jakiś dziwaczny żart, a potem schyliła się i dokładnie zliżała cały rum.

Następnego ranka obudziliśmy się wcześniej. Pojechałem do hotelu po gazety, podczas gdy Chenault brała prysznic. Kupiłem „Timesa” i „Tribune”, żebyśmy oboje mieli co czytać, a potem, po namyśle, wziąłem też dwa egzemplarze ostatniego – jak sądziłem – numeru „San Juan Daily News”. Jeden chciałem zatrzymać sobie na pamiątkę.

Zjedliśmy śniadanie przy stoliku przy oknie, a potem piliśmy kawę i czytaliśmy gazety. Tego poranka po raz pierwszy w moim mieszkaniu poczułem spokój, a gdy zdałem sobie z tego sprawę, zrobiło mi się głupio, bo przecież właśnie po to się tutaj wprowadziłem. Leżałem na łóżku, paliłem, słuchałem radia, a Chenault zmywała naczynia. Wiała rześka bryza i kiedy wyjrzałem przez okno, przez gałęzie drzew i ponad krytymi czerwoną dachówką dachami wyraźnie widziałem wszystko aż po horyzont.

Chenault znów miała na sobie moją koszulę, a ja obserwowałem, jak podskakuje i powiewa dokoła jej ud, gdy chodziła po kuchni. Po chwili wstałem i podkradłem się do niej, podniosłem koszulę i chwyciłem jej tyłek obiema rękami. Pисnęła i odwróciła się, potem padła na mnie ze śmiechem. Objąłem ją i z uśmiechem przerzuciłem tył koszuli nad jej głową. Staliśmy przez chwilę, kołysząc się delikatnie, a potem przenieśliśmy ją na łóżko, gdzie kochaliśmy się bardzo cicho.

Opuściłem mieszkanie późnym rankiem, ale słońce grzało już tak mocno, jak po południu. Jadąc wzdłuż plaży, przypomniałem sobie, jak bardzo lubiłem poranki, kiedy przyjechałem do San Juan. Jest coś świeżego i rześkiego w pierwszych godzinach karaibskiego dnia, radosna zapowiedź tego, że coś może się lada chwila zdarzyć, może po drugiej stronie ulicy albo za następnym zakrętem. Kiedykolwiek wspominam te kilka miesięcy i próbuję oddzielić dobre chwile od złych, przypominam sobie dni, kiedy miałem poranne zlecenia – gdy pożyczałem samochód Sali i jechałem na najwyższych obrotach przez długi, wysadzany wielkimi drzewami bulwar. Pamiętam to uczucie – drżenie wibrującego samochodu i nagłe ciepło słońca na mojej twarzy, gdy wypadałem z cienia w płamę światła; pamiętam biel mojej koszuli i odgłos jedwabnego krawata powiewającego wokół mojej głowy na wietrze, zawodny pedał gazu i nagłą zmianę pasa, kiedy trzeba było wyprzedzić ciężarówkę i zdążyć przed czerwonym światłem.

Potem na porośnięty palmami podjazd, nagłe hamowanie, wystawić w oknie legitymację prasową i zostawić samochód w najbliższej strefie zabronionego parkowania. Szybko do lobby, wkładając marynarkę od mojego nowego, czarnego garnituru, machając aparatem w oczekiwaniu, aż przypochlebny recepcjonista zadzwoni do mojego człowieka, by potwierdzić spotkanie. Potem w górę miękką windą do apartamentu – wyławne powitanie, sztywna rozmowa i czarna kawa ze srebrnego dzbanka, kilka szybkich zdjęć na balkonie, uścisk ręki z nieodłącznym uśmiechem, potem winda w dół i z powrotem do samochodu.

W drodze powrotnej do biura, z kieszenią pełną notatek, zatrzymywałem się w jednej z restauracji na wolnym powietrzu na klubową kanapkę i piwo; siadałem w cieniu, by poczytać gazety i rozmyślać nad szaleństwem wiadomości, albo po prostu opierałem się wygodnie i z lubieżnym uśmiechem obserwowałem prężące się pod jasnym materiałem piersi, próbując zgadnąć, na ilu z nich uda mi się położyć ręce przed końcem tygodnia.

To były dobre poranki, kiedy słońce przygrzewało mocno, a powietrze było przejrzyste i obiecujące, kiedy Prawdziwe Zdarzenia wydawały się pukać do drzwi i czułem, że gdybym jeszcze tylko trochę przyspieszył, zdołałbym wyprzedzić to coś jasnego i ulotnego, co zawsze było w zasięgu ręki, lecz tuż przede mną.

Potem nadchodziło południe i ranek rozwiewał się jak zagubiony sen. Zastępowały go pot i tortury reszty dnia, zaśmiecone martwymi szczątkami tego wszystkiego, co mogło się stać, ale nie wytrzymało gorąca. Słońce świeciło mocno, paląc wszystkie iluzje i widziałem to miejsce takim, jakie było naprawdę – tanie, posępne i hałaśliwe – nic dobrego nie mogło się tu zdarzyć.

Czasem o zmroku, kiedy starałeś się odpocząć i nie myśleć o wszechobecnej stagnacji, Bóg Śmieci zbierał garstkę tych zduszonych, porannych nadziei i machał nimi tak wysoko, że nie mogłeś dosięgnąć: wisiały na wietrze i wydawały dźwięk jak kruche, szklane dzwonki, przypominając ci o tym wszystkim, czego nigdy nie mogłeś zdobyć, i czego nigdy nie zdobędziesz. Ten obrazek był nie do wytrzymania i jedynym sposobem, żeby o nim zapomnieć, było dotrzeć do zmroku i wygnać duchy za pomocą rumu. Często wolałem nie czekać i zaczynałem pić już w południe. Nie pomagało to za bardzo, choć, z tego co pamiętam, dzień mijał jednak trochę szybciej.

Gdy minąłem róg Calle O'Leary, z zadumy wyrwał mnie widok samochodu Sali zaparkowanego przy głównych drzwiach baru Ala, a obok niego – skutera Yeamona. Nagle dzień zrobił się podły, a ja wpadłem w panikę. Przejechałem obok Ala, nie zatrzymując się, patrząc przed siebie, dopóki nie skręciłem w dół z boczka. Pojeździłem przez pewien czas bez celu, próbując przemyśleć sytuację, ale nieważne, do ilu sensownych wniosków dochodziłem, wciąż czułem się jak żmija. Choć uważałem, że w zasadzie jestem w porządku i można mnie usprawiedliwić – po prostu nie potrafiłem podjechać tam i usiąść przy stoliku

naprzeciw Yeamona. Im więcej o tym myślałem, tym gorzej się czułem. Wywieś sobie tabliczkę, mruknąłem: „P. Kemp, pijany dziennikarz, podnawka i źmija – przyjmuje od południa do świtu, w poniedziałki nieczynne”.

Gdy okrążałem Plaza Colón, utknąłem za handlarzem owocami i zatrąbiłem na niego bezlitośnie.

– Ty parszywy mały nazisto! – krzyknąłem. – Zjeżdżaj mi z drogi!

Mój nastrój kwaśniał. Poczucie humoru mnie opuszczało. Nadszedł czas, by opuścić ulicę.

Pojechałem do Condado Beach Club, gdzie przysiadłem przy dużym, szklanym stole na tarasie z czerwoną, niebieską i żółtą parasolką, która przesłaniała słońce. Następne kilka godzin poświęciłem na czytanie *Murzyna z załogi „Narcyza”* i robienie notatek do artykułu „Powstanie i upadek »San Juan Daily News«”. Wydawało mi się, że jestem tak inteligentny, ale przeczytanie wstępu Conrada przeraziło mnie do tego stopnia, że porzuciłem nadzieję, że kiedykolwiek odniosę sukces...

Ale dziś nie będę się tym zadręczał, pomyślałem. Dziś będzie inaczej. Zaszalejemy. Zrobimy piknik. Kupimy szampana. Zabiorę Chenault na plażę i się zabawimy. Mój nastrój natychmiast się zmienił. Wezwałem kelnera i zamówiłem dwa specjalne piknikowe lunche z homarami i mango.

Kiedy wróciłem do mieszkania, Chenault nie było. Nie został po niej żaden ślad, tak jak i po jej ubraniach w szafie. Czuło się jakąś upiorną ciszę, dziwną pustkę.

W mojej maszynie do pisania tkwił list – cztery czy pięć linijek na papierze firmowym „Daily News”, z wyraźnym całusem różowej szminki nad moim imieniem.

Kochany Paulu,

nie mogę tego dłużej wytrzymać. Mój samolot startuje o szóstej. Kochasz mnie. Jesteśmy sobie pisani. Będzie-

my pić rum i tańczyć nago. Zobaczymy się w Nowym Jorku.
Będę miała dla Ciebie kilka niespodzianek.

Twoja,
Chenault

Spojrzałem na zegarek – była szósta piętnaście. Za późno, żeby złapać ją na lotnisku. No cóż, pomyślałem. Zobaczymy się w Nowym Jorku.

Usiadłem na łóżku i wypilem butelkę szampana. Czułem przygnębienie, więc postanowiłem pójść popływać. Pojechałem do Luisa Aldea, gdzie plaża była pusta.

Fale były wysokie. Kiedy rozbierałem się i wchodziłem do wody czułem strach, a jednocześnie podniecenie. Wskoczyłem w ogromną powracającą falę i dałem się jej wyciągnąć na głębinę. Chwilę później pędziłem z powrotem w kierunku plaży na dużym białym bałwanie, który niósł mnie jak torpedę. Potem zostałem obrócony jak martwa ryba i uderzyłem o piasek tak mocno, że obtarłem sobie plecy. Bolały mnie jeszcze przez kilka dni.

Ciągnąłem tę zabawę tak długo, dopóki mogłem stać, dając się nieść prądowi odpływowemu, a potem czekając, aż kolejna duża fala wyrzuci mnie na brzeg.

Kiedy się poddałem, robiło się już ciemno i zaczęły się pojawiać owady, miliony małych, zatrutych komarów, których nie można było zobaczyć. Czułem w ustach ich gęsty, czarny posmak, gdy niepewnym krokiem szedłem do samochodu.

Poniedziałek był dniem rozstrzygającym i zaraz po przebudzeniu udzieliły mi się napięcie i niepokój wiszące w powietrzu. Znow zaspałem, a zbliżało się południe, więc po szybkim śniadaniu pospiesznie pojechałem do gazety.

Kiedy tam dotarłem, na frontowych schodach dostrzegłem Moberga, czytającego zawiadomienie przybite do drzwi. Tekst był długi i zawiły, a jego istota sprowadzała się do tego, że gazeta została sprzedana pod sekwestrem sądowym i wszystkie żądania pod adresem poprzednich właścicieli będą należycie rozważone przez Stein Enterprises w Miami na Florydzie.

Moberg skończył czytać i zwrócił się do mnie.

– To nieludzkie – stwierdził. – Powinniśmy się włamać i obrabować redakcję. Potrzebuję pieniędzy, mam tylko dziesięć dolarów.

Potem, zanim zdołałem go powstrzymać, kopnięciem zbił szybę w drzwiach.

– Chodź – powiedział, przechodząc przez dziurę. – Wiem, gdzie trzyma pieniądze na drobne wydatki.

Nagle rozległ się dzwonek, a ja szarpnąłem go w tył.

– Ty szalony sukinsynu – powiedziałem. – Uruchomiłeś alarm. Musimy się stąd zabierać, zanim przyjedzie policja.

Popędziliśmy do Ala, gdzie zastaliśmy pozostałych, jak zbici w grupkę przy dużym stole na patio rozprawiają gorączkowo.

Padająca mżawka zmusiła ich do tego, by skulili się obok siebie, knując morderstwo Lottermana.

– Co za świnia! – powiedział Moberg. – Mógł nam zapłacić w piątek. Ma masę pieniędzy, widziałem je.

Sala roześmiała się.

– Hitler miał dużo pieniędzy, ale nigdy nie płacił rachunków. Schwartz potrząsnął ze smutkiem głową.

– Chciałbym móc wejść do biura. Muszę zadzwonić w kilka miejsc. – Znacząco kiwnął głową. – Rozmowy międzynarodowe: Paryż, Kenia i Tokio.

– Dlaczego Tokio? – spytał Moberg. – Mogą cię tam zabić.

– Raczej ciebie mogą tam zabić – odparł Schwartz. – Ja pilnuję swojego nosa.

Moberg potrząsnął głową.

– Mam przyjaciół w Tokio. Ty nigdy nie będziesz miał przyjaciół, jesteś na to zbyt głupi.

– Ty parszywy moczymordo! – wykrzyknął Schwartz, wstając gwałtownie. – Jeszcze jedno słowo i dostaniesz w twarz!

Moberg roześmiała się swobodnie.

– Tracisz panowanie, Schwartz. Radzę wziąć kąpiel.

Schwartz dwoma szybkimi krokami obszedł stół i machnął ręką, jakby rzucał piłkę bejsbolową. Moberg mógłby z łatwością się uchylić, gdyby miał jakiegokolwiek odruchy, ale on po prostu siedział i pozwolił się zrzucić z krzesła.

To był niezły pokaz i Schwartz był wyraźnie zadowolony z siebie.

– To ci da nauczkę – mruknął, ruszając w kierunku drzwi.

– Zobaczymy się później, panowie – zawołał do nas. – Nie wytrzymam ani chwili dłużej z tym moczymordą.

Moberg wyszczerzył zęby i splunął w jego kierunku.

– Niedługo wrócę – powiedział nam. – Muszę się zobaczyć z jedną kobietą w Río Piedras... Potrzebuję pieniędzy.

Sala odprowadził go wzrokiem, smutno potrząsając głową.

– Wielu widziałem już popaprańców, ale on wygrywa w cuglach.

– Nonsens – powiedziałem. – Moberg to twój przyjaciel. Nigdy o tym nie zapominaj.

Później tego wieczoru wybraliśmy się na garden party wydane przez Ligę Rumową i Izbę Handlu San Juan dla uczczenia ducha nauki amerykańskiej. Dom był otynkowany na biało, rozległy i bogato zdobiony, z dużym ogrodem z tyłu. Bawiło się tam około stu osób, w większości wizytowo ubranych. Po jednej stronie ogrodu stał długi bar, do którego szybko się skierowałem. Spotkałem tam Donovana, który pił na potęgę. Dyskretnie odchylił połę swojego płaszcza i pokazał mi wsunięty za pasek nóż rzeźnicki.

– Spójrz – powiedział. – Jesteśmy gotowi.

Gotowi?, pomyślałem. Gotowi na co? Żeby poderznąć Lottermanowi gardło?

Ogród był pełen bogatych, sławnych ludzi i przyjezdnych studentów. Zauważyłem Yeamona, który stał na uboczu tłumu, obejmując ręką wyjątkowo piękną dziewczynę. Pili we dwójkę pół litra ginu i śmiali się trochę ordynarnie. Yeamon miał na sobie czarne, nylonowe rękawice, które odebrałem jako złowieszczy znak. Jezu, pomyślałem, te sukinsyny przeszły na drugą stronę lustra. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

Przyjęcie było szykowne. Zespół na werandzie grał w kółko *Cielito Lindo*. Nadali mu szalone, skoczne tempo i za każdym razem, gdy kończyli, tańczący krzyczeli o więcej. Z jakiegoś powodu pamiętam ten moment lepiej niż cokolwiek innego, co widziałem w Puerto Rico. Zmysłowy, zielony ogród, otoczony palmami i murem z cegieł; długi bar pełen butelek i lodu, a za nim ubrany na biało kelner; starsze towarzystwo w smokingu i jasnych sukienkach, rozmawiające spokojnie na trawniku. Gorąca, karaibska noc, podczas której czas płynie wolno i z odpowiednim dystansem.

Poczułem dłoń na ramieniu – był to Sala.

– Lotterman tu jest – powiedział. – Teraz dorwiemy go na pewno.

Właśnie wtedy usłyszeliśmy przenikliwy krzyk. Spojrzałem na drugą stronę ogrodu i zobaczyłem nagle ożywienie. Nastąpił kolejny krzyk i poznałem głos Moberga, wrzeszczącego:

– Uważaj, uważaj.... eeeeeeeeahhaaaaa!

Dotarłem tam akurat w chwili, kiedy podnosił się z ziemi. Nad nim stał, potrząsając pięścią, Lotterman.

– Ty śmierdzący pijaku! Chciałeś mnie zabić!

Moberg wstał powoli i otrzepał się.

– Zastługujesz, by umrzeć! – warknął. – Umrzeć jak szczur, którym jesteś!

Lotterman trząsał się, a jego twarz przybrała ciemnoczerwony kolor. Zrobił szybki krok w kierunku Moberga i uderzył go ponownie, przewracając go na ludzi, którzy próbowali się odsunąć. Usłyszałem obok siebie śmiech i głos mówiący:

– Jeden z chłopaków Eda chciał go naciągnąć na jakieś pieniądze. Zobaczcie tylko, jak sobie poradził!

Lotterman krzyczał bezładnie i młócił Moberga, wciąż spychając na ludzi. Moberg wołał o pomoc, kiedy wpadł na Yeamona idącego z drugiej strony. Yeamon odepchnął go na bok i krzyknął coś do Lottermana. Jedyne słowo, jakie zrozumiałem, to „Teraz...”.

Zobaczyłem, że twarz Lottermana zastygła w zaskoczeniu, i stał prosto jak słupek, gdy Yeamon uderzył go między oczy, odrzucając na jakieś sześć stóp. Zataczał się na oślep przez moment, a potem padł na trawę, krwawiąc z oczu i obojga uszu. W tej samej chwili kątem oka zauważyłem czarną postać pędzącą przez ogród i wbijającą się w grupę jak kula armatnia. Wszyscy upadli, ale Donovan wstał pierwszy. Z oszalałym uśmiechem na twarzy złapał jakiegoś człowieka za głowę i odepchnął go na bok na drzewo. Yeamon wyciągnął Lottermana spod jakiegoś innego człowieka i zaczął okładać jak worek treningowy.

Tłum wpadł w panikę i rzucił się do ucieczki.

– Wezwijcie policję! – krzyknął ktoś.

Stara, pomarszczona kobieta w sukni bez ramiączek przebiegła obok mnie, piszcząc:

– Zabierzcie mnie do domu! Zabierzcie mnie do domu! Boję się!

Posuwałem się przez tłum, próbując zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Kiedy dotarłem do drzwi, obejrzałem się i zobaczyłem, jak kilka osób patrzy w dół na ciało Lottermanna i robi znak krzyża.

– Tam są! – krzyknął ktoś.

Spojrzałem na drugą stronę ogrodu, gdzie wskazywał. Słychać było szmer krzaków, dźwięk łamanych gałęzi, a potem zobaczyłem, jak Yeamon z Donovanem gramolą się przez mur.

Jakiś mężczyzna wbiegł po schodach do domu,

– Uciekli! – krzyknął. – Niech ktoś wezwie policję! Biegnę za nimi!

Prześlizgnąłem się przez drzwi i pobiegłem chodnikiem w stronę mojego samochodu. Wydawało mi się, że usłyszałem gdzieś niedaleko skuter Yeamona, ale nie byłem pewien. Postanowiłem wrócić jak najszybciej do Ala i powiedzieć, że wyostałem się z tego niesfornego tłumu i poszedłem pod palmy na kilka spokojnych piw. Byłoby to marne alibi, gdyby ktoś z przyjęcia mnie rozpoznał, ale nie miałem wyboru.

Byłem tam od około piętnastu minut, kiedy nadjechał Sala. Trząśnięty całym, podbiegając do stolika.

– Człowieku! – powiedział głośnym szeptem. – Jeździłem jak skończony sukinsyn po całym mieście. Nie wiem, dokąd pójść. – Rozejrzał się, by mieć pewność, że na patio nie było nikogo więcej.

Roześmiałem się i rozparłem w fotelu.

– Ale ubaw, nie?

– Ubaw?! – wykrzyknął. – Nie słyszałeś, co się stało? Lotterman miał atak serca... nie żyje.

Pochyliłem się w jego kierunku.

– Gdzie się tego dowiedziałeś?

– Byłem obok, kiedy zabierała go karetka – odparł. – Trzeba było widzieć to miejsce... krzyczące kobiety, gliny wszędzie dookoła... zabrali Moberga. – Zapalił papierosa. – Pamiętasz,

że jesteśmy na wolności za kaucją – powiedział cicho. – Mamy przerąbane.

W moim mieszkaniu paliło się światło, a kiedy biegłem po schodach, usłyszałem szum wody pod prysznicem. Drzwi w łazience były zamknięte, więc je otworzyłem. Zasłonka odsłoniła się i spod prysznica wyjrzał Yeamon.

– Kemp? – odezwał się, patrząc przez parę. – Kto to, do cholery?!

– Niech cię szlag! – krzyknąłem. – Jak się tu dostałeś?

– Okno było otwarte. Muszę tu dziś przenocować – zepsuły mi się światła w skuterze.

– Ty głupi sukinsynu! – warknąłem. – Mogą cię ścigać za morderstwo... Lotterman dostał ataku serca... nie żyje!

Wyskoczył spod prysznica i owinął sobie ręcznik dookoła bioder.

– Jezu – powiedział. – Lepiej, żebym się stąd wynosił.

– Gdzie Donovan? – zapytałem. – Jego też będą szukać.

Potrząsnął głową.

– Nie wiem. Uderzyliśmy skuterem w zaparkowany samochód. Powiedział, że idzie na lotnisko.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła jedenasta trzydzieści.

– Gdzie skuter? – zapytałem.

Wskazał na tyły budynku.

– Zostawiłem go za rogiem. Piekielnie trudno było tu dojechać bez świateł.

Jęknąłem.

– Chryste, wciągasz mnie za sobą do więzienia! Ubieraj się. Nie zostaniesz tu.

Do lotniska miałem dziesięć minut drogi i ledwo ruszyliśmy, złapał nas tropikalny monsun. Zatrzymaliśmy się, żeby podnieść dach, ale zanim zdążyliśmy to zrobić, obaj byliśmy przemoczeni.

Deszcz był oślepiający. Kilka cali nad moją głową uderzał w płótno, a pod nami opony chrzęściły na mokrym bruku.

Zjechaliśmy z autostrady i zaczęliśmy się wspinać długą drogą na lotnisko. Byliśmy w połowie drogi na terminal, kiedy spojrzałem w lewo i zobaczyłem wielki samolot ze znakami Pan Am pędzący po pasie startowym. Wydawało mi się, że widzę twarz Donovana w jednym z okien, jak z szerokim uśmiechem macha do nas, gdy samolot startował i minął nas z wielkim hukiem, skrzydlaty potwór pełen świateł i ludzi, zmierzający do Nowego Jorku. Stałem na poboczu i obserwowaliśmy, jak wznosi się stromo, potem skręca nad dżunglą palmową w kierunku morza, aż wreszcie zamienia się tylko w niewielką czerwoną plamkę pośród gwiazd.

– Cóż – powiedziałem. – Odleciał.

Yeamon patrzył za nim.

– Czy to ostatni?

– Tak – odparłem. – Następny lot jest o dziewiątej trzydziści jutro rano.

Po chwili milczenia powiedział:

– Cóż, chyba trzeba wracać.

Spojrzałem na niego.

– Dokąd wracać? – spytałem. – Równie dobrze możesz się zgłosić na policję już teraz, jeśli chcesz tu wrócić jutro rano.

Utkwił wzrok w deszczu i rozejrzał się nerwowo.

– Cholera, muszę się tylko wydostać z wyspy... nic więcej.

Pomyślałem przez chwilę i przypomniałem sobie o promie z Fajardo do St. Thomas. Z tego, co wiedziałem, wypływał około ósmej każdego ranka. Zdecydowaliśmy, że pojedzie tam i wynajmie tani pokój w Grand Hotelu. Potem będzie musiał radzić sobie sam – ja miałem własne problemy.

Do Fajardo było czterdzieści mil, ale droga była dobra i nie spieszyliśmy się, więc prowadziłem spokojnie. Deszcz przestał padać i noc pachniała świeżością. Złożyliśmy dach i piliśmy rum na zmianę.

– Cholera – powiedział po chwili. – Nie podoba mi się, że muszę lecieć do Afryki Południowej, mając tylko jeden garnitur i sto dolarów.

Rozparł się na siedzeniu i zapłakał. Słyszałem, jak kilkaset jardów od drogi rozbiły się fale. Po prawej widziałem szczyt El Yunque, czarną sylwetkę na tle złowrogiego nieba.

Dochodziło wpół do drugiej, gdy dotarliśmy do końca autostrady i skręciliśmy w stronę Fajardo. Miasto było ciemne, a na ulicach nie było żywej duszy. Okrążyliśmy pusty plac i podjechaliśmy do przystani promu. Przecznicę dalej stał niewielki hotel, pod który zajechałem, a Yeamon poszedł wynająć pokój.

Po kilku minutach wyszedł i wszedł do samochodu.

– No – powiedział spokojnie. – W porządku. Prom odchodzi o ósmej.

Wydawało się, że chce chwilę posiedzieć, więc zapaliłem następnego papierosa i próbowałem się uspokoić. Miasto było tak spokojne, że każdy dźwięk, który wydawaliśmy, zdawał się niebezpiecznie głośny. Butelka rumu uderzyła o kierownicę, kiedy mi ją podawał, a ja podskoczyłem, jakby ktoś strzelił.

Roześmiał się cicho.

– Spokojnie, Kemp. Ty nie masz się o co martwić.

Byłem nie tyle zmartwiony, co przestraszony. W całej tej sprawie było coś upiornego, jakby Bóg w odruchu obrzydzenia postanowił pozbyć się nas wszystkich. Nasza konstrukcja się rozpadała; wydawało się, że zaledwie kilka godzin temu jadłem śniadanie z Chenault w słonecznym zaciszu mojego domu. Potem odważyłem się wejść w dzień i wpadłem po uszy w orgię mordowania, krzyków i zbitego szkła. Teraz kończyło się tak bezsensownie, jak się zaczęło. Wszystko było skończone – byłem tego pewien, bo Yeamon odjeżdżał. Po jego wyjeździe mogło być jeszcze trochę hałasu, ale konwencjonalnego, takiego, z którym można sobie poradzić, albo nawet zignorować – zamiast tych nagłych, wytrącających z równowagi erupcji, które wciągają cię do środka i miotają tobą jak zabą w rwącej wodzie.

Nie pamiętam, gdzie dokładnie to się zaczęło, ale koniec był tutaj, w Fajardo, ciemnym punkciku na mapie, który zdawał się krańcem świata. Yeamon jechał dalej, a ja wracałem, i niewątpliwie był to koniec czegoś, tylko nie byłem pewien, czego.

Zapaliłem papierosa i pomyślałem o innych ludziach. Zastanawiałem się, co dziś robili, podczas gdy ja w ciemnej uliczce w Fajardo popijałem z butelki rum z człowiekiem, który następnego ranka miał być zbiegłym mordercą.

Yeamon oddał mi butelkę i wysiadł z samochodu.

– Cóż, do zobaczenia, Paul... Bóg wie gdzie.

Przechyliłem się nad fotelem i wyciągnąłem rękę.

– Pewnie w Nowym Jorku – zasugerowałem.

– Jak długo tam będziesz? – spytał.

– Niedługo – odparłem.

Ostatni raz uściskał mi rękę.

– Dobrze, Kemp. – Uśmiechnął się szeroko. – Wielkie dzięki... poradziłeś sobie jak mistrz.

– Cholera – powiedziałem, zapalając silnik. – Wszyscy jesteśmy mistrzami, kiedy jesteśmy pijani.

– Kto tu jest pijany?

– Ja. W przeciwnym razie wydałbym cię glinom.

– Brednie – odparł.

Włączyłem bieg.

– Dobrze, Fritz, wszystkiego dobrego.

– Jasne – powiedział, gdy odjeżdżałem. – Tobie też.

Zawróciłem i kiedy ponownie go mijałem, pomachałem mu ręką. Szedł w kierunku promu. Gdy dotarłem do zakrętu, zatrzymałem się, by zobaczyć, co robi. Wtedy widziałem go po raz ostatni i pamiętam to bardzo dokładnie. Wyszedł na pomost i stał przy drewnianej latarni, spoglądając w kierunku morza. Jedyne żywe stworzenie w martwym, karaibskim mieście: wysoka postać w zmiętej marynarce z Palm Beach... swojej jedynej marynarce, teraz pełnej kurzu, z plamami z trawy i z wypchanymi kieszeniami – stojąca samotnie na pomoście na końcu świata, zatopiona w swoich myślach. Pomachałem raz jeszcze, mimo że stał odwrócony do mnie plecami, dwa razy krótko zatrąbiłem i szybko wyjechałem z miasta.

Wdrodze powrotnej do mieszkania zatrzymałem się, by kupić poranne wydania gazet. Osłupiałem, widząc Yeomona na pierwszej stronie „El Diario”, pod dużym nagłówkiem „Matanza en Río Piedras”. Był to fragment zdjęcia, które zrobiono naszej trójce w więzieniu, kiedy nas aresztowano i pobito. Cóż, pomyślałem, to koniec. Wydało się.

Pojechałem do siebie i zadzwoniłem do Pan Am, żeby zarezerwować miejsce w porannym samolocie. Potem się spakowałem. Upchnąłem wszystko – ubrania, książki, duży album z wycinkami moich artykułów z „News” – w dwa worki marynarskie. Na nich postawiłem maszynę do pisania i przybory do golenia. I to było wszystko – całe moje ziemskie mienie, mizerne owoce dziesięcioletniej odysei, która zaczynała sprawiać wrażenie przegranej sprawy. Wychodząc, pamiętałem jednak, by kupić butelkę Rumu Superior dla Chenault.

Miałem jeszcze trzy godziny i musiałem spieniężyć czek. Wiedziałem, że da się to zrobić u Ala, ale mogły tam na mnie czekać gliny. Postanowiłem jednak zaryzykować i przejechałem ostrożnie przez Condado i groblę do śpiącego Starego Miasta.

U Ala nie było nikogo, poza Salą siedzącym samotnie na patio. Kiedy podszedłem do stolika, spojrział na mnie.

– Kemp – powiedział. – Czuję się jak stulatak.

– A ile masz lat? – spytałem. – Trzydzieści? Trzydzieści jeden?

– Trzydzieści – odparł szybko. – Skończyłem miesiąc temu.
– Cholera – rzuciłem. – Wyobraź sobie, jak ja się czuję...
mam prawie trzydzieści dwa.

Potrząsnął głową.

– Nigdy się nie spodziewałem, że dożyję trzydziestki. Nie wiem dlaczego, ale z jakiegoś powodu to dla mnie niespodzianka.

Uśmiechnąłem się.

– Ja nie wiem, czy się spodziewałem, czy nie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Cóż – powiedział. – Na Boga, mam nadzieję, że nie dożyję czterdziestki. Nie wiedziałbym, co ze sobą zrobić.

– Możliwe – zgodziłem się. – Mamy już z górki, Robert. Od tej chwili jazda przestaje być miła.

Rozsiadł się w fotelu i nic nie mówił. Zbliżał się wschód słońca, ale Nelson Otto wciąż trwał przy swoim fortepianie. Grał utwór Laura, a smutne dźwięki wpływały na patio i siadały na drzewach jak ptaki, zbyt zmęczone, by latać. Noc była gorąca, prawie bezwietrzna, ale czułem na włosach zimny pot. Z braku lepszego zajęcia przyglądałem się dziurze po papierosie na rękawie mojej niebieskiej koszuli.

Sala poprosił o kolejne drinki. Sweep przyniósł cztery szklanki rumu, mówiąc, że są na koszt firmy. Podziękowaliśmy mu i siedzieliśmy przez następne pół godziny w milczeniu. Z dołu, z portu dobiegał dźwięk dzwonka statku, który przybijał do nabrzeża, a gdzieś w mieście rozlegał się ryk motocykla przemierzającego wąskie ulice, którego echo wspinało się na wzgórze Calle O'Leary. W sąsiednim domu głosy wznosiły się i opadały, a z baru po drugiej stronie ulicy dochodziły chrapliwe dźwięki szafy grającej. Odgłosy nocy w San Juan, dryfujące po mieście przez warstwy wilgotnego powietrza; odgłosy życia i ruchu, należące do ludzi przygotowujących się do czegoś i tych, którzy się poddali, odgłosy nadziei i odgłosy trwania, a w tle – ciche, złowrogie tykanie tysiąca głodnych zegarów, samotny odgłos czasu mijającego pośród długiej karaibskiej nocy.